ROK TRZASKOWSKIEGO
MOCNE ROZCZAROWANIE NAWET W PLATFORMIE

GDAŃSK:
ZNÓW SKANDAL NA WESTERPLATTE

WATYKAN:
SZOKUJĄCY SYNOD DLA AMAZONII

SIECI

JAK III RP CHCE SKŁÓCIĆ ZJEDNOCZONĄ PRAWICĘ

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 44 (362) 2019
4–11 listopada
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

NOWE USTALENIA

PROKURATORZY IPN PONOWNIE PRÓBUJĄ ŚCIĄGNĄĆ DO POLSKI STALINOWSKIEGO ZBRODNIARZA. MAJĄ MOCNE PAPIERY. CZY SZWEDZI POZWOLĄ GO OSĄDZIĆ?

MROCZNE TAJEMNICE STEFANA MICHNIKA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

CYFROWY POLSAT

Najlepszy sport, filmy i bajki!

TV na start 3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!

Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu i usług dodatkowych na czas nieokreślony. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.
La Liga Santander w ELEVEN SPORTS. Fot. Getty Images. „Wataha" © HBO Europe s.r.o. 2019. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Sprawa burmistrza Włoch, czyli jak stolicą rządzi ośmiornica

Sprawa zatrzymanego przez CBA Artura W., burmistrza Włoch, jak w soczewce pokazuje wszystkie patologie stolicy, w której szemrani biznesmeni, cwani prawnicy i pospolici przestępcy żyją w symbiozie z ludźmi lokalnej władzy. Politycy Platformy Obywatelskiej tak zżyli się z tym układem, że przestali dbać nawet o pozory uczciwości.

O tym, że Artur W., który za łapówki pomagał tureckiemu biznesmenowi w jego inwestycjach deweloperskich, nie bał się żadnej odpowiedzialności, świadczy forma przestępczego procederu. Bezwstyd przestępczej ustawki poraża. Oto pan burmistrz Włoch spotyka się z biznesmenem w biały dzień, na ruchliwej ulicy i przyjmuje od niego pieniądze. Do takiej sytuacji doszło przynajmniej dwukrotnie. Pierwszy raz Artur W. przyjeżdża wartym nawet milion złotych sportowym samochodem, należącym do jednej z deweloperskich spółek. Rzuca się w oczy, ale to nie przeszkadza mu w przyjęciu wypchanej po brzegi koperty. Z kolei w poniedziałek, 28 października, burmistrz przyjechał na spotkanie służbową škodą, prosto z ratusza we Włochach. Przez otwarte okno samochodu biznesmen podaje mu reklamówkę wypchaną pieniędzmi.

W tych dwóch sytuacjach zadziwia prymitywizm „transakcji". Nie ma łańcuszka spółek, skomplikowanych przepływów bankowych i szkatułkowej konstrukcji przekrętu. Jest ordynarne wręczenie łapówki. W biały dzień, w środku miasta. Artur W. wręcz afiszuje się swoim „wyczynem". Po przyjęciu pieniędzy spokojnie jedzie do garażu swojego teścia, by tam ukryć 200 tys. zł, za które biznesmen kupił sobie tego prominentnego polityka warszawskiej PO.

Czego się dowiadujemy, obserwując te sceny, żywcem wyjęte z gangsterskiego filmu z lat 90.? W Warszawie mówi się, że słaby, pozbawiony politycznego i eksperckiego zaplecza Rafał Trzaskowski jest jedynie pionkiem w rękach lokalnych baronów PO, a ci po wygranych przez niego wyborach w stolicy czują się pewnie i bezkarnie. Do tego dochodzi „doktryna Neumanna", który mówił o nietykalności „swoich" i sądach, które będą stały za politykami Grzegorza Schetyny. Miasto, którym przez lata rządziły reprywatyzacyjne mafie, staje się symbolem korupcji. Podobno „wolny" samorząd to wielkie osiągnięcie III RP. Dziś jego symbolem wydaje się reklamówka pełna pieniędzy w samochodzie burmistrza z Platformy Obywatelskiej.

Wojciech Biedroń

58/0319/F

eprasa.pl f6df03f

SIECI spis treści

25 *Z prof. Krzysztofem Szwagrzykiem rozmawiają Michał Karnowski i Marcin Wikło*

30 Plan dla rządu *Stanisław Janecki*

72 Wszystkie grzechy Trumpa *Aleksandra Rybińska*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE** Nieoficjalny przegląd tygodnia
8 **SEN BRUTUSA** Krzysztof Feusette
10 **ŚWIATOWE ŻYCIE** redaguje Konrad Kołodziejski
12 **O MĘDRKACH** Bronisław Wildstein
14 **OGNIEM NA WPROST** Andrzej Rafał Potocki
15 **BĘDZIE MNIEJ BIUROKRACJI** Marta Kaczyńska-Zielińska
16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY** Dorota Łosiewicz
17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU** Dominik Zdort
18 **FELIETONY** Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **ZBRODNIA I BEZKARNOŚĆ** Marek Pyza, Marcin Wikło
25 **Z PROF. KRZYSZTOFEM SZWAGRZYKIEM** rozmawiają Michał Karnowski i Marcin Wikło

KRAJ

30 **PLAN DLA RZĄDU** Stanisław Janecki
33 **Z JÓZEFEM ORŁEM** rozmawia Jacek Karnowski
40 **GDAŃSK NIE ODPUSZCZA WESTERPLATTE** Andrzej Potocki

SIECI KULTURY

43 **PRZEDE WSZYSTKIM NA DOBRE** Jolanta Gajda-Zadworna
46 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM** Piotr Zaremba
47 **LONDYN POD UROKIEM WAJNBERGA** Adam Ciesielski
48 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY** Wojciech Stanisławski
50 **POLECA** Łukasz Adamski

OPINIE

52 **KOŚCIÓŁ Z AMAZOŃSKĄ TWARZĄ I NIEMIECKĄ DUSZĄ** Grzegorz Górny
55 **Z TOMASZEM TERLIKOWSKIM** rozmawia Marcin Fijołek
58 **ROK 2020 POD ZNAKIEM ŚW. JANA PAWŁA II** Lidia Dudkiewicz
60 **NOWY MUR BERLIŃSKI** Stefan Meetschen
64 **W ODMĘTACH FEMINISTYCZNEGO SZALEŃSTWA** Dorota Łosiewicz
66 **L JAK LEWICA** Hanna Karp

HISTORIA

68 **RYCERZE GENERAŁA MACZKA** Marcin Wikło

ŚWIAT

72 **WSZYSTKIE GRZECHY TRUMPA** Aleksandra Rybińska
75 **ROSYJSKIE EKSPERYMENTY Z GENETYKĄ** Marek Budzisz
78 **IMPAS W DONBASIE** Jan Rokita

GOSPODARKA

80 **W POLSCE ROŚNIE SPRZEDAŻ NOWYCH SAMOCHODÓW OSOBOWYCH** Krzysztof Bałękowski
82 **JAK MINISTER Z PO BRONIŁ PREZESA** Kajetan Kutnowski

PODRÓŻE

88 **MOJE SZLAKI: BARBARA GĄSIENICA GIEWONT** Jolanta Gajda-Zadworna
89 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM** Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

90 **MAŁGORZATA I KLAUDIA** Wojciech Reszczyński
91 **FELIETONY** Witold Gadowski, Lech Makowiecki
92 **NA ROGU WIDAJA I GAJEWSKIEGO** Aleksander Nalaskowski
93 **KRADZIEŻ TO WŁASNOŚĆ** Wiktor Świetlik
94 **KRUCHOŚĆ ŻYCIA** Alina Czerniakowska
95 **FELIETONY** Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
96 **SZCZERZY SIĘ** Ryszard Makowski
97 **Z TAMTEJ STRONY...** Leszek Długosz
98 **OSACZONA PRZEZ KRZYWE ZWIERCIADŁO** Andrzej Zybertowicz

82/1019/F

eprasa.pl f6df03f8b5

11 listopada

RAZEM ŚWIĘTUJMY NIEPODLEGŁOŚĆ

niepodległa

eprasa.pl f6df03f8b5

Sygnalista nadaje

Alexander Ben Zvi, nowy ambasador Izraela w Polsce, spełnił prośbę „Gazety Wyborczej" i ocenił sytuację w naszym kraju: „Podczas wyborów dostrzegałem przejawy antysemityzmu ze strony partii skrajnie prawicowych, Konfederacji i innych. Jest to trochę dla mnie smutne, że taka partia jak Konfederacja będzie teraz w Sejmie" – stwierdził, elegancko nie wspominając, jak bardzo do sukcesu narodowców przyczyniło się jego własne państwo, a szczególnie jego niezapomniana poprzedniczka w Warszawie.

W kolejnej wypowiedzi Ben Zvi bronił swojego stanowiska: „To ludzie, którzy mają antysemickie poglądy i wypowiadają się przeciwko Żydom. Jestem nie tylko dyplomatą, ale także Żydem, więc jeśli wypowiadają się przeciwko mnie, to mam prawo powiedzieć coś przeciwko nim". Stanowisko logiczne, ale z konsekwencjami: Konfederacja, i nie tylko, chętnie uzna ten punkt widzenia i podejmie symetryczną eskalację. Ze szkodą dla nas wszystkich.

Ambasada Izraela w Warszawie zawiesiła tymczasem funkcjonowanie swojej placówki. „Wynika to z decyzji Ministerstwa Finansów Izraela, która naruszyła porozumienie podpisane pomiędzy dyplomatami a Dyrektorem Generalnym Ministerstwa Finansów" – czytamy w oświadczeniu ambasady. Nie wiadomo, czy w tym czasie dyplomaci izraelscy będą oceniali sytuację w polskim parlamencie. Wiadomo za to, że w Polsce, kraju tak często przez nich i innych recenzowanym, nigdy do takiej kompromitacji nie doszło.

Agora wydaje książkę Donalda Tuska „Szczerze". Ukaże się 12 grudnia. Ma to być „dziennik opowiadający o kulisach europejskiej polityki i kluczowych momentach ostatnich lat". Internauci zwracają uwagę, że słowa „Tusk" i „szczerość" rzadko idą w parze. Potwierdziła to ostatnio **prof. Jadwiga Staniszkis**, *stwierdzając: „Nie trawię Tuska. To cyniczny karierowicz. Nastawiony wyłącznie na osobiste korzyści, także finansowe. Powinien pozostać na marginesie polskiej polityki". Czyżby zbliżał się kolejny zwrot w życiu pani profesor?*

Politycy i komentatorzy wciąż analizują wyniki wyborów. Zdaniem Ludwika Dorna październikowe głosowanie było zwiastunem końca epoki, w której na polskiej scenie politycznej królowały dwie potęgi: PO i PiS. Teraz nadchodzi czas równoważenia sił z udziałem wielu ugrupowań oraz proces wewnętrznej pluralizacji obozów pisowskiego i antypisowskiego. Tak, tu zgoda: te wybory najbardziej przegrał wściekły antypis, dzień i noc wzywający do zemsty. Nowa epoka – jeśli nadejdzie – nie będzie powrotem do tego, co było.

Zdaniem Dorna także po stronie prawicowo-pisowskiej widać oznaki ząbkowania nowego postpisowskiego układu partyjnego. I nie chodzi tu o wejście do Sejmu Konfederacji, ale o „postępujące zróżnicowanie polityczne w elektoracie PiS – coraz więcej wyborców z tego segmentu zaczyna poszukiwać bardziej dookreślonej politycznie oferty". Coś w tym może być, ale może to też być złudzenie. Tzw. skrzydła rzeczywiście zgarnęły potężną premię, ale jeśli wysnują stąd wniosek, że są tak potężne same z siebie, to popełnią duży błąd.

Sąd Najwyższy zdecydował, że nie będzie ponownego przeliczenia głosów w Katowicach. PiS przegrało tam miejsce w Senacie o 651 głosów i chciało sprawdzenia procedury. Złożenie wniosku i tak się opłaciło, bo przy tej okazji Paweł Wroński ogłosił na łamach „GW": „Decyzja sądu świadczy o tym, że Polska jest krajem dalekim od dyktatury Jarosława Kaczyńskiego. Co to bowiem za dyktatura, która nie po-

epraca.pl f6df03f8b5

trafi sfałszować wyborów, a składając nieudolnie napisany protest, daje się ośmieszyć trzem sędziom SN". Czyżby przełom?

Głosu w tej sprawie nie zabrał jeszcze Jarosław Kurski. A to on po złożeniu wniosku przez PiS prorokował: „Zdecyduje izba Sądu Najwyższego utworzona przez PiS", oraz ogłaszał: „To moment kluczowy w marszu Kaczyńskiego do autorytaryzmu", bo „zamachu władzy na wynik wyborów" jeszcze w Polsce nie było. Patrząc szerzej, linia „GW" jest dziś mniej więcej taka: PiS idzie od klęski do klęski, a jednocześnie skutecznie buduje zamordyzm. Jak oni to sobie tłumaczą?

Może zajęliby się także życiem wewnętrznym PO? Sygnały są niepokojące. „To Grzegorz Schetyna ciągnie partię w dół. Od wielu lat wiele osób wycofuje się z Platformy Obywatelskiej ze względu na jego metody, postawę i budowanie partii w systemie »ojca chrzestnego«, czyli nie partii dialogu, tylko partii totalitarnej" – mówi Norbert Wojnarowski, były wieloletni poseł PO. I dodaje, że Schetyna będzie walczył do końca, ponieważ „wierzy w teorię siedmiu swoich żyć". Rzecz brzmi ciekawie, tajemniczo, będziemy drążyć.

Już wiadomo, że drogą przeliczenia głosów PiS Senatu nie zdobędzie. Ale coraz liczniejsi komentatorzy dojrzewają do myśli, że jakiś sposób się znajdzie. ***Marek Sawicki*** z PSL ostrzega: „Jest bardzo prawdopodobne, że jeszcze przed 12 listopada PiS będzie tam miał większość". I dodaje, że „ponieważ sezon polowań jeszcze się nie zakończył", to jest sobie w stanie wyobrazić, że „akurat 12 listopada dwóch–trzech senatorów może mieć pilne badania lekarskie, problemy ze zdrowiem i nie pojawi się na inauguracyjnym posiedzeniu". Cóż poradzić? Zdrowie najważniejsze.

Opozycja poszukuje kandydata na prezydenta, ale wciąż idzie jej kiepsko. ***Tomasz Lis*** nie kryje niezadowolenia: „Casting na prezydenta wygląda tak, jakby nie mogąc zdobyć porsche, za satysfakcjonujące rozwiązanie drugiego wyboru uznać seicento. W końcu też ma cztery kółka". Nie doprecyzował, kto tu jest porsche, a kto seicento. Na marginesie: seincento to były bardzo dzielne samochodziki i należy im się szacunek.

Nie wiadomo, kto jest porsche, ale wiadomo, kto jeździ maserati. To członek PO, burmistrz stołecznej dzielnicy Włochy Artur W. Portal wPolityce.pl tak opisuje kulisy zatrzymania

polityka przez CBA: „Wtorek, ok. godz. 17.00, Raszyn. Do luksusowego samochodu Artura W. podjeżdża Sabri B., znany turecki deweloper, który wrzuca przez otwarte okno auta W. reklamówkę z 200 tys. zł. Panowie rozjeżdżają się bez słowa. Artur W. jedzie kilka ulic dalej, wprost do garażu swojego teścia i tam zostaje zatrzymany". Najważniejsze pytanie: brał tylko dla siebie czy to część większego układu?

Artur W. to szara eminencja warszawskiej PO. Mając zaledwie 35 lat, kierował wielką firmą Naftor, która zajmowała się ochroną mienia wielkich spółek paliwowych. Był też skarbnikiem Platformy na Ochocie. Przeprowadzona ze szwajcarską precyzją operacja CBA, pod nadzorem prokuratury, może być początkiem większej afery, w którą zamieszani są urzędnicy, politycy PO oraz biznesmeni, oczywiście również Europejczycy, demokraci i postępowcy.

Czy Artur W. płakał, jak sugerują niektóre media? Nie ma pewności. Na pewno był pobudzony i zdenerwowany. A powinien zapłakać. W imieniu nas wszystkich, którzy każdego dnia oglądamy koszmarnie brzydkie, nieprzemyślane, chaotyczne inwestycje budowlane niszczące i krajobraz, i całe ekosystemy miejskie lub wiejskie. Przeczucie, że za tym wszystkim muszą stać łapówki, okazało się słuszne.

Prof. Janusz Czapiński został zapytany, dlaczego to w Gdańsku „obserwujemy rozwój instytucji obywatelskich?". Teza zawarta w pytaniu więcej niż wątpliwa, bo świadomi obywatele raczej nie oddaliby swojego miasta we władanie deweloperom. Ważna jest jednak odpowiedź: „Nieprzypadkowo dzieje się tak akurat w tych miastach, które przez długi czas znajdowały się pod panowaniem niemieckim. Tam panowała inna kultura niż w folwarcznej Polsce". Trudno się nie zgodzić: to była inna kultura. To nie przypadek, że to Niemcy wymyślili komory gazowe.

W Polsce tymczasem każdego dnia przybywa zwolenników sojuszu z Hitlerem. Pod hasłem „ciekawej dyskusji" dokonuje się iście kopernikański przewrót, który będzie miał potężne skutki polityczne i wcześniej czy później wysadzi PiS z siodła. Ludzie, którzy wiedzą, jak głupia to teza i jak by się skończyła (państewko o powierzchni 150 tys. km², żyjące w ciągłej traumie, obciążone ludobójstwem) coraz częściej milczą. Coraz częściej ze strachu. I jak gdyby nic ściskają ręce tych, którzy plują już nie tylko na Becka, lecz także na naszą AK.

Fot. Mateusz Zelnik, Andrzej Wiktor, Fratria

eprasa.pl f6df03f8b5

Sen Brutusa

„Panie i panowie, oto nowy przewodniczący Platformy Obywatelskiej...", „Wysoka Izbo, głos zabierze nowy prezes Rady Ministrów...". Jejku, jak to już blisko... No, niech mnie ktoś uszczypnie, bo nie uwierzę. Są jednak na tym łez padole rzeczy, o których się nie śniło fizjologom. Najważniejsze teraz to zachować spokój.

Ale że ja? Skromny 41-latek z Czeladzi w województwie śląskim, powiat będziński? Borysku, obudź się, dojeżdżamy! A przecież to nie jest cel mojej politycznej podróży za zero uśmiechu. To tylko stacja przesiadkowa. Gdzie mnie potem przedmuchają wiatry historii, na jaki odcinek władzy globalnej – kto to może dziś wiedzieć? Najpierw jednak nóż w plecy i kij w oko temu zarozumiałemu patafianowi. Czekaj, ty, leszczu wypchany, dam ja ci „Borysława" tak, że popamiętasz. A potem skończą się żarty, że wnuczek Gomułki. Od razu paragraf się ustawi, żeby z pierdla nie wyszli wszyscy, którzy z pana premiera Budki drwili, gdy był jeszcze szeregowym posłem. A ile było śmiechu, jak w marynarce i krótkich spodenkach na wywiadzie wystąpiłem... Dam wam teraz kąpielówki, palanty.

Bo ja jestem gotowy. Ja nie jestem byle Misiło, co miał startować na nowego Ryśka, ale mu baby kota pogoniły. Ja się nawet Neumanna nie boję. Ja mam za sobą młodzież. Wolne media i rozgrzane sądy. Wszystko mam teraz wolne, nawet rękę. Plan jest prosty, najpierw partia, potem rząd, a na końcu... nie, nie chcę zapeszać. Ech, mógłby po prostu zrzec się sam, dziad jeden. Aśka Mucha by coś zaśpiewała, najlepiej Budki Suflera, Sławka N. jak Neumann zmieniłoby się na Sławka N. jak Nitras, i hej, do przodu. To znaczy – cała wstecz. Mnie wiele nie trzeba, ja się na gospodarce nie znam, mógłby to sobie Balcerowicz wziąć. Albo nie, lepiej Rysiek, żeby mnie w hejcie nie wyprzedzał. W końcu – kto tak Kaczyńskiego zdenerwował, że ze „zdradzieckimi mordami" wyskoczył? Wyłącznie ja, gdy mu wykrzyczałem, że kala pamięć brata. Tylko czemu ta morda już wtedy miała być „zdradziecka", skoro myśmy wtedy jeszcze niczego za plecami tego patałacha nie knuli? Zresztą, to nie knucie, tylko wyrok historii, bo z tym niedojdą niczego nie wygramy. A mnie jednak kamery lubią. Bo mówię wolno, ale szybko myślę. Czasem nawet tak szybko, że aż nie wiem, co pomyślałem. A i tak mówię.

Tak to już jest, gdy wszędzie człowieka potrzebują. Życie najważniejszych osób w państwie teoretycznym to nie jest sielanka. A to trzeba krawat kupić, a to w wakacje turystów po plaży przegonić, żeby wiedzieli, kto rządzi w Trójmieście... Jejku, jak sobie przypomnę, jak oni wiali z tymi parawanami... Patencik był prosty, podbiegało się do gościa z konstytucją i pytało: „Kupujesz, czy mam czytać?". Potem wszyscy w koszulkach „otua" chodzili, żebym drugi raz nie podchodził. A wieczorem siatkówka do oporu. Ile ja wtedy podwójnych krótkich w zdradziecką przyjąłem, to tylko pielęgniarka z ośrodka Rybitwa będzie wiedziała. Kamilka wołała: „Złaź z boiska, bo cię zabiją!", ale ja jestem twardszy od betonu. Przecież co się na Woodstocku działo, jak żeśmy z Grzegorzem pojechali? Błoto po kostki, towarzystwo półżywe, a jednak się szło między ludzi. Będzie mi teraz wypominał wspólne festiwale? A co miałem mu powiedzieć? „Hej, Shreku, posuń się, bo ciebie nikt nie lubi, a mnie wszyscy kochają"? Żona mi to ciągle powtarza, od kiedy ją na listę w Gliwicach wsadziłem kosztem lokalnych struktur. I dlatego PiS tak się mnie boi. Myśleli, że przyjdę na debatę, coś tam poględzę, a oni będą robić swoje? To ja im, ciach, rachuneczek za lekarstwo na ponad 2 tys. zł. I co, że refundowane? A musiałem to mówić? Jest wolność słowa jeszcze czy jej nie ma?

KRZYSZTOF FEUSETTE

To znaczy – wiadomo, będzie coraz gorzej. Może i lekko pani Ostaszewska przesadziła, że internet wyłączą, ale że Onetu, Wirtualnej Polski, TVN, Zetki czy „Gazety Wyborczej" jeszcze nie zamknęli, to sam jestem zdziwiony. Za mojego rządu będzie porządek. Reklamy wrócą tam, gdzie ich miejsce, zwłaszcza że akurat na Czerskiej za Grzegorzem nigdy nie przepadali. Publiczną oddam Lisowi, a resztę rozdzielę w rządzie. Taki Stasiu Gawłowski na ministra sprawiedliwości na przykład – żeby pokazać, jak krystalicznego człowieka zaszczuli. Nitras – do spraw wewnętrznych, już on pisiorom szafki przetrzepie. Tomczyk na szefa dyplomacji, przecież nikt tylu imigrantów nie przyciągnie. Kopacz do turystyki, Komorowski do resortu środowiska, a niech sobie postrzela, co mi tam, w końcu od tych paru jeleni, którzy nam w ekologię uwierzyli, poparcie się nie zawali. Na wicepremierów – Kidawę-Błońską i Trzaskowskiego, lepiej mieć ich pod sobą niż za plecami.

A z Donaldem to ja sobie jeszcze porozmawiam. Co to znaczy, że ten przegrany człowiek jedzie do niego, jak gdyby nigdy nic i na listopad się umawiają w Zagrzebiu jakimś? Zagrzebać to musimy pewną epokę w dziejach PO! Dlatego niniejszym otwieram I Kongres Założycielsko-Zjednoczeniowy nowej partii o wiele mówiącej nazwie: PO-Budka. Naszym logo będzie piejący kogucik.

59/0418/F

eprasa.pl f6df03f8b5

100 LAT
POLSKIEGO KOMITETU
OLIMPIJSKIEGO

Wiele dróg, jeden cel.

Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

Sponsor Strategiczny	Sponsor Generalny	Sponsor Kolekcji Olimpijskiej	Główny Partner Medyczny	Oficjalny Przewoźnik	Partnerzy	Partnerzy Medialni
ORLEN	LOTTO	4F	GRUPA LUXMED	LOT	Deloitte. COLUMNA MEDICA	RZECZPOSPOLITA POLSKIE RADIO

eprasa.pl f6df03f8b5

USA

Widmo Hillary

„Odejdźcie" – powiedział w programie „Real Time" na HBO komentator i satyryk Bill Maher. Jest on coraz bardziej wpływową postacią liberalnych mediów i jego sądy często mają odbicie w zachowaniu elektoratu. Czy wojujący z republikanami Maher nawołuje do odejścia ekipy Donalda Trumpa? To nie byłoby niczym nadzwyczajnym, ale tym razem swoje „odejdźcie" skierował do małżeństwa Clintonów. Maher uważa, że ani Hillary, ani Bill nie powinni się pojawiać na konwencji demokratów w 2020 r. „Clintonowie muszą odejść. Mówię to teraz, mniej więcej rok przed tym wydarzeniem. Nie mogą być na konwencji. Może tylko na filmiku, gdzie pomachają zgromadzonym. Ale nic więcej" – zaapelował.

Skąd takie obawy przed politykami, którzy zajmują się dziś głównie zarabianiem wielkich pieniędzy w swojej fundacji? Okazuje się, że nieśmiałe spekulacje na temat możliwego startu Hillary Clinton w prawyborach w Partii Demokratycznej zaczynają nabierać rumieńców. Philippe Reines – jeden z czołowych doradców Hillary Clinton, a w 2000 r. wpływowa postać w kampanii wyborczej Ala Gore'a – gościł ostatnio w programie Tuckera Carlsona w Fox News. Dodajmy, że jest to jeden z najbardziej antyclintonowskich programów w amerykańskiej telewizji. Reines powiedział w nim, że jeśli Hillary Clinton „zakłada, że ma największe szanse na pokonanie Donalda Trumpa, to znaczy, że przeanalizowała to sobie dobrze". Dodał też, że „Hillary nie startuje, bo lubi wielu kandydatów. Kilku z nich rozważała kiedyś w charakterze swojego wiceprezydenta. Prawdopodobnie jednak ona sama byłaby najlepszą kandydatką, która nie tylko byłaby w stanie pokonać Donalda Trumpa, lecz także rządzić w epoce po Trumpie".

Wygląda na to, że Reines, tocząc takie dywagacje w bardzo nieprzyjaznej dla siebie stacji telewizyjnej, bada grunt i reakcje mainstreamu demokratów. Sama Clinton na razie odcina się od tych spekulacji, ale jednocześnie rzuca żarciki typu „nie kuście mnie". Sekundują jej niektóre liberalne media. Kierowane do masowego czytelnika „Vanity Fair" poświęciło cały artykuł krążącej plotce na temat wejścia Clinton do wyścigu prezydenckiego.

Na razie prawyborcze debaty u demokratów wskazują, że ich kandydatem będzie zapewne 76-letni Joe Biden. Jednak na Bidenie może się negatywnie odbić sprawa jego syna powiązanego ze skorumpowanymi firmami z Ukrainy. Czy w przypadku słabych sondaży innych pretendentów Hillary Clinton nie będzie się jawić jako ostatnia deska ratunku?

Łukasz Adamski

Fot. JStone/Shutterstock.com

Turcja

Bomba Erdoğana

Zaczynają się potwierdzać obawy, że irański program nuklearny, który mocno niepokoi dziś Stany Zjednoczone i Izrael, może się stać wstępem do atomowego wyścigu zbrojeń na Bliskim Wschodzie. Ambicje nuklearne coraz bardziej otwarcie wyraża bowiem Turcja.

We wrześniu prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan po raz pierwszy otwarcie oświadczył, że zakaz posiadania broni jądrowej jest dla niego nie do zaakceptowania. Sugerował także, że pozyskanie bomb atomowych powinno stanowić główne wyzwanie dla tureckich sił zbrojnych. Turcja poczyniła już pewne kroki w tym kierunku, zgromadziła rezerwy uranu i zbudowała doświadczalne reaktory jądrowe, które rozwija we współpracy z Rosją i Pakistanem. Zdaniem amerykańskich ekspertów technologie nuklearne, którymi dysponuje dziś Turcja, mogą się okazać wystarczające do rozpoczęcia prac nad bronią masowego rażenia.

Warto tu zauważyć, że od wielu lat na terytorium Turcji znajdują się taktyczne bomby termojądrowe należące do NATO. Zapas bomb zgromadzono na terenie bazy lotniczej İncirlik i miały one posłużyć Sojuszowi na wypadek wojny z ZSRR (a potem z Rosją). W tym celu tureckie samoloty F-16 zostały przystosowane do przenoszenia i zrzutu bomb nuklearnych.

Baza İncirlik, z której korzystają dziś głównie Amerykanie, formalnie należy do Turcji, dlatego niektórzy eksperci się obawiają, że w przypadku dalszego zaostrzenia napięcia między Ankarą a Waszyngtonem Turcy nieoczekiwanie odbiorą bazę Sojuszowi wraz z jej bombową zawartością. Oczywiście musiałoby to oznaczać ostateczny rozwód Turcji z NATO, ale i tak – przynajmniej od czasu lipcowego puczu przeciw Erdoganowi w 2016 r., o który turecki prezydent oskarżał Stany Zjednoczone – członkostwo Turcji w Sojuszu jest w dużym stopniu fikcją. To od tamtej pory datuje się gwałtowny rozwój współpracy Turcji z Rosją, której najgłośniejszym akordem był niedawny zakup przez Ankarę rosyjskich systemów przeciwlotniczych S-400. Turcja współpracuje też blisko z Rosją w branży energetycznej, czego przykładem może być gazociąg TurkStream, tłoczący gaz pod dnem Morza Czarnego, oraz kontrakt na budowę elektrowni atomowej Akkuiu, której operatorem ma być rosyjska spółka Rosatom.

Turcja pod rządami Erdoğana, podobnie jak Iran, próbuje się przekształcić w regionalne mocarstwo, co jest zresztą zgodne z wielowiekową tradycją obydwu państw. Broń atomowa ma być środkiem nacisku gwarantującym im pełną niezależność od zewnętrznych nacisków. Problem w tym, że taka polityka diametralnie zmienia układ sił w regionie i uruchamia nowy wyścig zbrojeń – należy się bowiem spodziewać, że już wkrótce kolejnym pretendentem do grona atomowych mocarstw może się stać Arabia Saudyjska. W rezultacie tej rywalizacji gwałtownie wzrasta ryzyko poważnego konfliktu wojennego, i to na znacznie większą, niż tylko lokalna, skalę.

Konrad Kołodziejski

eprasa.pl f6df03f8b5

Serbia

Zwrot na Wschód

Pod koniec października Serbia podpisała z utworzoną przez Rosję Unią Eurazjatycką porozumienie o swobodnej wymianie handlowej. Stało się tak wbrew ostrzeżeniom z Brukseli, iż tego rodzaju krok może nie tylko spowolnić akcesję tego bałkańskiego państwa do Unii Europejskiej, lecz nawet ją zablokować, bo w świetle obowiązujących reguł nie można jednocześnie należeć do dwóch bloków handlowych. W tych samych dniach, kiedy w Belgradzie podpisywano porozumienie, w Serbii odbywały się także wspólne z Rosją ćwiczenia wojskowe. Testowano systemy obrony przeciwlotniczej i w tym celu Moskwa przywiozła na Bałkany systemy przeciwrakietowe S-400 oraz najnowocześniejszy system Panzir. Jeżeli obraz ten uzupełnimy informacją, że w tym samym czasie w Serbii przebywał jeszcze szef rosyjskiego wywiadu zagranicznego Siergiej Naryszkin, który żądał nadania pracownikom rosyjskiego centrum charytatywnego w Niš statusu przedstawicieli dyplomatycznych, to zawarcie umowy o wolnym handlu należy odczytywać jako geopolityczną demonstrację, a być może przeorientowanie dotychczasowej polityki Serbii. Na marginesie warto zauważyć, że rosyjskie centrum w Niš zdaniem amerykańskich wojskowych niewiele ma wspólnego z pomocą humanitarną, a w istocie jest placówką wywiadu.

Serbski prezydent Vučić oskarżany był w ostatnim czasie przez Rosję o to, że pod płaszczykiem orientacji prorosyjskiej prowadzi politykę akcesji do Unii Europejskiej i NATO. Chodziło nie tylko o integrację gospodarczą, lecz również, a może przede wszystkim, o kwestię Kosowa. W minionym roku Belgrad przygotował z Prisztiną propozycję wymiany terytoriów zamieszkanych przez Serbów i Albańczyków, która ostatecznie upadła wskutek sprzeciwu dyplomacji, choć z różnych powodów, zarówno niemieckiej, jak i rosyjskiej.

Ostatnio mówiło się o przyjęciu przez Serbię formuły wypracowanej na początku lat 70. między obydwoma ówczesnymi państwami niemieckimi, co w konsekwencji umożliwiło NRD akces do organizacji międzynarodowych i stanowiło wstęp do międzynarodowego uznania tego kraju. Powtórzenie tego rozwiązania pozwoliłoby zażegnać spór Serbii z Kosowem i otworzyć możliwości wejścia Serbii do NATO.

Zmiana polityki Belgradu została spowodowana, jak można przypuszczać, złymi wieściami napływającymi z Brukseli. Najpierw Parlament Europejski odrzucił węgierską kandydaturę na komisarza odpowiadającego za proces rozszerzeniowy, a potem w wyniku sprzeciwu Francji oraz w mniejszym stopniu Holandii i Danii zablokowano proces przyjęcia do Unii Macedonii i Albanii. W Belgradzie najprawdopodobniej uznano, że w obliczu presji prorosyjskiej opozycji oraz niechęci Brukseli nie ma sensu dłużej się opierać ofertom Moskwy. Próżnia polityczna na Bałkanach, powstała w wyniku działań Paryża, zostanie więc wypełniona przez Rosję.

Marek Budzisz

Fot. mark reinstein/Shutterstock.com

Kenia

Aborcja dla całego świata

Od 12 do 14 listopada w Nairobi odbędzie się szczyt Funduszu Ludnościowego Narodów Zjednoczonych (UNFPA) zorganizowany w 25. rocznicę Międzynarodowej Konferencji na rzecz Ludności i Rozwoju w Kairze. Ćwierć wieku temu w Egipcie grupa państw zachodnich na czele z USA pod przywództwem Billa Clintona próbowała przedefiniować pojęcie rodziny, uznać aborcję za dopuszczalną metodę planowania narodzin oraz narzucić te rozwiązania krajom członkowskim ONZ. Plan zakończył się klęską jedynie dzięki determinacji Jana Pawła II, który zmontował koalicję państw skupionych wokół Stolicy Apostolskiej i zablokował proponowane zmiany.

Zwolennicy polityki antynatalistycznej nie zamierzają jednak składać broni i znów ruszają do ofensywy. Ma temu służyć zbliżająca się impreza w Nairobi. Organizatorzy piszą, że zapraszają na nią „wszystkich: głowy państw, ministrów, parlamentarzystów, liderów opinii, ekspertów, organizacje społeczeństwa obywatelskiego, młodzież, przedstawicieli biznesu i wspólnot, organizacje wyznaniowe, międzynarodowe instytucje finansowe, osoby niepełnosprawne, pracowników akademickich oraz podmioty zainteresowane realizacją praw w zakresie zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego".

Tak brzmi to w teorii, jednak w praktyce wygląda zupełnie inaczej. Do Kenii jako uczestnicy spotkania postanowili się wybrać reprezentanci znanych organizacji pro-life i pro-family, m.in. Citizen Go i US Center for Family. Organizatorzy odmówili im jednak rejestracji. Cel jest oczywisty: w Nairobi nie może wybrzmieć żaden głos sprzeciwu wobec antynatalistycznych i proaborcyjnych projektów UNFPA. Chodzi o to, by deklarację końcową szczytu przedstawić jako jednomyślne stanowisko tzw. międzynarodowej opinii publicznej. Znany jest już dokument roboczy zawierający 12 zobowiązań, jakie – zdaniem sygnatariuszy – powinny wziąć na siebie państwa członkowskie ONZ (m.in. powszechna dostępność aborcji czy obejmująca wszystkich edukacja seksualna). Wojna kulturowa nie zna zawieszenia broni.

Grzegorz Górny

eprasa.pl f6df03f8b5

BRONISŁAW WILDSTEIN

O mędrkach

Ogromna część najwspanialszych dokumentów kultury czy to pisanych, czy zawartych w plastyce, architekturze, muzyce próbuje oddać wykraczające poza ludzką perspektywę piękno, które odwołuje się do Boskiego porządku, czegoś, z czym mamy nadzieję obcować w życiu wiecznym

Na początku cytat: „Szkoda mi ludzi, którzy nie potrafią znaleźć sensu i celu w życiu. Nie wydaje się mi jednak, aby życie bez końca, życie wieczne rozwiązywało ten problem: raczej pogorszyłoby sprawę. Schopenhauer uważał, że nuda plasuje się na drugim miejscu za bólem wśród rzeczy najbardziej niepożądanych. Wydaje się mi nader dziwne, że ludzie, którzy ledwo wytrzymują godzinę śpiewania, modlenia się i chwalenia Pana w kościele w niedzielę, sądzą, iż będą szczęśliwi, robiąc coś przez całą wieczność. Najwyraźniej brakuje im wyobraźni".

Trzeba bardzo żałować kogoś tak pozbawionego nie tylko wyobraźni, lecz i elementarnego wyczucia jak autor tego tekstu. I na tym należałoby zamknąć omawianie tego curiosum, gdyby nie fakt, że jego autorem jest Simon Blackburn, uznany brytyjski filozof, autor licznych pozycji w tej dziedzinie, profesor najbardziej prestiżowych uczelni. Jeśli podobne głupstwa wypisywałby głośny fizyk czy biolog, można by ze smutkiem machnąć ręką, gdyby miał to być socjolog czy historyk, należałoby zastanowić się, jak jest on w stanie uczciwie uprawiać swoją profesję, ale filozof, którego dziedziną, jak nazwa wskazuje, jest miłość mądrości... Przecież przytoczony fragment dyskwalifikuje go jako człowieka myślącego.

Nie chodzi o religijną wiarę. Filozof może być agnostykiem, bo nieumotywowana niczym (nie sposób jej poważnie uzasadnić) pewność, z jaką ateista przekreśla istnienie transcendencji, budzi wątpliwości, co do jego intelektualnych kwalifikacji. Jednak wypowiadanie się o podstawowych kwestiach, w tym wypadku wiary, bez zadania sobie jakiegokolwiek trudu, aby dowiedzieć się, o co w nich chodzi, jest przekreśleniem elementarnej zasady racjonalnego przedsięwzięcia.

Blackburn rozprawia się z mentalnością wiernych, nie mając o niej zielonego pojęcia. „Życie wieczne w przyszłym świecie" traktuje jako rozciągniętą w nieskończoność modlitwę, która jest dla niego nieprawdopodobnie nudna. Nuda to kara nie nagroda, a spotęgowana przez wieczność winna budzić grozę. Zewnętrzna ocena modlitwy przez niewierzącego, który nie próbuje zrozumieć, o co w niej chodzi, przypomina kogoś, kto słuchając obcego sobie języka, uznaje, że posługujący się nim bawią się, wydając bezsensowne dźwięki, albo analfabetę śmiejącego się z ludzi zajmujących się nieznaczącymi znakami, którymi są dla niego litery. Obserwator taki uznałby, że ślęczenie nad absurdalnymi gryzmołami czy wsłuchiwanie się w próżne dźwięki jest szczytem nudy. Co pomyślelibyśmy o nim?

Blackburn rozstrzyga, że wiara jest ucieczką biedaków, którzy nie potrafią znaleźć sensu życia. Cywilizację ludzką zbudowali ludzie religijni. Angielski profesor zawdzięcza im swoje istnienie we wszystkich jego kulturowych przejawach. Kto kogo powinien żałować? To jednak tylko pierwszy poziom interpretacji, który dyskwalifikuje angielskiego filozofa.

„Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowiecze nie zdołało pojąć, jak wielkie rzeczy przygotował Bóg tym, którzy go miłują." – głosi św. Paweł w I liście do Koryntian. „Doszliśmy w tej rozmowie do rozpoznania, że żadna rozkosz cielesna, choćby największa i najpromienniejszym światłem doczesnym rozjarzona, nie zasługuje nawet na wspomnienie, a cóż dopiero na porównanie z błogością życia wiecznego" – pisze w św. Augustyn w „Wyznaniach", o swojej rozmowie z matką w Ostii, która przerodziła się we wspólną medytację. Ogromna część najwspanialszych dokumentów kultury czy to pisanych, czy zawartych w plastyce, architekturze, muzyce próbuje oddać wykraczające poza ludzką perspektywę piękno, które odwołuje się do Boskiego porządku, czegoś, z czym mamy nadzieję obcować w życiu wiecznym.

Przyszłe życie, tak jak boskość w jej transcendentnym wymiarze, jest dla człowieka tajemnicą, tak jak zresztą całość świata, w którym egzystujemy, co jest oczywiste dla każdego nieodurzonego wypływającą z nadmiernych ambicji pychą. Wystarczy zastanowić się nad poznawczymi limitami człowieka, nad uwarunkowaniem go przez kulturowe i biologiczne środowisko, które narzuca mu nieprzekraczalne ograniczenia. Powinien rozumieć to każdy filozof, jeśli jest nim rzeczywiście. Niestety, żyjemy w epoce mędrków, jak określał Pascal imitację mędrców, którzy stanowią ich zaprzeczenie. Wydaje im się, że wiedzą wszystko, i szydzą z tych, którzy nie podzielają ich opinii, bez próby zrozumienia odmiennej perspektywy, bez wysiłku choćby zastanowienia się nad kulturą, na której żerują. Powiedzieć, że brakuje im wyobraźni, to zdecydowanie za mało.

Fot. Andrzej Wiktor

92/1019/F

eprasa.pl f6df03f8b5

Patriotyzm źródłem dobrej energii

11 listopada
1918-2019

Patriotyzm to nie tylko miłość do Ojczyzny. To także szacunek do przeszłości i pamięć o Bohaterach

Jesteśmy wdzięczni tym, dzięki którym dziś możemy żyć w wolnej i niepodległej Polsce.

Energa

eprasa.pl f6df03f8b5

OGNIEM NA WPROST

Seksualne obsesje

Choć tzw. Tęczowy Piątek przeszedł w zasadzie bez echa, to znalazło się jedno miejsce, o którym stało się głośno w Polsce. Chodzi o poznańskie (a jakże) Liceum Ogólnokształcące św. Magdaleny. Część uczniów zamiast siedzieć z nosem w książkach lub korzystać z bezkarności wieku nastoletniego, wybrała walkę ideologiczną. Kilkoro z młodego narybku LGBT „śmigało po korytarzach z tęczowymi flagami" – jak donosi Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych, a potem zrobiło sobie zdjęcie przed wejściem do szkoły. Całą tę sytuację skomentował ksiądz prefekt w Zespole Szkół Ogólnokształcących i Zawodowych w Zagórowie Przemysław Brandt. „Tak renomowane liceum i poparcie dla zboczeń" – napisał w mediach społecznościowych. Natychmiast do gardła rzuciły mu się takie twory jak wspomniany już Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych, rozpętując – by użyć języka redaktorów z Czerskiej – kampanię nienawiści. Z pomocą duchownemu ruszyło m.in. Wydawnictwo Ojców Franciszkanów Niepokalanów, udostępniając prośbę o wsparcie modlitewne dla ks. Brandta. Jednak księdza najbardziej powinny podtrzymać na duchu słowa wypowiedziane niegdyś przez abp. Fultona J. Sheena. Niech również posłużą za pointę: „Jeśli głosisz Ewangelię i nikogo ona nie oburza, znaczy, że robisz coś nie tak".

Kabaretowa (od „kabaretek") dziennikarka Eliza Michalik, niegdyś gwiazda Superstacji, była prekursorką wygibasa językowego: „gościnia" (od rodzaju męskiego słowa „gość"). Zrobiła to przy okazji zaproszenia do studia Anny Grodzkiej (dawniej Krzysztofa Bęgowskiego). Zapamiętałem tę audycję, ale całkiem z innego powodu. Prowadząca zaproponowała wówczas ukaranie mnie przez sąd okrągłą sumą 20 mln zł jako przestrogę, bym więcej tekstów demaskujących środowisko LGBT i coś tam nie pisał. Mam się dobrze, piszę dalej, a Grodzka, mimo kilku prób reanimacji, znikła z życia publicznego jak kamfora. Pozostał tylko językowy wykwit „gościnia". Ostatnio skorzystała z niego nowo wybrana posłanka Partii Razem Anna Biejat: „Dzisiaj o 20 będę gościnią w programie »Minęła 20«. Zapraszam przed odbiorniki". Przede wszystkim nurkinie (od nurka) i drukarki (od drukarza).

Egipski historyk Mohamed Elhamy błysnął w telewizji Bractwa Muzułmańskiego, tworzącego najsilniejszą w Europie wspólnotę islamską. Charakteryzuje się głoszeniem na zewnątrz łagodnego przekazu Allaha, a w rzeczywistości myśli jak Mohamed Elhamy. Jego zdaniem święta wojna – dżihad – będzie trwała do dnia Sądu Ostatecznego i wymaga przemocy, bo są tacy, którzy chcą sekularyzować islam, a islam musi uratować ludzkość. Dżihad ma kilka form. Podstawową, o której zdają się nie pamiętać dziś muzułmanie, to walka dobra ze złem w samym sobie z bożą pomocą, a także siły woli. Bractwo i Elhamy wybierają jednak „atrakcyjniejszy" wariant przeciwko „niewiernym", a mianowicie rozwiązania siłowe (kital). W zasadzie do dżihadu może wezwać tylko kalif. Ostatnio niejaki Abu Bakr al-Baghdadi ogłosił się władcą Państwa Islamskiego (ISIS) i posługiwał tytułem kalifa, ponieważ należał do plemienia Kurajszytów, z którego pochodził sam prorok Mahomet. Al-Baghdadi namordował dla Allaha wielu niewinnych ludzi, a na końcu sam sczezł w ciemnym tunelu, wysadzając się w powietrze razem z trójką dzieci. I co dalej? Jak na moje oko to prędzej wielbłąd jednogarbny przejdzie przez ucho igielne, niż taki kalif trafi do Królestwa Niebieskiego.

Jak powszechnie wiadomo, poszerzanie swoich horyzontów myślowych nie jest domeną rodzimych celebrytów. Prędzej wspomniany Abu Bakr trafi do raju niż przytłaczająca większość z nich przeczyta jakąś książkę. O zrozumieniu lektury nie śmiem wspomnieć. Chyba że jest to „celebryta katolicki" z doktoratem, który u Olejnik chwali się, że codziennie chodzi do kościoła i nie zapomina o spowiedzi. Ale do brzegu. Natchniona akcją Joanny Scheuring-Wielgus – przeprowadzoną z Markiem Lisińskim, prezesem Fundacji „Nie lękajcie się", który – jak się później okazało – wyłudzał pieniądze od ofiar pedofilii, a także szantażował diecezję płocką żądaniem 200 tys. zł za rzekome molestowanie seksualne, celebrytka i modelka Anja Rubik weszła do gry, organizując akcję pod hasłem „Napisz do Franciszka". Dając sama przykład, wysmażyła stek bzdur, jakoby politycy partii rządzącej zabraniali dostępu do edukacji seksualnej. Widać, że autorka listu do papieża Franciszka w ogóle nie przeczytała, tym bardziej ze zrozumieniem, projektu ustawy społecznej (nie rządowej) „Stop pedofilii". Z drugiej strony, skąd wziąć czas na lekturę nawet łatwych tekstów, jak głową od rana do nocy miotają seksualne obsesje.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f6df03f8b5

Będzie mniej biurokracji

Marta Kaczyńska-Zielińska

Główny Urząd Statystyczny przedstawił dane, z których wynika, że w ciągu dziewięciu miesięcy 2019 r. do użytku zostało oddanych 12 proc. więcej mieszkań niż w ub.r. O trzy czwarte wzrosła liczba lokali powstałych w ramach społecznego budownictwa czynszowego. Wybudowano 145 tys. lokali o średniej powierzchni 90 mkw. Podaż mieszkań jest zatem stosunkowo duża, ale biorąc pod uwagę potrzeby, powinna być jeszcze większa.

Ministerstwo Inwestycji i Rozwoju jest inicjatorem nowelizacji przepisów prawa budowlanego, która ma na celu usprawnienie i skrócenie procesu budowlanego poprzez ograniczenie wymogów w zakresie składanych dokumentów. Teraz inwestor zamierzający wybudować dom jednorodzinny musi zgromadzić co najmniej stustronicową dokumentację. Szeroki zakres wymagań powoduje, że urzędnicy rocznie zapoznają się z treścią ok. 18 mln stron. Zgodnie z projektem ustawy zmieniającej przepisy do wniosku o udzielenie pozwolenia na budowę trzeba będzie dołączyć tylko część projektu budowlanego w trzech egzemplarzach. Wedle nowych regulacji projekt budowlany będzie się składał z projektu zagospodarowania działki lub terenu (usytuowanie, układ komunikacyjny, informacja o obszarze oddziaływania obiektu), projektu architektoniczno-budowlanego (układ przestrzenny, projektowane rozwiązania techniczne i materiałowe) i projektu technicznego (opis konstrukcji, instalacji, charakterystyka energetyczna). Projekt techniczny będzie trzeba składać w urzędzie razem z wnioskiem o udzielenie pozwolenia na użytkowanie lub wraz ze zgłoszeniem zakończenia robót. Stwierdzenie nieważności pozwolenia na budowę i decyzji o pozwoleniu na użytkowanie nie będzie mogło nastąpić po upływie pięciu lat od ich wydania. Zlikwidowane mają zostać nakładane przez przedsiębiorstwa wodociągowo-kanalizacyjne opłaty za wydanie warunków technicznych przyłączenia do sieci. Przedsiębiorstwa pod groźbą kary będą zmuszone do przestrzegania terminów podłączenia instalacji.

W ramach działań mających na celu poprawę stanu technicznego budynków Ministerstwo Inwestycji i Rozwoju przedstawiło inicjatywę ustawodawczą mającą na celu ułatwienie legalizacji co najmniej 20-letnich samowoli budowlanych. Biorąc pod uwagę nierzadką opieszałość organów nadzorczych i istniejące od wielu lat zabudowania wzniesione bez odpowiednich zezwoleń, nowe przepisy na pierwszy rzut oka zdające się mieć niszowe zastosowanie, mogą się okazać popularne. Właściciele budynków postawionych bez pozwolenia, w skrajnych przypadkach podlegających nakazowi rozbiórki, będą mogli skorzystać z nowej ścieżki proceduralnej, jeżeli należąca do nich nieruchomość w związku z nieuregulowanym stanem administracyjno-prawnym nie stanowi przedmiotu postępowania organu nadzoru budowalnego lub nie toczy się sprawa sądowa o samowolę. Reasumując, zalegalizowane będą mogły być budynki, których ułomny status prawny nie został uprzednio ujawniony.

Procedura legalizacyjna ma być wolna od opłat, które obecnie powstrzymują wielu obywateli od uregulowania sytuacji prawnej należących do nich nieruchomości. Trzeba zaś pamiętać o tym, że status prawny budynku wzniesionego bez wymaganego prawem pozwolenia na budowę jest niekorzystny zarówno dla inwestora, który nieruchomość zabudował, jak i dla kolejnych właścicieli samowoli. Zgodnie z orzecznictwem sądów administracyjnych nowy właściciel budynku, który w świetle prawa jest samowolą budowlaną, nie może prowadzić prac wykończeniowych. Remont samowoli budowlanej nie może zostać przeprowadzony legalnie, ponieważ doprowadziłoby to do sanacji stanu w istocie niezgodnego z prawem. Nowy właściciel jest także oczywiście potencjalną stroną postępowania o rozbiórkę budynku.

Z wielkim smutkiem
przyjąłem wiadomość o śmierci

WŁODZIMIERZA BUKOWSKIEGO

znakomitego pisarza,
obrońcy praw człowieka,
niezłomnego działacza antykomunistycznego,
wielkiego przyjaciela Polski,
zasłużonego dla niepodległości naszego kraju.

Adam Glapiński
Prezes Narodowego Banku Polskiego i Zarząd NBP

KM/10/2019

eprasa.pl f6df03f8b5

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

To możliwe

Takich tłumów studentów kościół Najświętszego Zbawiciela w Warszawie jeszcze nie widział. Na rekolekcje głoszone tam przez o. Adama Szustaka przyszło tak wielu ludzi, że dla stojących na zewnątrz trzeba było wystawić telebim. Na lemingowym placu Zbawiciela tłumy wyznawców Chrystusa? Niemożliwe nie istnieje.

4,3 proc.

– o tyle wzrosła sprzedaż detaliczna w cenach stałych we wrześniu 2019 r. w ujęciu rocznym, a w ujęciu miesięcznym spadła o 4,1 proc. – podał Główny Urząd Statystyczny. To wynik poniżej prognoz ekonomistów.

200 tys. zł

– łapówkę w takiej wysokości miał przyjąć od dewelopera zatrzymany w ubiegłym tygodniu burmistrz warszawskiej dzielnicy Włochy.

4 mln

– tyle tabletek jodu na wypadek ewentualnej katastrofy w białoruskiej elektrowni atomowej w Ostrowcu zamierza kupić litewskie ministerstwo zdrowia. Właśnie ogłosiło przetarg.

Brrr exit

27 krajów członkowskich Unii Europejskiej zaakceptowało formalnie we wtorek przedłużenie procesu wyjścia Wielkiej Brytanii ze Wspólnoty do końca stycznia 2020 r. Przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk zaznaczył, że to przedłużenie „może być ostatnie". Z naciskiem na „może".

Nowy Zabłocki

Marek Sawicki z PSL zapytany o podział środków z subwencji partyjnych przyznał, że ani jedna złotówka nie trafi do kieszeni Kukiz'15. „Nie ma podziału pieniędzy pomiędzy środowiska, które uczestniczyły w wyborach parlamentarnych na listach PSL. (...) Wszystko idzie do Klubu Polskiego Stronnictwa Ludowego, idzie także do Polskiego Stronnictwa Ludowego jako partii, natomiast środki te muszą być także przeznaczane na różnego rodzaju działania eksperckie, na promowanie klubu" – stwierdził Sawicki. „Kukiz nie dostanie nic. Ani złotówki" – dodał. No to już chyba możemy mówić: wyszedł jak Kukiz na PSL.

egrasa.pl 6df03f8b5

Bez palta

We wrocławskiej Hali Stulecia na koncercie niemieckiego didżeja Borisa Brejchy bawiło się 6 tys. osób. Niestety, po zakończeniu imprezy zrobiło się niemiło, gdy przyszło do odbioru kurtek z szatni. Okazało się, że numerków do rozdania było jedynie tysiąc i szatniarze wieszali resztę odzieży beznumerkowo. To sprawiło, że nie mogli wydać klientom ich własności. Co więcej – widząc chaos, opuścili miejsca pracy. Ludzi brali, co było pod ręką, niektórzy wyszli bez wierzchnich okryć. Winę za zamieszanie ponosi organizator imprezy. Innymi słowy: „Nie mamy pańskiego płaszcza i co pan nam zrobi?”.

> Jestem gotowa, aby w wyborach prezydenckich pokonać Andrzeja Dudę i mam pomysł, jak to zrobić” – powiedziała Małgorzata Kidawa-Błońska. Na starcie przydałaby się odrobina pokory, bo Bronisław Komorowski też był pewny zwycięstwa.

Odmówił

Katolicki ksiądz odmówił podczas mszy udzielenia komunii św. Joemu Bidenowi (kandydat na prezydenta USA z ramienia demokratów). Duchowny w oświadczeniu wysłanym CNA wyjaśnił, że odmówił udzielenia eucharystii Bidenowi z powodu jego poparcia dla legalnej aborcji. Do sytuacji doszło w parafii św. Antoniego w diecezji Charleston w Karolinie Południowej. Całe szczęście, że nie w Polsce, bo zaczęto by w księży rzucać na ulicach kamieniami.

Fot. Andrzej Wiktor (x2), Shutterstock (x3), Julita Szewczyk

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Sprawa Zychowicza. Okiem symetrysty

Dominik Zdort

To była całkiem niezła awanturka. Praca Piotra Zychowicza, aspirująca do tytułu Książki Historycznej Roku, została wycofana przez organizatorów konkursu. Ze skandalu na prawicy najbardziej cieszyły się media liberalne. A przyczyną była wprost niewiarygodna lekkomyślność i niefrasobliwość uczestników tego zamieszania.

Najpierw więc jury, składające się w większości z krytyków Zychowicza, przyjęło jego pracę, choć mogło odrzucić. Nie pochwaliłbym takiego rozwiązania, ale pozwoliłoby to uniknąć kolejnych błędów.

Potem się okazało, że „Wołyń...” w głosowaniu internetowym dystansuje konkurentów, i wycofali go organizatorzy konkursu – zgodnie z przepisami, ale nie rozumiejąc, że wyniknie z tego awantura. A wynikła.

Nagromadzenie lekkomyślności było w tej sekwencji wydarzeń tak wielkie, że gotów byłbym je uznać za dywersję, gdybym nie wiedział, że to zwykła bezmyślność. Plus osobista niechęć, silniejsza od rozsądku.

Finałem było unieważnienie tegorocznego konkursu. Może – jak w przypadku Nobla – za rok zostaną nagrodzone dwie książki. Olga Tokarczuk już czeka na kolejne laury.

Teraz Zychowicz i jego „zasługi”. Piotr, absolwent historii, dziennikarz, od kilku lat wydaje kolejne – z punktu widzenia polskiej tradycji patriotycznej – książki skandalizujące. Twierdzi, że powstanie warszawskie było niepotrzebne, że II RP powinna iść z Hitlerem na sowiecką Rosję, że Armia Krajowa zdradziła mieszkańców Wołynia wyrzynanych przez Ukraińców. Na każdą z tych tez przywołuje mnóstwo dowodów, rzadko wspominając o faktach przeczących jego ocenom. Niektórzy twórczość Zychowicza nazywają „pornografią historyczną”, inni zwracają uwagę, że za oceanem tego rodzaju publicystyka to norma.

Lubię czytać Zychowicza, ale nie chciałbym, aby jego twórczość zyskiwała rangę poważnych analiz. Nie sądzę, aby profesjonalne historyczne jury chciało go kiedyś nagrodzić, ale mogą – i mają święte prawo – robić to jego fani i czytelnicy.

Piotr to człowiek uwielbiający prowokować. Niestety gotów jest także podpalić pół świata, byle tylko nagłośnić swoją książkę. Tym razem też – skarżył się komu popadło, nawet mediom tak nieprzyjemnym, jak NaTemat i Onet. Ktoś powie: jego święte prawo. Ja napiszę, korzystając z wątków Zychowiczowych: to tak jakby wzywać do pomocy Wehrmacht przeciw robiącym taktyczne błędy oddziałom Armii Krajowej.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl f6df03f8b5

RZECZY POSPOLITE

Patrzmy już na Cud

Tomasz Łysiak

Z podziwem patrzyłem w tym roku na efekt działań Eryka Mistewicza i środowiska Wszystko Co Najważniejsze w sprawie nagłośnienia światu polskiej perspektywy wokół 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Przedruki stron tytułowych gazet z 1939 r. oraz teksty historyków, publicystów i polityków w specjalnych dodatkach, które ukazały się w największych gazetach na całym świecie – to był wielki sukces. Tym cenniejszy, że zrobiony przez niewielki zespół, umiejący przekonać do swojej wizji kilka instytucji państwowych i wielu uznanych autorów. W efekcie oznaczało to dotarcie do kilkuset milionów odbiorców na świecie. Tak można sobie wyobrazić dobrze konstruowaną politykę historyczną.

W chwili, w której świętujemy Dzień Niepodległości AD 2019, warto od razu spojrzeć w przód, w to, co przed nami: w stulecie obrony uzyskanej po ponad wiekowej niewoli niepodległości i zwycięstwa nad bolszewikami w Bitwie Warszawskiej. „Cud nad Wisłą" winien mieć nie tylko odpowiednią oprawę rocznicową, lecz także rangę, która uczyni zeń wydarzenie europejskie i światowe, a nie tylko polskie.

Pierwszą sprawą jest oczywiście uczczenie bohaterów sprzed stulecia – od tych najbardziej znanych po bezimiennych ochotników ginących na przedpolach stolicy. Od Piłsudskiego i ks. Skorupki po Meriana C. Coopera: bohaterów tu dziesiątki. To przed nimi musimy skłonić głowy i o nich tak opowiedzieć następnym pokoleniom, by te nigdy nie zapomniały. Ale też jest sprawa druga: kwestia nadania odpowiedniego rozmachu, doboru środków, które umożliwiłyby dotarcie z opowieścią o tym, jak Polacy uratowali Europę przed bolszewizmem, do odbiorców we Francji, w Anglii, Niemczech, Hiszpanii czy we Włoszech. Ciesząc się z wolnej Polski w święto narodowe 11 listopada, pamiętając o ojcach niepodległości, już możemy się szykować do tego, by jeszcze mocniej zdzierać gardła w sierpniu przyszłego roku. Już teraz możemy podgrzewać „narodową kadź", tak by para z hukiem i łomotem wystrzeliła z niej w trakcie obchodów stulecia zwycięskiej Bitwy Warszawskiej. Bo mamy z czego być dumni!

Podaż „orłów"

Piotr Cywiński

„Panie doktorze, o której pan przyjmuje? – Ja zawsze przyjmuję, proszę pana...". Kawał jak kawał, lekarze się z niego nie śmieją, bo jakby nawiązujący do stanu ich posiadania w garażach. Chętnie za to mówią, jak są przepracowani, że z przychodni do kliniki, a potem do prywatnego gabinetu. Taki zapieprz! Złośliwi podliczają, że niektórzy z nich pracują po 48 godzin na dobę. A z drugiej strony? Z drugiej strony lament pacjentów, że życia im nie starczy, aby doczekać się przyjęcia przez specjalistę czy na operację. A tu nagle jest! Eureka! „Kolejki są efektem nierównowagi między podażą i popytem. W warunkach publicznej ochrony zdrowia podaż jest ograniczona przede wszystkim ilością środków przeznaczanych na lecznictwo i limitowaniem świadczeń", zdiagnozowali eksperci Ogólnopolskiego Związku Lekarzy. Mówiąc wprost, chodzi o... No, kto zgadnie?

O szmal chodzi. Nie ma szmalu, nie ma usług! Znaczy są, ale trzeba zapisać się do kolejki i czekać, podobno nawet kilkanaście lat. Będzie szmal, nie będzie kolejek! Według wymienionych ekspertów należy podwyższyć składkę zdrowotną z obecnie 9 do 13,5 proc. wynagrodzenia. Czyli jeśli ktoś zarabia średnią krajową, płaciłby co miesiąc dwie stówki więcej. Ewentualnie mogą się dorzucić do tego pracodawcy. Ponadto obywatele mogliby coś tam dopłacać od wizyty, żeby nie zawracali głowy medykom bez potrzeby. Można też jak w Singapurze... – niech każdy odkłada szmal na obowiązkowe konto, z którego pokrywane byłoby jego leczenie, tudzież rodzin. Aaa, należałoby „zrewidować zbyt szeroki koszyk świadczeń gwarantowanych". Jasne?

„Gdyby głupota miała skrzydła, fruwałaby pani jak gołębica", zwrócił się do niezbyt rozgarniętej pielęgniarki doktor Štrosmajer z czeskiego serialu „Szpital na peryferiach". U nas w realu był minister zdrowia, „orzeł" Mariusz Łapiński, kombinator z SLD. Zanim został zdymisjonowany i wylany z partii, zdążył zlikwidować dobrze rokujące kasy chorych i zastąpić je „enefzetem", de facto uznanym już w 2004 r. przez Trybunał Konstytucyjny za sprzeczny z Konstytucją RP.

I co? I nic! Lata mijają i wciąż nie ma odważnych, aby cofnąć cofnięcie i dokonać gruntownej przebudowy naszego systemu opieki zdrowotnej. Jak „na fundusz", to „proszę wpisać się do kolejki", jak prywatnie, można od razu. Jak w innym kawale: „Pacjent leżący na stole operacyjnym łapie chirurga za rękę: – Niech pan mnie ratuje! Na to chirurg: – Najpierw pieniądze! U nas obowiązują zasady. Pomożesz takim, a później żadnej wdzięczności!".

eprasa.pl f6df03f8b5

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: IPN x5, ANDRZEJ WITKOR x3

Zatoczyłam aktorskie koło

z Małgorzatą Buczkowską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jak to jest być królową?

Małgorzata Buczkowska: Wspaniale. Przyznam, że dawno nie cieszyłam się tak z roli. „Korona królów" to fantastyczny serial, a ja zagrałam w nim ciekawą, intrygującą i trudną postać – Elżbietę Bośnaczkę, żonę Ludwika Węgierskiego i matkę przyszłej świętej Jadwigi. Doceniam ogromnie, że mogłam wejść w kostium i klimat tamtych czasów.

Charyzmatyczna królowa z ambicjami, która chciałaby powtórzyć drogę swojej teściowej Elżbiety, tymczasem czeka ją dramatyczny finał?

Takie czasy, ale nie zdradzajmy zbyt wiele.

Serial „Zasada przyjemności" przyniósł zupełnie inne zadanie?

Ten mroczny kryminalny thriller zrealizowany został w międzynarodowej obsadzie i grany był po angielsku. W sumie półtora roku zdjęć, bo kręciliśmy w trzech różnych państwach: w Polsce, Czechach i na Ukrainie. Fantastyczna przygoda.

Czy udział w tej produkcji był wynikiem roli w klimatycznej, również odcinkowej „Komisji morderstw"?

Inaczej to przebiegało. Na ekranie debiutowałam w serialu „Glina" (2003). Rola była zauważalna, mocna, daleka ode mnie. Zapadłam nią w pamięć, jak się okazało, także Darkowi Jabłońskiemu, który tamten serial produkował, a w tym był reżyserem. Przypomniał sobie o mnie i zagrałam, tym razem główną rolę. „Zasadą przyjemności" zatoczyłam więc aktorskie koło.

Nieoczekiwany scenariusz?

Ale jaki ciekawy. Nauczyłam się przy trójce dzieci niczego nie planować, ale też być otwartą na to, co życie przyniesie.

fot. Baranowski/AKPA

eprasa.pl f6df03f8b5

Zbrodnia i bezkarność

Ma na rękach krew polskich bohaterów. Skazywał ich na śmierć i tortury za sprzeciw wobec komunistycznej władzy. Czerpał też osobistą satysfakcję z obserwowania egzekucji. Prokuratorzy IPN podejmują kolejną próbę ściągnięcia do Polski i osądzenia Stefana Michnika. Czy Szwedzi przestaną wreszcie kryć stalinowskiego zbrodniarza?

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

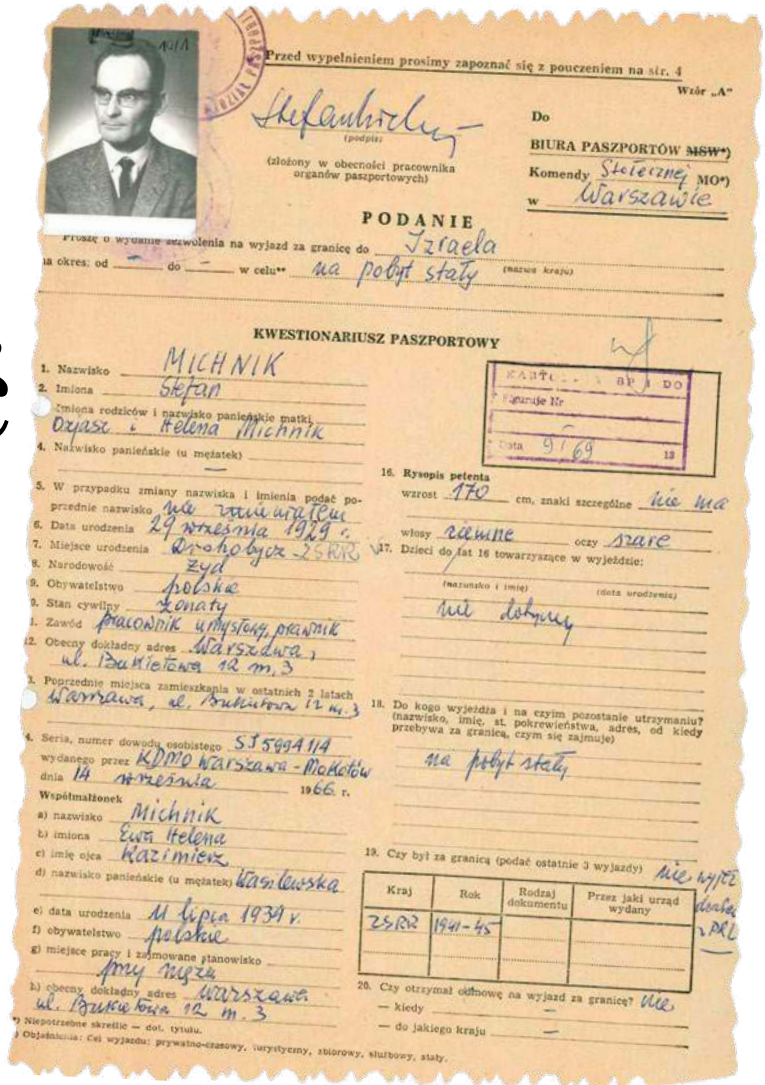

Przed wypełnieniem prosimy zapoznać się z pouczeniem na str. 4

Wzór „A"

(podpis)

(złożony w obecności pracownika organów paszportowych)

Do BIURA PASZPORTÓW MSW*) Komendy Stołecznej MO*) w Warszawie

PODANIE

Proszę o wydanie zezwolenia na wyjazd za granicę do Izraela na okres: od — do — w celu** na pobyt stały (nazwa kraju)

KWESTIONARIUSZ PASZPORTOWY

1. Nazwisko MICHNIK
2. Imiona Stefan
3. Imiona rodziców i nazwisko panieńskie matki Dziadek i Helena Michnik
4. Nazwisko panieńskie (u mężatek) —
5. W przypadku zmiany nazwiska i imienia podać poprzednie nazwisko na zawiadczeniu
6. Data urodzenia 29 września 1929 r.
7. Miejsce urodzenia Drohobycz ZSRR
8. Narodowość żyd
9. Obywatelstwo polskie
9. Stan cywilny żonaty
11. Zawód pracownik umysłowy, prawnik
12. Obecny dokładny adres Warszawa, ul. Bukietowa 12 m. 3
13. Poprzednie miejsca zamieszkania w ostatnich 2 latach Warszawa, ul. Bukietowa 12 m. 3
14. Seria, numer dowodu osobistego SJ 5994 1/4 wydanego przez KDMO Warszawa-Mokotów dnia 14 września 1966 r.

Współmałżonek
a) nazwisko Michnik
b) imiona Ewa Helena
c) imię ojca Kazimierz
d) nazwisko panieńskie (u mężatek) Wasilewska
e) data urodzenia 11 lipca 1934 r.
f) obywatelstwo polskie
g) miejsce pracy i zajmowane stanowisko przy mężu
h) obecny dokładny adres Warszawa ul. Bukietowa 12 m. 3

KARTA ... BP i DO
Paszporte Nr
Data 9/69 13

16. Rysopis petenta
wzrost 170 cm, znaki szczególne nie ma
włosy ciemne oczy szare
17. Dzieci do lat 16 towarzyszące w wyjeździe:
(nazwisko i imię) (data urodzenia)
nie dotyczy
18. Do kogo wyjeżdża i na czyim pozostanie utrzymaniu? (nazwisko, imię, st. pokrewieństwa, adres, od kiedy przebywa za granicą, czym się zajmuje)
na pobyt stały
19. Czy był za granicą (podać ostatnie 3 wyjazdy) nie wyjeżdżał w PRL

Kraj	Rok	Rodzaj dokumentu	Przez jaki urząd wydany
ZSRR	1941-45		

20. Czy otrzymał odmowę na wyjazd za granicę? nie
— kiedy —
— do jakiego kraju —

*) Niepotrzebne skreślić — dot. tytułu.
**) Objaśnienia: Cel wyjazdu: prywatno-czasowy, turystyczny, zbiorowy, służbowy, stały.

Zdjęcia IPN

„Stali w wodzie, byli bici, byli głodzeni, a przede wszystkim byli straszeni" – relacje rodzin ofiar sądowych mordów Stefana Michnika są wstrząsające. Nie wszystkie wymierzone kary śmierci wykonano, ale już samo oczekiwanie na decyzję, czy do egzekucji dojdzie, było niewyobrażalną torturą. Leonard Babiński, siostrzeniec Felicji Wolff vel Anny Neumann, w reportażu „Kara łączna, kara śmierci" Marcina Tulickiego w TVP: „Ciotka, mając wyrok śmierci, nie wiedziała nawet o tym, że jej obrońca wystąpił o zmianę na dożywocie, a dowcipny funkcjonariusz przyszedł i powiedział: »Nie chciałaś uniewinnienia, nie chciałaś dożywocia, to chodź na wyrok«".

Kobieta została skazana za szpiegostwo i posiadanie 200 dol. Karę w końcu zamieniono jej na dożywocie.

„Przyszli do domu, zapytali, który to jest Hubert Cieślak. Wykręcili mu ręce i zabrali go do samochodu" – opowiada wdowa Irena Cieślak. Proces był błyskawiczny, obrońca miał pięć minut. Wyrok wydany przez Stefana Michnika surowy: potrójna kara śmierci. Pierwsza za posiadanie broni, druga za próbę obalenia siłą ustroju socjalistycznego, a trzecia za przynależność do nielegalnej organizacji niepodległościowej.

Wyroki śmierci na Mokotowie wykonywano w kilku miejscach, najczęściej na schodach prowadzących do mokrego karceru pod tzw. pałacem cudów. Tak nazywany był budynek, w którym bezpieka prowadziła najcięższe przesłuchania. Działy się tam takie cuda, że ludzie przyznawali się w końcu nawet do rzeczy, których nie zrobili.

10 stycznia 1952 r. o godzinie 19.45 w to miejsce przyprowadzono Zefiryna Machallę, majora Wojska Polskiego, żołnierza wojny obronnej 1939 r. Po odczytaniu wyroku wydanego niespełna dwa miesiące wcześniej przez Stefana Michnika, strzałem w tył głowy uśmiercił go więzienny kat Aleksander Drej. 10 października 1953 r. przed południem w miejsce straceń dotarł Stefan Michnik. Osobiście nadzorował wykonanie wyroku na rtm. Andrzeju Czaykowskim, cichociemnym. Jego też uśmiercił Drej.

Choćby tylko za te nieliczne przypadki należałoby wymierzyć sprawiedliwość Stefanowi Michnikowi. Na sumieniu ma on jednak dużo, dużo więcej.

ZABIĆ WROGÓW POLSKI LUDOWEJ

To już trzeci europejski nakaz aresztowania (ENA), jaki wobec Michnika wydaje pion śledczy IPN. Nie udało się w 2010 ani 2018 r. Dotychczas szwedzkie sądy odmawiały jego realizacji, stwierdzając, że zarzucane mu czyny uległy przedaw-

eprasa.pl f6df03f8b5

nieniu (według szwedzkiego prawa), a także powołując się na fakt, iż od 1977 r. jest on obywatelem Szwecji.

Tym razem ma być inaczej. Zamiast 30 zarzutów (jak w ubiegłym roku) prokuratorzy z pionu śledczego IPN udokumentowali 93 zarzuty wobec stalinowskiego zbrodniarza. Jak argumentują w 174-stronicowym piśmie, czyny te nie uległy przedawnieniu, gdyż w chwili popełnienia stanowiły zbrodnie przeciwko ludzkości, co sankcjonowało prawo międzynarodowe – zwłaszcza Karta Międzynarodowego Trybunału Wojskowego. Dodatkowo w dokumencie przywołana jest konwencja o niestosowaniu przedawnienia wobec zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości przyjęta przez Zgromadzenie Ogólne ONZ. Wydaje się, że to najlepiej uargumentowany z wniosków o aresztowanie Michnika, a na pewno taki z najmocniejszą podstawą prawną.

Wśród 93 zarzutów najcięższe dotyczą całkowicie bezpodstawnych wyroków śmierci wydawanych przez Michnika na polskich bohaterów. ENA precyzuje siedem takich przypadków: na najwyższy w stalinowskiej Polsce wymiar kary Michnik skazał mjr. Zefiryna Machallę (oficer WP w II RP, dowódca w czasie kampanii wrześniowej), Huberta Cieślaka (członka konspiracyjnej organizacji niepodległościowej „Kraj"), kpt. ż.w. Edwarda Gubałę, Felicję Wolff vel Annę Neuman (kurier II Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa), por. Franciszka Bloka (żołnierza Legionów, członka m.in. ZWZ, AK i Zrzeszenia „WiN") i oficerów wojska II RP płk. Maksymiliana Chojeckiego oraz mjr. Jerzego Lewandowskiego. Na pierwszym z wymienionych wyrok wykonano. Pozostałym kary złagodziła (do dożywocia, 15 i 12 lat więzienia) Rada Państwa bądź Najwyższy Sąd Wojskowy.

Według ENA Michnik następne dwie osoby (działaczkę przedwojennego PSL Janinę Sławińską i łączniczkę AK Sylwię Rzeczycką) skazał na dożywocie, a kolejnych osiem na kary od 12 do 15 lat więzienia. Nikt ze skazanych na żadną karę nie zasłużył. Ale procesy miały być pokazowe. Wystarczy zresztą poczytać uzasadnienia wyroków wydawanych przez Michnika.

O Zefirynie Machalli: „W pobudkach swego działania oskarżony kierował się nienawiścią do mas pracujących Narodu i wolą przywrócenia ustroju wyzysku i rządów zdrady narodowej. [...] Skazany Machalla jest jednostką wysoce niebezpieczną społecznie i popełnionymi zbrodniami zasłużył na karę śmierci".

O Hubercie Cieślaku: „Interesy Państwa Polskiego wymagają najsurowszej represji karnej dla zdrajców ojczyzny terrorystów i dywersantów, a oskarżony jest właśnie takim człowiekiem".

O Edwardzie Gubale: „Działał on nie tylko na szkodę swojej Ojczyzny – Polski Ludowej, ale również na szkodę jej wielkiego sojusznika – Związku Radzieckiego, dając tym samym wyraz swej bezgranicznej wrogości do obozu pokoju i postępu. W tych warunkach nawet skrucha nie może być brana pod uwagę jako okoliczność łagodząca".

O Felicji Wolff: „Zaślepiona swą nienawiścią do władzy ludowej wolała za pieniądze sprzedawać swą ojczyznę [...] Nie znajdując względem oskarżonej żadnych okoliczności łagodzących, gdyż ani podeszły wiek, ani płeć w wypadkach takich zbrodni nie mogą nimi być – Sąd doszedł do przekonania, że wobec wyjątkowo znacznego stopnia społecznego niebezpieczeństwa oraz wyjątkowo silnego napięcia złej woli u oskarżonej, jedynie słuszną karą będzie najwyższy wymiar kary".

> To już trzeci europejski nakaz aresztowania (ENA), jaki wobec Michnika wydaje pion śledczy IPN. Nie udało się w 2010 ani 2018 r. Jak będzie teraz?

O Maksymilianie Chojeckim: „Działał w zamiarze usunięcia przemocą władzy ludowej w Polsce [...] jego długotrwała i nasilona działalność zdrady na rzecz imperialistycznych wrogów Narodu i Państwa Polskiego".

O Ludomirze Sakowiczu (w czasie wojny działał w konspiracji, usłyszał wyrok 15 lat więzienia): „Oskarżony podczas okupacji tkwił w środowisku reakcyjnym, brutalnie i haniebnie zwalczającym działaczy postępowych [...] Wrogość oskarżonego do klasy robotniczej jako źródło jego zbrodniczych czynów przejawiała się w długim okresie jego życia. A zatem względy prewencji szczególnej, jak i ogólnej, ze względu na wyjątkowo niebezpieczny charakter dokonanych zbrodni, wymagają izolowania oskarżonego od społeczeństwa na długi czas".

Powtarza się jeden argument: wróg Polski Ludowej. A za to należało się, według sędziego Michnika, albo długoletnie więzienie, albo strzał w potylicę.

Prokuratorzy IPN wskazują na wiele innych przestępstw Michnika popełnionych wobec kolejnych kilkudziesięciu osób. Chodzi m.in. o bezprawne przetrzymywanie w areszcie czy uniemożliwienie korzystania z obrony.

COŚ UMYKA

Wiele wskazuje na to, że opisany powyżej wniosek o tymczasowy areszt dla Stefana Michnika, choć bardzo obszerny, może być niekompletny, i to w kwestiach zasadniczych. Prokurator Sławomir Szulc wylicza w nim bowiem siedem wyroków śmierci wydanych przez sąd z Michnikiem w składzie, z których wykonany miał być tylko jeden. W archiwum Instytutu Pamięci Narodowej jest natomiast dokument, który świadczy o tym, że takich przypadków było więcej.

Chodzi o wyrok z 6 lipca 1951 r. wydany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie. Przewodniczył mjr Piotr Adamowski, a towarzyszyli mu chor. Jerzy Godlewski i ppor. Stefan Michnik. Dysponujemy tylko pierwszą stroną tego dokumentu, na niej widnieje zapis, że rozpatrzono sprawy oskarżonych o przestępstwa z Kodeksu karnego Wojska Polskiego: Karola Sęka, Stanisława Oknińskiego, Tadeusza Moniuszki, Juliana Myrchy i Mieczysława Izdebskiego.

eprasa.pl f6df03f8b5

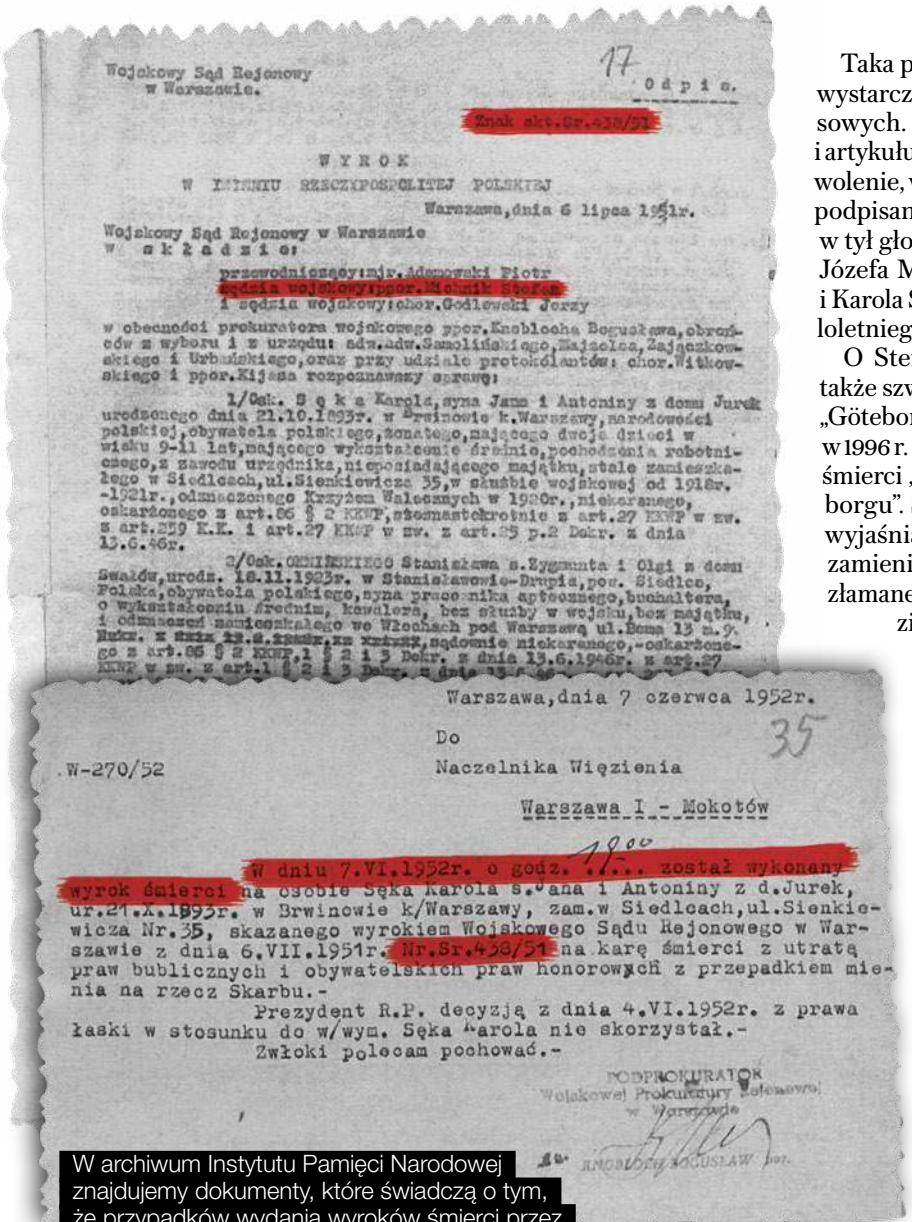

Wojskowy Sąd Rejonowy
w Warszawie.

17

Odpis.

Znak akt.Sr.438/51

WYROK
W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Warszawa, dnia 6 lipca 1951r.

Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie
w składzie:

przewodniczący: mjr. Adamowski Piotr
sędzia wojskowy: ppor. Michnik Stefan
i sędzia wojskowy: chor. Godlewski Jerzy

w obecności prokuratora wojskowego ppor. Knoblocha Bogusława, obrońców z wyboru i z urzędu: adw. adw. Samolińskiego, Zajaclca, Zajączkowskiego i Urbańskiego, oraz przy udziale protokolantów: chor. Witkowskiego i ppor. Kijasa rozpoznawszy sprawę:

1/Ośk. Sęka Karola, syna Jana i Antoniny z domu Jurek urodzonego dnia 21.10.1893r. w Brwinowie k. Warszawy, narodowości polskiej, obywatela polskiego, żonatego, mającego dwoje dzieci w wieku 9-11 lat, mającego wykształcenie średnie, pochodzenia robotniczego, z zawodu urzędnika, nieposiadającego majątku, stale zamieszkałego w Siedlcach, ul. Sienkiewicza 35, w służbie wojskowej od 1918r. -1921r., odznaczonego Krzyżem Walecznych w 1920r., niekaranego, oskarżonego z art. 86 § 2 KKWP, stosunkotkrotnie z art. 27 KKWP w zw. z art. 259 K.K. i art. 27 KKWP w zw. z art. 85 p. 2 Dekr. z dnia 13.6.46r.

2/Ośk. OKNIŃSKIEGO Stanisława s. Zygmunta i Olgi z domu Swałdw, urodz. 18.11.1923r. w Stanisławowie-Drupia, pow. Siedlce, Polska, obywatela polskiego, syna pracownika aptecznego, buchaltera, o wykształceniu średnim, kawalera, bez służby w wojsku, bez majątku, i odznaczeń zamieszkałego we Włochach pod Warszawą ul. Boma 13 m. 9. Dekr. z dnia 13.6.1946r. za [illegible], sądownie niekaranego, oskarżonego z art. 86 § 2 KKWP, 1 § 2 i 3 Dekr. z dnia 13.6.1946r. z art. 27 KKWP w zw. z art. 1 § 2 i 3 Dekr. z dnia 13.6.46r.

Warszawa, dnia 7 czerwca 1952r.

35

Do
Naczelnika Więzienia
Warszawa I - Mokotów

W-270/52

W dniu 7.VI.1952r. o godz. 19.00 został wykonany wyrok śmierci na osobie Sęka Karola s. Jana i Antoniny z d. Jurek, ur. 21.X.1893r. w Brwinowie k/Warszawy, zam. w Siedlcach, ul. Sienkiewicza Nr. 35, skazanego wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie z dnia 6.VII.1951r. Nr. Sr. 438/51 na karę śmierci z utratą praw publicznych i obywatelskich praw honorowych z przepadkiem mienia na rzecz Skarbu.-

Prezydent R.P. decyzją z dnia 4.VI.1952r. z prawa łaski w stosunku do w/wym. Sęka Karola nie skorzystał.-

Zwłoki polecam pochować.-

PODPROKURATOR
Wojskowej Prokuratury Rejonowej
w Warszawie
KNOBLOCH BOGUSŁAW por.

W archiwum Instytutu Pamięci Narodowej znajdujemy dokumenty, które świadczą o tym, że przypadków wydania wyroków śmierci przez Michnika było więcej, niż doliczyli się ich prokuratorzy IPN

Na kolejnych stronach jest zapewne określenie, jaki wyrok wydał sąd. Z innego dokumentu, do którego dotarliśmy, wynika, że pierwszy na liście Karol Sęk, odznaczony w 1920 r. Krzyżem Walecznych, został stracony w mokotowskim więzieniu 7 czerwca 1952 r. o godz. 19.00 na podstawie tego właśnie wyroku (sygnatura Sr. 438/51). W piśmie potwierdzającym wykonanie kary śmierci jest też mowa o „utracie praw publicznych i obywatelskich praw honorowych z przepadkiem mienia na rzecz Skarbu". Wiadomo też, że „Prezydent R.P. decyzją z dnia 4.VI.1952 r. z prawa łaski w stosunku do w/wym. Sęka Karola nie skorzystał".

Zwracamy uwagę na te archiwalia jednemu z prokuratorów, ten dziwi się, dokumentu nie zna. Z rozbrajającą szczerością przyznaje natomiast: – Cóż, może tak być, że coś nam umknęło...

Taka postawa musi dziwić, do zdobycia tej wiedzy wystarczy bowiem uważne śledzenie materiałów prasowych. Sięgamy do „Naszego Dziennika" z 2010 r. i artykułu prof. Krzysztofa Szwagrzyka „Czułem zadowolenie, wydając wyroki na wrogów...": „Na podstawie podpisanych przez niego wyroków śmierci strzałem w tył głowy zamordowano: mjr. Zefiryna Machallę, Józefa Marcinkowskiego, Stanisława Oknińskiego i Karola Sęka. [...] Wyroków Michnika z karami wieloletniego więzienia nikt dotąd nie policzył".

O Stefanie Michniku od czasu do czasu pisze także szwedzka prasa. W lutym tego roku na łamach „Göteborgs-Posten" przypomniano postać zmarłego w 1996 r. Tadeusza Jędrzejkiewicza, na którego wyrok śmierci „wydała osoba mieszkająca obecnie w Göteborgu". Stąd zainteresowanie dziennikarzy, którzy wyjaśniali, że „wyrok śmierci dla Jędrzejkiewicza zamieniono na 10 lat więzienia, ale jego życie zostało złamane. [...] Był on wielokrotnie torturowany w więzieniu Służby Bezpieczeństwa, m.in. zmuszony do siedzenia na krześle z gwoździem. [...] Jego rodzina miała problem ze znalezieniem pracy oraz edukacją. W latach 70. córka Jędrzejkiewicza uciekła do Szwecji". Gazeta dziwi się decyzji szwedzkiego sądu, który odmówił ekstradycji sędziego do Polski, uznając ją za „pod każdym względem bardzo dziwną interpretację". Tego przypadku polscy prokuratorzy w ENA nie opisali. Ilu jeszcze?

„BEZWIEDNE NARZĘDZIE TERRORU"

Stefan Michnik to ostatni żyjący stalinowski sędzia wojskowy, o którym wspomina w swoim raporcie powołana w 1956 r. komisja Mariana Mazura (zastępcy prokuratora generalnego PRL). Badała ona odpowiedzialność pracowników Głównego Zarządu Informacji, Naczelnej Prokuratury Wojskowej i Najwyższego Sądu Wojskowego za łamanie prawa w okresie stalinowskim. Komisja stwierdziła, że wymieniona siódemka sędziów uczestniczyła „w różnym zakresie w łamaniu praworządności w sądownictwie wojskowym". Karą wobec Michnika było... przeniesienie do Wojskowego Sądu Okręgowego. Krótko po tym kapitan LWP przeszedł do rezerwy.

Rok wcześniej w czasie narady partyjnej Michnik tak tłumaczył swoje postępowanie: „Używano nas – młodych sędziów – do rozpoznawania tych spraw, dlatego że nas łatwo można było dostosować do systemu, używać jako bezwiedne narzędzie terroru w stosunku do niewinnych ludzi. Nam wtedy imponowało powiedzenie o zaostrzającej się walce klasowej i nieprawdę powie ten, kto by twierdził, że wtedy z niechęcią rozpatrywał sprawy. Ja wiem, że raczej ludzie garnęli się do tych spraw, sam muszę przyznać, że kiedy do-

eprasa.pl f6df03f8b5

stałem pierwszy raz poważną sprawę, to nosiłem ją przy sobie i starałem się, żeby mi tej sprawy nie odebrano".

To samo powtórzył po ponad 40 latach. W 1999 r. udzielił wywiadu szwedzkiemu dziennikowi „Dagens Nyheter", w którym stwierdził: „Czułem zadowolenie, wydając wyroki na wrogów [...] Wierzyłem, że służę swojemu krajowi. Dzisiaj widzę, że zostałem oszukany".

Chcieliśmy porozmawiać o tym ze Stefanem Michnikiem. Odebrał telefon komórkowy – tylko tak można się z nim skontaktować, bo od kilku lat przebywa w domu opieki w Göteborgu. Po próbie potwierdzenia, że dobrze się dodzwoniliśmy – zaprzeczył po polsku i rzucił słuchawką. Konsekwentnie nie udziela wypowiedzi polskiej prasie. W 2016 r. udało się z nim porozmawiać Maciejowi Maroszowi z „Gazety Polskiej" tylko dzięki temu, że podał się za działacza KOD. Krótko odniósł się do swojej działalności w latach 50.: „Z braku innych znaleźli Michnika, który w tym okresie był na najniższym szczeblu w aparacie, a tych, którzy mieli coś do powiedzenia, już dzisiaj nie ma".

Podobną argumentację od lat stosują polskie media sprzeciwiające się pociąganiu do odpowiedzialności stalinowskich zbrodniarzy. Tyle że dodają jeszcze jeden argument: poprzez Stefana próbuje się zapolować na Adama Michnika. Tę narrację narzucił zresztą sam redaktor naczelny „Gazety Wyborczej", przyrodni brat stalinowskiego zbrodniarza. Najszerzej o Stefanie wypowiedział się w 1995 r. w książce „Między panem a plebanem": „Po wojnie syn mojej mamy, Stefan Michnik, skończył szkołę im. Duracza, czyli przyspieszony kurs prawa dla pracowników ludowego wymiaru sprawiedliwości. Bo po wojnie komuniści uznali, że w sądach trzeba zrobić lustrację i defaszyzację, co polegało na usuwaniu pracowników przedwojennego wymiaru sprawiedliwości. W szkole Duracza wykuwano nowe, słuszne ideologicznie kadry. Prosto po szkole Stefan jako młody, dwudziestoparoletni chłopak został sędzią w sądzie wojskowym, gdzie odbywały się między innymi procesy polityczne. [...] Kiedy zapadały najgorsze wyroki, Stefan był dwudziestoparoletnim człowiekiem, który niewiele rozumiał z tego, co się działo. Naturalnie to go nie usprawiedliwia, ale nie uzasadnia też aż takiego eksponowania jego roli w stalinowskich zbrodniach sądowych. Walono w niego, żeby zdyskredytować mnie. Mógł uważać, że to za moją przyczyną jego grzechy zostały nagłośnione nieproporcjonalnie mocno, znacznie mocniej od grzechów ludzi starszych wiekiem i stopniem, którzy w ówczesnych sądach podejmowali decyzje".

Ale przecież nie o naczelnego „GW" chodzi, lecz o sprawiedliwość, która powinna dosięgnąć być może ostatniego z żyjących zbrodniarzy sądowych tamtych czasów. Niezależnie od tego, czyim jest bratem, synem, ojcem.

„PRAGNĘ USTROJU JAK W ZSRR"

Syn Ozjasza Szechtera, działacza nielegalnej Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, zapisał się do Oficerskiej Szkoły Prawniczej jako 19-latek w sierpniu 1949 r. W podaniu cieszył się, że placówka „kształci tych, którzy będą realizować dyktaturę proletariatu w praktyce".

Przejrzeliśmy jego teczkę personalną z tamtego okresu – dobrowolnie współpracował bowiem jako rezydent o pseudonimie Kazimierczak z Informacją Wojskową (kontrwywiadem wojskowym PRL, podległym bezpośrednio Moskwie). W swoim życiorysie napisał (pisownia oryginalna – przyp. red.): „Ojciec mój jako komunista był prześladowany przez sanację. Nauczył mnie nienawidzieć wszelki ucisk i kochać wolność. Podczas mego pobytu w ZSRR, widząc jak naród radziecki walczy o swą niepodległość, doszłem do przekonania, że tylko taki ustrój jest zdolny do walki o życie, o lepsze jutro. Pragnę też, aby w Polsce zapanował taki ustrój."

> „Ojciec mój jako komunista był prześladowany przez sanację. Nauczył mnie nienawidzieć (pisownia oryginalna) wszelki ucisk i kochać wolność" – napisał w swoim życiorysie Michnik

W raporcie o zezwolenie na werbunek ppor. Straczyński pisał o Michniku: „Pod względem politycznym wykazał się szczerze oddanym obecnej rzeczywistości, a zwłaszcza jeżeli chodzi o ustosunkowanie do Związku Radzieckiego. Dużo pracy w kompanii swojej podch. Michnik położył nad uświadomieniem kolegów nie rozumiejących dokładnie znaczenia zwycięstw Armii Radzieckiej i tu ciągle tłumaczy artykuły z gazet radzieckich na język polski co przyczynia się w dużej mierze do podnoszenia poziomu politycznego słabszych podchorążych". Rozpoczęcie tajnej współpracy z peerelowskimi służbami było ważnym wydarzeniem w jego życiu: „Zauważyłem, iż mocno był on przejęty prowadzoną rozmową i zobowiązanie pisał z dużą powagą" – zanotował trzy tygodnie później ppor. Straczyński.

Półtora roku nauki wystarczyło, by skierować młodego zdolnego komunistę do Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie (mianował go sam radziecki marszałek Konstanty Rokossowski, pełniący wówczas funkcję ministra obrony PRL). To tu orzekano największą liczbę kar śmierci na wrogów Polski Ludowej. Stefan Michnik miał w tym swój udział, choć ze swoimi statystykami nie był przodownikiem pracy. Ale się starał. „Z pierwszych prowadzonych przez siebie spraw wywiązał się nieźle, podchodząc do spraw klasowo i trafnie oraz motywując wyroki trafnie i należycie. [...] rwie się do zasiadania w charakterze wotanta w sprawach bardzo poważnych oraz do samodzielnego prowadzenia spraw nawet takich, które przerastają jego możliwości" – czytamy w opinii służbowej z 15 listopada 1951 r. autorstwa szefa WSR płk. Aleksandra Wareckiego (on sam ma na koncie wydanie wielu bezprawnych wyroków śmierci, m.in. na członków IV Zarządu Głównego WiN).

eprasa.pl f6df03f8b5

Michnik przestał orzekać jesienią 1953 r., gdy został kierownikiem gabinetu Katedry Nauk Wojskowo-Prawniczych Wojskowej Akademii Politycznej im. Feliksa Dzierżyńskiego w Warszawie. Dwa lata później był już instruktorem Wydziału Szkolenia Oddziału I Organizacji i Planowania Zarządu Sądownictwa Wojskowego. W 1956 r. awansował do stopnia kapitana, a rok później odszedł z wojska. Przez kilka miesięcy był adwokatem w Warszawie, później redaktorem w wydawnictwie MON. Przez kilka miesięcy na przełomie lat 1968–1969 był likwidatorem szkód stołecznego PZU.

W 1969 r., poprzez Izrael, wyjechał do Szwecji. Na uniwersytecie w Uppsali był bibliotekarzem. Jednocześnie współpracował z Radiem Wolna Europa, a w paryskiej „Kulturze" publikował pod pseudonimem Karol Szwedowicz. Szwecja dała mordercy azyl, spokój i bezkarność.

Po odczytaniu wyroku wydanego przez Stefana Michnika strzałem w tył głowy więzienny kat uśmiercił w styczniu 1952 r. Zefiryna Machallę, żołnierza wojny obronnej 1939 r.

PROKURATORSKI CYRK

Za polskich prokuratorów oczywiście należy trzymać kciuki, bo sprawiedliwe osądzenie Stefana Michnika byłoby choć minimalną satysfakcją dla rodzin ofiar, które wysłał na stracenie. Praktyka podpowiada nam jednak, że misja sprowadzenia sędziego do Polski może się nie powieść. Między innymi z powodu trudnego do wytłumaczenia marazmu w pracy śledczych, traktowania podobnych spraw akcyjnie, niemal piarowo (nagłaśnianie sprawy w kampanii wyborczej), ale także innych przeszkód. Wiele państw bardzo niechętnie wydaje komunistycznych zbrodniarzy, a ponadto trudno nie odnieść wrażenia, że ci o pochodzeniu żydowskim są pod wyjątkową ochroną.

Niech przykładem będzie treść korespondencji pomiędzy Polską i Izraelem w sprawie ekstradycji Salomona Morela, powojennego komendanta obozu Zgoda w Świętochłowicach, gdzie zginęło 1855 osób. Mówimy tu tylko o przypadkach udokumentowanych przez IPN, domniemana liczba ofiar jest bowiem większa. Strona polska wystąpiła o wydanie zbrodniarza 5 kwietnia 2004 r., stawiając mu 9 zarzutów: m.in. pobicia, znęcania się fizycznego i moralnego, sprowadzenia niebezpieczeństwa powszechnego dla życia i zdrowia więźniów. Odpowiedź z Departamentu Spraw Międzynarodowych Biura Prokuratora Krajowego Izraela nadeszła ponad rok później. Sama odmowa nie była zaskoczeniem, ale jej uzasadnienie zdecydowanie tak. Na wstępie zaznaczono „zdziwienie, że Polska w ogóle zwróciła się z taką prośbą". Dalej czytamy: „[...] w czasie wojny Morel był świadkiem morderstwa dokonanego przez polskiego policjanta na rodzicach, bracie, szwagierce. Później jego drugi brat również został zamordowany przez polskiego faszystę". A więc zbrodnicze czyny były usprawiedliwiane osobistymi przeżyciami i antysemicką nagonką. „[...] w świetle faktów uważamy, iż nie ma żadnych podstaw do przedstawienia Morelowi zarzutów popełnienia poważnych przestępstw, nie mówiąc już o »ludobójstwie« czy »zbrodniach przeciwko narodowi polskiemu«. Jeśli już, to wydaje się nam, że Morel i jego rodzina byli ewidentnie ofiarami zbrodni ludobójstwa popełnionych przez hitlerowców i Polaków z nimi współpracujących". Doprawdy szokujące odwrócenie sytuacji, na które polska strona nie potrafiła już odpowiedzieć. Salomon Morel dożył spokojnej starości w Tel Awiwie, zmarł w 2007 r.

> Chcieliśmy porozmawiać ze Stefanem Michnikiem. Odebrał telefon komórkowy. Po próbie potwierdzenia, że dobrze się dodzwoniliśmy – zaprzeczył po polsku i rzucił słuchawką

Innym głośnym przypadkiem nieskuteczności pionu śledczego IPN było fiasko w działaniach nad ekstradycją Heleny Wolińskiej-Brus (właściwe nazwisko Fajga Mindla), stalinowskiej prokurator, która stawiała zarzuty m.in. generałowi Emilowi Fieldorfowi „Nilowi". Wojskowe Biuro Emerytalne dopiero w 2006 r. przestało wypłacać jej emeryturę specjalną (ok. 1,5 tys. zł), a prezydent Lech Kaczyński pozbawił ją przyznanego w 1945 r. Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski i Krzyża Komandorskiego tego orderu (przyznanego w 1954 r.). Wojskowy Sąd Okręgowy w Warszawie na wniosek prokuratorów IPN wydał nawet europejski nakaz aresztowania wobec przebywającej w Wielkiej Brytanii zbrodniarki, co sama zainteresowana w wywodzie dla „The Guardian" określiła jako cyrk. Dożyła w Oksfordzie 89 lat.

Stefan Michnik miesiąc temu przekroczył dziewięćdziesiątkę. Wypadałoby mu życzyć jeszcze długiego życia. Przede wszystkim po to, aby polscy prokuratorzy mieli czas na przekonanie szwedzkich sądów, że morderców chronić nie należy.

eprasa.pl f6df03f8b5

Nie można milczeć o komunistycznych zbrodniarzach

Michał Karnowski i Marcin Wikło rozmawiają z prof. Krzysztofem Szwagrzykiem, wiceprezesem Instytutu Pamięci Narodowej, twórcą i szefem Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN

Żołnierze wyklęci to klęska całego środowiska postkomunistycznego. Dla nich to oznaka, że to, co robili przez dekady, się nie powiodło. Przegrali. Młode pokolenie Polaków uznało żołnierzy wyklętych za swoich bohaterów. I nie dlatego, że wydał im taki nakaz minister czy polityk, lecz dlatego, że tych ludzi przyjęli za swoich bohaterów zarówno sercem, jak i rozumem. Uznali, że to z nimi się identyfikują

W ostatnich dniach jeden z ważnych na prawicy ludzi powiedział zdanie, które nas na początku odrzuciło, ale później uznaliśmy, że warto się z nim zderzyć: „Pojawia się przesyt tematyką żołnierzy wyklętych, jest tego za dużo". Jak pan profesor na to odpowie?

Krzysztof Szwagrzyk: Takie głosy oczywiście docierają także do mnie, ale nie podzielam tego wrażenia, tej opinii. Warto się jednak zastanowić, skąd one się biorą. Myślę, że wciąż z pewnego szoku, że żołnierze wyklęci na trwale zostali wpisani w polski krajobraz historyczny, w nasze życie publiczne, w nasze media, w naszą edukację. A mówimy przecież o osobach, których miało nie być, miały na zawsze zniknąć w dołach śmierci gdzieś na śmietnikach, w tajnych więzieniach. Zadanie, jakie przed nami stanęło, jest ogromne. Każdego chcemy odnaleźć, przypomnieć, godnie pochować. To powoduje, że tych uroczystości jest dużo. Może dla niektórych za dużo? Dla mnie na pewno nie. Pamiętajmy też, że dla ludzi utożsamiających się ze spuścizną komunistyczną nawet jedna wzmianka, jeden pomnik, to będzie o krok za daleko.

Podobne mechanizmy zastosowano po upadku komunizmu, kiedy natychmiast zaczęto mówić, że dość już tej martyrologii solidarnościowej, choć nie było jej wcale. W istocie chodziło o to, by w ogóle o tym nie rozmawiać, nie opisywać, nie upamiętniać.

Dokładnie tak. To bardzo podobny mechanizm.

Każdego 1 marca obchodzimy ustanowiony przez śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Czy nadal jest to święto żywe, oddolne?

Bez wątpienia już inne. Uroczystości przyjęły charakter państwowy i pewna spontaniczność została w mojej opinii zatracona. Osoby, które kiedyś szczelnie wypełniały cały plac Piłsudskiego, już tak licznie nie przybywają. Może

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f6df03f8b5

dlatego, że ta otoczka pewnej niepokorności, może zakazanego owocu, zniknęła. Co nie znaczy, że w polskim społeczeństwie zainteresowanie żołnierzami wyklętymi zniknęło. Ono jest wciąż wielkie. Rosną oczekiwania co do tego, jak o nich opowiadać, jest duże oczekiwanie na wielki film o tym temacie. Taki, z którym będziemy wreszcie mogli pójść w świat i ten wielki, choć też tragiczny, moment naszej historii opowiedzieć innym narodom.

Jest w tych słowach pana profesora dość chłodna recenzja dotychczasowego dorobku filmowego o wyklętych?

One były ważne, ale to ciągle nie jest ten sposób opowieści, którymi moglibyśmy podzielić się ze światem, często są niezrozumiałe dla widza zagranicznego.

To jest zawsze dylemat – jeżeli ktoś spróbuje nakręcić film bez pewnych kontekstów, usłyszy, że poszedł na skróty.

To chyba nie jest prawda. W tych dyskusjach często pytam, jak to jest możliwe, że w systemie komunistycznym w roku 1973 mógł powstać taki film jak „Hubal", który ogląda się kilkanaście razy i wciąż chce się do niego wracać. W odniesieniu do większości współczesnych produkcji filmowych, w tym tych o żołnierzach wyklętych, nie ma się takiej ochoty.

Podobnie jest z filmami o Westerplatte. Pierwszy film nadal zachwyca, przyciąga, drugi, nakręcony niedawno, już takiej mocy nie ma.

No właśnie. Więc to nie jest kwestia możliwości technicznych czy środków, bo dzisiaj są one nieporównanie większe, nawet nie aktorów, ale twórcy, który musi temat udźwignąć.

Czyli, wracając do pierwszego pytania, jest pan profesor po stronie tych, którzy twierdzą, że tej tematyki nie jest za dużo, ale czas na jej lepsze opowiedzenie?

Tak. Filmy dotychczas powstałe to dzieła skromne, z ograniczonymi budżetami, bez koniecznego rozmachu, może też bez koniecznej w takim przedsięwzięciu wizji. A przecież życiorysy mjr. Zygmunta Szendzielarza ps. Łupaszka, mjr. Hieronima Dekutowskiego ps. Zapora czy Mieczysława Dziemieszkiewicza ps. Rój i innych, to gotowe scenariusze na wspaniałe filmy. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego dotychczas nie znalazł się człowiek, który by potrafił tę tematykę pięknie opowiedzieć. Wierzę, że tak się stanie, ale to widocznie jeszcze nie ten czas.

Fot. Andrzej Wiktor

Jak zatem można podsumować na tym etapie ten wielki ruch społeczny, jakim jest odkrywanie tematu żołnierzy wyklętych? Tutaj chyba najmocniej to trzecie pokolenie AK mierzy się z trzecim pokoleniem UB. To ostatnie nie zrezygnowało z ponawianych co jakiś czas prób opluskwienia bohaterów, powrotu do narracji komunistycznej. Na kogo w tej walce może pan profesor liczyć? Kto tworzy środowisko wolontariuszy?

Żołnierze wyklęci to klęska całego środowiska postkomunistycznego. Dla nich to oznaka, że to, co robili przez dekady, się nie powiodło. Przegrali. Młode pokolenie Polaków uznało żołnierzy wyklętych za swoich bohaterów. I nie dlatego, że wydał im taki nakaz minister czy polityk, ale dlatego, że tych ludzi przyjęli za swoich bohaterów, zarówno sercem, jak i rozumem. Uznali, że to z nimi się identyfikują.

Co pociągnęło najbardziej młodych ludzi w tym kierunku?

Niezłomność, walka do końca, walka toczona mimo świadomości, że na zwycięstwo nie ma już szans. Dla młodego pokolenia to jest coś, co tworzy wręcz osobistą więź z żołnierzami wyklętymi. Przekłada się to na setki spontanicznych działań, marszy, biegów, konkursów, upamiętnień. Czy może być lepszy dowód na to, że młode pokolenie Polaków upomniało się o prawdziwą pamięć o pokoleniu swoich dziadków, pradziadków? Czyż może być coś piękniejszego? To jest istota polskiej tradycji, zachowanie tradycji, ciągłości pokoleń. Wielkie zwycięstwo nad zaplanowanym przez komunistów kłamstwem. Ta współczesna, żywa pamięć młodych jest też potwierdzeniem sensu walki żołnierzy wyklętych. Gdyby dzisiaj, w wolnej Polsce, nikogo to nie interesowało, było martwe, to naprawdę

eprasa.pl f6df03f8b5

oznaczałoby, że byli szaleńcami, rzucając wyzwanie instalującemu się nad Wisłą systemowi komunistycznemu. Na szczęście dzieje się inaczej.

Pan widzi tych ludzi wokół siebie?

Od pierwszych dni. Mamy piękny przykład w postaci „Patriotycznego Głogowa", ale i wielu innych grup, które się organizują, pomagają, działają. Mamy setki młodych wolontariuszy. Nie ma miejsca, w którym byśmy nie pracowali, nie szukali ofiar zbrodni komunistycznych, gdzie nie zgłaszałaby się młodzież z pytaniami, jak może się włączyć. I co najważniejsze, nie zdarzyła się sytuacja, by ktoś z nich zachował się niewłaściwie, nie rozumiał powagi tej pracy. Przeżywają ją bardzo osobiście, głęboko, to jest bardzo prawdziwe. Gdybyśmy się cofnęli pięć czy siedem lat wstecz i sprawdzili, ilu młodych ludzi nosiło koszulki z wizerunkami żołnierzy wyklętych, to niewielu byśmy znaleźli. Dzisiaj jest to powszechne, zwyczajne. Zapora, Łupaszka, Pilecki i inni są bohaterami młodych. Oni są z nich dumni! Oczywiście, że nie zawsze i nie wszyscy, bo młodzież zawsze będzie zróżnicowana. Ale zmiana jest ogromna. Rośnie także świadomość, że sierp i młot to symbole zbrodni. Będę się upierał, że mamy bardzo patriotyczne pokolenie młodych Polaków.

Bardziej patriotyczne niż ich matek i ojców?

Zdecydowanie. To piękne pokolenie, co ciekawe, zrodzone niekoniecznie w warunkach temu sprzyjających, zrodzone ze świadomego odrzucenia pewnej narzucanej pedagogiki.

Odnajdowanie oraz identyfikacja pomordowanych bohaterów podziemia antykomunistycznego to także ważny proces zderzenia z tym tematem rodzin, których to bezpośrednio dotykało. Wiemy, że bywa bolesny.

To prawda. Dla wielu to bardzo trudna podróż w głąb rodzinnych przeżyć. Bywało, że niektóre rodziny wypierały z pamięci bohaterstwo żołnierza wyklętego, inne, co najstraszniejsze, uwierzyły w przekaz komunistyczny, iż tato, dziadek czy wuj był bandytą. Dziś, odkrywając prawdę, rozumieją, jak bardzo było to zafałszowane, przeżywają to, wstydzą się tego, co o nich wcześniej myśleli, przyjmując przekaz reżimu komunistycznego. W jednej z miejscowości w Wielkopolsce, gdy odbywał się proces jednego z bohaterów, cała okolica była w plakatach, że to proces bandyty. Bliscy żyli z piętnem rodziny bandyckiej przez kilkadziesiąt lat. Dopiero teraz nastąpiła identyfikacja, opublikowano prawdziwy biogram przygotowany na podstawie dokumentów, odbył się uroczysty pogrzeb o charakterze wojskowym. Jego grób na miejscowym cmentarzu zawsze jest w kwiatach, płoną znicze, wszyscy są dumni z takiego syna tej ziemi. I następuje zmiana postrzegania tego zamordowanego bohatera i jego rodziny. Ludzie mówią: „Jaki wstyd, że tyle lat o nim myśleliśmy jak o bandycie, a o jego rodzinie jako naznaczonej jego czynami". Takich historii przeżywamy dziś w Polsce bardzo dużo.

> Rośnie świadomość, że sierp i młot to symbole zbrodni. Będę się upierał, że mamy bardzo patriotyczne pokolenie młodych Polaków

W jakiejś mierze domyka się historia, którą zaczął pan profesor, publikując w 1995 r. wstrząsającą książkę „Listy do Bieruta: prośby o ułaskawienie z lat 1946–1956".

Pamiętają to panowie? Rzeczywiście, dużo wody upłynęło od momentu, kiedy gdzieś tam nielegalnie otwierałem koperty, żeby wyciągnąć i przekazać rodzinom listy pisane w celach śmierci tuż przed egzekucją. Dzisiaj możemy powiedzieć, że to jest inna Polska. Mamy nie tylko werbalne zapewnienia, że trzeba szukać pomordowanych bezprawnie, pochowanych skrycie i bezimiennie bohaterów, ale mamy odpowiednie instytucje państwowe, które to zadanie realizują. Jestem przekonany, że tego procesu, tej zmiany świadomości, nie można cofnąć, tak jak nie da się wymazać z pamięci przywróconych Polsce bohaterów, wiedzy o sprawcach tych zbrodni.

Mamy jednak w ostatnich dniach niepokojące wydarzenie: Rada Miasta Białegostoku przegłosowała w poniedziałek zmianę nazwy ulicy im. mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki" na Podlaską, mimo dużego sprzeciwu społecznego. Jak pan profesor to ocenia?

Smutne. Decyzja miejskich radnych świadczy o nich samych, nie jest w stanie zniszczyć legendy mjr. Łupaszki. Ta obroni się sama.

Cieszy się pan profesor ogromnym szacunkiem za ten dorobek ostatnich lat, za konsekwencję w działaniu, upartość i skuteczność. Spotkaliśmy się nawet z określeniem „szeryf polskiej pamięci narodowej". Właściwe?

Nie wiem, czy szeryf... Ale na pewno była to walka, na pewno o sprawiedliwość. I nigdy nie była ona łatwa, nadal nie jest. I chyba nigdy nie będzie, bo bardzo wielu nasza praca przeszkadza, bardzo wielu.

Często pada pytanie, czy nie za mało mówimy o sprawcach tych zbrodni?

Po roku 1989 w Polsce było powszechne przekonanie, że skoro obaliliśmy system komunistyczny, to bardzo szybko dojdzie do rozliczenia ludzi, którzy go tworzyli, którzy łamali nawet to komunistyczne prawo, którzy prześladowali, mordowali polskich bohaterów. Dzisiaj, po 30 latach, naturalne jest więc w naszej rozmowie pytanie, czy to się udało? Czy doszło do rozliczenia zbrodniczego systemu? A jeśli tak, to w jakim zakresie? Czego zaniechano? Sądzę, że jeśli chodzi o badania naukowe, historyczne na ten temat, zrobiono to w sposób bardzo dobry. Nie twierdzę, że zrobiono wszystko.

eprasa.pl f6df03f8b5

Powstały jednak niezliczone publikacje, nie tylko w ramach Instytutu Pamięci Narodowej, które opowiadały o zbrodniach bezpieki, Informacji Wojskowej, innych komunistycznych agend i służb. A więc zostali opisani zbrodniarze oraz ich czyny, myślę, że dobrze. I trudno znaleźć przykład, że ktoś się takich czynów dopuszczał i nie jest to opisane.

Opisanie to nie rozliczenie.

Do tego zmierzam. Istnieje oczekiwanie, że to rozliczenie będzie też miało państwowy, prawny charakter. Wielu ludzi przez ostatnie trzy dekady pytało: jak to jest, że kolejny rok mija, a my nie widzimy żadnych procesów za dokonane zbrodnie, a te, które się odbywają, są nieporadne, ciągną się latami, kończą się niczym?

Trudno odmówić racji tej opinii.

Tak. Gdybyśmy dzisiaj, po tych 30 latach, mieli wskazać proces będący poważną próbą rozliczenia komunistycznych zbrodni, to byłby to proces Adama Humera i jego podkomendnych z początku lat 90. Ale cóż to był za proces? Był to proces, w którym panowie wciąż w doskonałej formie psychofizycznej, wciąż silni, otrzymujący sute emerytury, drwią z ofiar, traktując je w sposób obelżywy na korytarzu sądowym. Naprzeciw biedni, schorowani, bici, kobiety i mężczyźni, którzy muszą raz jeszcze patrzeć swoim prześladowcom w oczy. Czyli tak naprawdę raz jeszcze przechodzić gehennę sprzed wielu lat. Tak to wyglądało.

Inni zbrodniarze już nie żyli? Nie udało się ich odnaleźć?

Ależ skąd! Żyli i można było ich odnaleźć bez problemu. Żył Stanisław Zarakowski, naczelny prokurator wojskowy z lat 1950–1956 r., żył Alojzy Grabicki, naczelnik więzienia mokotowskiego, w którym właśnie rozmawiamy, od 1947 do 1954 r. W tym okresie było to miejsce tortur, kaźni i zbrodni. Żył Mieczysław Widaj, mający na sumieniu, jako wiceszef Najwyższego Sądu Wojskowego w latach 1945–1953, wyroki śmierci na ponad 100 żołnierzy wyklętych. Wszyscy oni i wielu innych powinni zasiąść na ławie oskarżonych i odpowiadać za czyny, które popełnili w stosunku do polskich patriotów.

Propaganda z Czerskiej i okolic zawsze głosiła, że to byłaby zemsta na staruszkach.

Po pierwsze, jak już wspomniałem, trzymali się dobrze, nie byli zwykle takimi staruszkami. Po drugie, rzecz nie polegała na tym, by ich zamykać czy nie zamykać, bo zawsze można od wymierzenia kary wspaniałomyślnie odstąpić, ale o akt sprawiedliwości, o uznanie winy tych ludzi.

Dziś jest za późno?

Obawiam się, że po 30 latach niewiele da się już zrobić.

Czy to nie jest też odpowiedź na pytanie, dlaczego ta bitwa o otwarcie bądź zabetonowanie archiwów komunistyczne bezpieki na początku lat 90. była tak zaciekła? To był wyścig z czasem. I to, że otwarto je tak późno, wielu zbrodniarzom dało spokojną emeryturę.

To też tłumaczy, dlaczego Instytut Pamięci Narodowej rodził się w takich bólach. Ustawa ujrzała światło dzienne w grudniu 1998 r. Dlaczego nie 1991? A i od momentu uchwalenia ustawy do wyłonienia prezesa minęło półtora roku i już byliśmy w czerwcu roku 2000. Krytykowano nas wtedy, że jeszcze nic nie robiliśmy. A przecież dopiero zaczynaliśmy te archiwa przejmować. I mają panowie rację: można dziś powiedzieć, że gdyby IPN powstał 10 lat wcześniej, żylibyśmy w innej Polsce, lepszej, w której więcej byłoby sprawiedliwości.

To smutny wniosek, ale kiedy spojrzymy na inne reżimy komunistyczne w dawnym bloku komunistycznym, to i tak zaszliśmy daleko w rozliczeniach tego zbrodniczego systemu. Dużo bardziej krwawe reżimy, jak w Rumunii, rozliczone zostały jeszcze mniej. Dlaczego?

Zgadzam się, że wszyscy mają podobny problem. To wynika z licznych spotkań z odpowiednikami z tych państw. A skąd to się bierze? Odpowiedzi trzeba szukać w prawdopodobnie mocniejszym zainfekowaniu kolejnych pokoleń przez komunizm, niż się to komukolwiek wydawało. Widzimy, że wychodzenie z tego musi trwać. I znowu dochodzimy do sensu naszej pracy: by to się dokonało, zbrodniarze muszą ponieść odpowiedzialność, muszą zostać napiętnowani, a bohaterowie przywróceni pamięci narodowej. Bez tego wszystko się rozmywa. Sytuację, jaka była w Polsce do roku 2016, można nazwać lekcją niemoralności: niby uznawano, że system komunistyczny jest zły, ale ci, którzy go tworzyli, dostawali emerytury cztero-, pięciokrotnie wyższe niż jego ofiary. Obrona tego była i jest obroną komunistycznej nieprawości.

To się akurat dzięki rządowi Prawa i Sprawiedliwości zmieniło, ale nadal można mówić o wielu bolesnych zawodach. Na przykład Stefan Michnik – państwo polskie odbija się od ściany w próbach postawienia przed sądem tego komunistycznego zbrodniarza. Dlaczego?

Artykuł o tym, kim był, w jakich procesach orzekał, w ilu sprawach orzekł karę śmierci, napisałem już kilkanaście lat temu. Nawet wtedy nie wiedziałem o wszystkich jego zbrodniach, bo wciąż wychodzą na jaw nowe. Nie wiedziałem np., że nie tylko wydawał wyroki śmierci, ale także w niektórych wykonaniach osobiście, choćby tutaj, na Rakowieckiej, uczestniczył. Choćby przy egzekucji, zamordowaniu jednego z najwspanialszych dowódców powstania warszawskiego, czyli mjr. Andrzeja Czajkowskiego ps. Garda. Wiemy już naprawdę dużo o tym, co robił, kim był, jak jako młody zetempowski chłopak trafił do komunistycznego wymiaru sprawiedliwości, co w nim robił, jak stał się jednym z wyrzuconych, jak potem wyemigrował do Szwecji. Wiemy, że publikował także pod pseudonimem w paryskiej „Kulturze". Myślę, że na przykładzie Stefana Michnika możemy powiedzieć, że rozliczenie zbrodniarzy komunistycznych w wolnej Polsce się nie powiodło.

Wydanie przez Wojskowy Sąd Okręgowy w Warszawie, na wniosek prokuratora Oddziałowej Komisji

eprasa.pl f6df03f8b5

Fot. Andrzej Wiktor

Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Warszawie, Europejskiego Nakazu Aresztowania (ENA) wobec Stefana Michnika nie będzie skuteczne?

Nie potrafię powiedzieć. Chciałbym, żeby było. Ale mam obawy po tym, jak przed laty próbowano doprowadzić do ekstradycji Heleny Wolińskiej-Brus, komunistycznej prokurator, z Wielkiej Brytanii. Wtedy przyjęto interpretację polityczną tej próby, wmieszano w to wątki narodowe, i skończyło się to niepowodzeniem. Jak się skończy ta sprawa, nie chcę jednak wyrokować.

O zbrodniczym dorobku Stefana Michnika wiemy jednak dużo, są mocne dowody.

To prawda. Stefan Michnik był przedstawicielem najmłodszego pokolenia sędziów i prokuratorów stalinowskich. To ludzie, którzy zostali wciągnięci do orzekania w sądach wojskowych na przełomie lat 40. i 50. Komuniści szybko zrozumieli, że mając wymiar sprawiedliwości po swojej stronie, muszą mieć absolutną pewność, że wyroki będą zgodne z ich oczekiwaniami. Stare kadry, wykształcone na przedwojennych polskich uczelniach, nawet jeśli poszły na współpracę z komunistami, nie dawały takiej gwarancji. Trzeba było stworzyć własne. Szybko. Wymyślono więc Oficerską Szkołę Prawniczą, przyjmującą wyłącznie ludzi zaufanych, najczęściej z rekomendacji komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej. Przechodzili tam oni przeszkolenia z zakresu procedur sądowych, bo trudno to nazwać studiami. Nauka trwała od 9 do 18 miesięcy. Najważniejsza była jednak indoktrynacja polityczna.

Szkoła sądowych morderców.

W roku 1956 jeden z nich, był to chyba właśnie Stefan Michnik, powiedział: „Kiedy dawano nam jakąś sprawę polityczną, pilnowaliśmy, by nam jej nikt nie zabrał. Bo traktowaliśmy to jako dowód zaufania partii do nas". Ci młodzi ludzie, ledwie 20-letni, dostawali awanse oficerskie, lądowali w składach sędziowskich. I taką rolę przez swoją pracę w latach 1951–1953 odgrywał Stefan Michnik. Realizował działania, które po latach określił mianem „młodzieńczej naiwności". A był to człowiek, który nie tylko skazywał polskich patriotów na śmierć, nie tylko uczestniczył osobiście w egzekucjach, ale był także rezydentem Informacji Wojskowej. Nie tajnym współpracownikiem, nie agentem, ale rezydentem.

Co to była za rola?

Nadzorował kilku agentów, posługując się pseudonimem Kazimierczak. To była dodatkowa haniebna działalność. Gdybyśmy mieli spojrzeć statystycznie na dokonania Stefana Michnika, oczywiście nie jest to poziom sędziego Włodzimierza Ostapowicza, który miał na koncie ponad 200 wyroków śmierci. Nie jest to poziom Widaja, który miał ponad 100 wyroków śmierci, ani sędziego Romana Kryżego, który miał ich ponad 70. On po prostu nie zdążył, bo kiedy zaczął orzekać, był to już etap schyłkowy masowego wydawania wyroków śmierci. Ale to na pewno nie jest człowiek, o którym możemy powiedzieć, że wykazał się młodzieńczą naiwnością w czasie swojej służby wojskowej w Wojskowym Sądzie Rejonowym w Warszawie.

Mówi pan profesor o tym odważnie od lat. Czy to jest powód, dla którego „Gazeta Wyborcza" dzisiaj pana profesora stale atakuje?

Mówimy o ustaleniach naukowych, które mówią o najnowszej historii Polski, o tym, jak wyglądał stalinizm. Badam losy żołnierzy wyklętych, ale też sprawców mordów na nich. Nie można o nich milczeć i nie ma dla mnie znaczenia, czy taki ktoś ma dzisiaj powiązania z takim lub innym wpływowym środowiskiem. Gdybym ulegał tej presji, przestałbym być uczciwym badaczem.

Wracamy na Ukrainę. Jest zgoda na wznowienie prac poszukiwawczych i ekshumacyjnych. Koniec sporu?

Te dwa lata, w czasie których państwo ukraińskie wprowadziło zakaz pracy poszukiwawczej i ekshumacyjnej na swoim terenie, zrobiły dużo złego we wzajemnych relacjach. To krok, którego nikt w Polsce nie był w stanie zrozumieć. Bo można się sprzeczać o treść napisów, upamiętnień. Ale nie taki zakaz. Niestety, stało się. Z satysfakcją przyjmujemy zmianę stanowiska strony ukraińskiej, ale ciągle rozmawiamy w Warszawie. Pozwolę więc sobie poczekać z radością do momentu, kiedy te prace rzeczywiście rozpoczniemy. Na razie mamy zapowiedź przełomu, ale jeszcze nie przełom.

eprasa.pl f6df03f8b5

Plan dla rządu

Pomysł Zjednoczonej Prawicy na rządzenie w latach 2019–2023 powinien mieć nowy silnik. I nową karoserię. To musi być innowacyjny program gospodarczy dla młodych i ambitnych, bo tylko oni mogą wyrwać Polskę z kręgu średniego rozwoju

STANISŁAW JANECKI

Więcej tego samego czy jednak coś innego – to podstawowy problem Zjednoczonej Prawicy u progu rządów w drugiej kadencji. Jej liderzy dobrze wiedzą jednak, że więcej tego samego to fundament polityki najważniejszych instytucji Unii Europejskiej za kadencji Jeana-Claude'a Junckera i Donalda Tuska. Ale owo więcej to praktycznie mniej, gdyż te europejskie instytucje w mijającej kadencji (dla Donalda Tuska podczas dwóch) nie osiągnęły właściwie żadnego większego sukcesu, natomiast mają na koncie wiele porażek, z brexitem na czele. I to powinno być memento dla Zjednoczonej Prawicy przed postawieniem na „więcej tego samego", choć politycznie byłaby to strategia najbardziej bezpieczna.

W powyborczych dyskusjach najważniejszych polityków dobrej zmiany przewija się obawa, że więcej tego samego ani nie da się zrealizować, ani nie przyniosłoby to korzyści: Polsce ani Zjednoczonej Prawicy. Więcej tego samego to przede wszystkim transfery socjalne i polityka nastawiona na wzrost płac oraz dochodów rodzin. Więcej tego samego to zatem przede wszystkim bezpieczeństwo materialne. Ale także obrona podstawowych wartości, ważnych dla dużej części społeczeństwa.

Taka strategia dała większy, niż się spodziewano, sukces w wyborach europejskich (45,38 proc. głosów, ale w liczbach bezwzględnych niecałe 6,2 mln). Przed wyborami parlamentarnymi 13 października 2019 r. obrona podsta-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f6df03f8b5

wowych wartości nadal była ważna, ale pierwszoplanowy stał się jednak „polski model państwa dobrobytu". I wedle części komentatorów, socjologów oraz politologów to przesunięcie akcentów spowodowało, że wynik Prawa i Sprawiedliwości był wprawdzie znakomity i rekordowy, ale nie optymalny. Dlaczego? Bo część wyborców miała przenieść głosy z PiS na Konfederację i PSL. Szczególnie miało to dotyczyć młodych wyborców, którzy częściej, niż się spodziewano, głosowali na Konfederację. Z tego powodu, że PiS miało być dla nich ideowo za miękkie, przynajmniej w ostatniej fazie kampanii. To raczej intuicja, bo nie ma na to twardych dowodów, choć wskazuje na to analiza danych zebranych przy okazji exit poll.

Ale w perspektywie wyborów prezydenckich w maju 2020 r. liderzy Zjednoczonej Prawicy wcale nie są przekonani, że twardsze stanowisko ideowe przyniesie wymierne korzyści. Trzeba będzie bowiem zyskać poparcie grubo ponad 9 mln wyborców.

PROGRAM DLA AMBITNYCH

Wyniki wyborów europejskich i parlamentarnych skłaniają liderów Zjednoczonej Prawicy do uznania, że większość korzyści z polityki społecznej rządu PiS już została skonsumowana: poprawił się status materialny milionów Polaków, stale rosnący popyt wewnętrzny stymulował wysoki wzrost PKB: wedle Komisji Europejskiej Polska będzie miała drugi wynik w 2019 r. w UE – 4,4 proc., a wyprzedzi nas tylko mała Malta – 5,3 proc. I to mimo stosunkowo niskiego poziomu inwestycji (w 2018 r. 13,5 proc. PKB, co było jednym z niższych wskaźników w UE) i zahamowania wzrostu w wielu krajach UE – partnerach handlowych Polski. A bezrobocie osiągnęło niemal optymalny poziom ok. 5 proc. (przy zastosowaniu unijnej metodologii – nieco ponad 3 proc.).

Kurczą się jednak rezerwy wzrostu eksportu, szczególnie gdyby nadszedł kryzys i spadek zamówień od naszych partnerów. Na razie wciąż zwiększa się wartość eksportu: 235 mld euro w 2019 r. wobec 221 mld euro w 2018 r., podobnie jak udział eksportu w PKB: 45,7 proc w 2019 r. wobec 44,44 w 2018 r. Ale optymistyczne prognozy eksportu na 2020 r. – 248 mld euro i udział w PKB na poziomie 47,04 proc. – mogą się nie spełnić. A kolejne lata są już sporą niewiadomą. Tym bardziej że niska jest wciąż innowacyjność polskiej gospodarki – jesteśmy 22. państwem świata pod względem wielkości gospodarki i dopiero 39. pod względem innowacyjności (wedle „Global Innovation Index"). Wciąż niska jest też produktywność polskiej gospodarki. To wszystko oznacza, że potrzebne są nowe stymulatory wzrostu, poza rośnięciem rynku wewnętrznego, co wynika przede wszystkim z wpompowania w niego ok. 75 mld zł w 2018 r. i jeszcze większej sumy w roku 2019. Nie wpłynęło to jednak na wyrwanie się Polski z kręgu średniego rozwoju, a w tym modelu nie ma już potencjału wzrostu.

> Rząd PiS musi znaleźć sposób, żeby przedsiębiorcy nie traktowali go jak wroga, a przynajmniej zagrożenie, żeby nie bali się inwestować, mimo że dysponują odpowiednimi środkami

Polski model państwa dobrobytu musi więc być osadzony w rodzimym modelu swego rodzaju cudu gospodarczego, niepolegającym jednak na wykorzystaniu większości rezerw średniego rozwoju, głównie taniej siły roboczej i funkcjonowania w roli zaplecza bardziej innowacyjnych i produktywnych gospodarek. Polska gospodarka sama musi być zdecydowanie bardziej produktywna i innowacyjna. A nie będzie bez skoku w dziedzinie wdrażania rozwiązań powstających w ośrodkach naukowych i badawczych. Tyle że ani nie ma ich dostatecznie dużo, ani nie jest dobrze z ich implementacją. Polityka podnoszenia płac ma wymusić na przedsiębiorcach wzrost produktywności dzięki innowacyjności, ale to wcale nie jest pewne. Wciąż będzie więc ciążyć nad Polską klątwa średniego rozwoju.

Można ją neutralizować większymi wpływami podatkowymi (o prawie 100 mld zł większymi za rządów PiS niż za rządów PO-PSL), lecz tych wpływów nie da się znacząco powiększać bez wzrostu produktywności. I tak koło się zamyka. Oznacza to ostrożność w kolejnych transferach socjalnych, czyli pozostanie przy tym, co jest. Całkiem otwarcie zapowiedział to wicepremier Jacek Sasin. Poza tym większość beneficjantów transferów socjalnych już się do nich przyzwyczaiła i uważa, że to należna im oczywistość.

Plan PiS na lata 2019–2023 powinien sprawić, że głównymi beneficjantami będą nie tylko grupy dotychczas upośledzone i dyskryminowane, lecz także te mające wysokie ambicje i aspiracje, a jest ich coraz więcej ze względu na awans materialny. One powinny się znaleźć w centrum zainteresowania polityki rządu w nowej kadencji. A są to grupy nieufne wobec władzy, jeśli nie mają poczucia stabilizacji i bezpieczeństwa, przede wszystkim w zakresie przepisów i regulacji oraz działania sądownictwa gospodarczego i administracyjnego. Dotychczasowe doświadczenia są takie, że sądownictwo nie działa na korzyść przedsiębiorczości, utrudnia zmiany instytucjonalne i stało się filarem obrony status quo. Rząd PiS musi znaleźć sposób, żeby przedsiębiorcy nie traktowali go jak wroga, a przynajmniej zagrożenie, żeby nie bali się inwestować, mimo że dysponują odpowiednimi środkami.

WROGIE OTOCZENIE

Ogromnym problemem rządu Zjednoczonej Prawicy na progu drugiej kadencji jest to, że środowiska nauki, kultury czy media w większości nie uczestniczą w prorozwojowej polityce państwa, wręcz ją podważają, stając się narzędziem restauracji starego porządku,

eprasa.pl f6df03f8b5

a nie reform i zmian. Szczególnie nauka i jej otoczenie nie mogą być tylko utrwalaczami hierarchii społecznych ustanowionych u progu III RP, a w dużym stopniu wyniesionych z PRL, lecz powinny się stać motorem i stymulatorem rozwoju oraz zmian, spychając funkcje ideologiczne na absolutny margines. Podobne procesy powinny zajść w kulturze, która w dużym stopniu decyduje o samoocenie i aspiracjach jednostek, podczas gdy obecnie jest tylko narzędziem tyranii status quo.

W wywiadzie dla tygodnika „Sieci" wicepremier i minister nauki Jarosław Gowin ma pełną tego świadomość, ale przestrzega, że nie da się w tych obszarach przeprowadzić żadnej rewolucji, nie da się zmusić do zmiany postaw i ideologicznych orientacji. Tyle że oznaczałoby to, iż rząd PiS będzie miał w nadchodzących czterech latach w większości wrogie otoczenie w świecie nauki, kultury. Będzie łożył coraz więcej na te dziedziny, gdyż uważa, że jest to cywilizacyjna konieczność, ale większość tych środowisk będzie ten rząd delegitymizowała, a często atakowała, co było przecież codziennością w latach 2015–2019. Atakowały będą też media, przekonane, że instytucje UE oraz różne międzynarodowe organizacje nie dopuszczą do żadnej formy repolonizacji czy dekoncentracji.

Czy nowy rząd Zjednoczonej Prawicy przetrwa cztery lata, jeśli będzie nieustannie i intensywnie delegitymizowany oraz atakowany przez ludzi nauki, kultury oraz mediów, a często przez instytucje i organizacje? Czy naprawdę nic tu się nie da zrobić? Można czekać na zmiany ewolucyjne i oddolne, tyle że efekt może być podobny do tego w sądownictwie, gdy prawie 30 lat temu ówczesny I Prezes Sądu Najwyższego prof. Adam Strzembosz zapewniał, że środowisko sędziowskie samo się oczyści. Nic takiego się nie stało do dziś, a reformy wymiaru sprawiedliwości rządu PiS są bojkotowane i na wszelkie sposoby blokowane, także przy pomocy Komisji Europejskiej oraz Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Czy także w tej dziedzinie rząd ma się poddać? Czy jednak będzie skuteczniej zmieniał sadownictwo niż w pierwszej kadencji, mimo przyjęcia wielu nowych rozwiązań, wobec których środowisko sędziowskie stosuje wszelkie formy obstrukcji?

Na dłuższą metę nie da się rządzić w całkowicie wrogim otoczeniu, nie doprowadzając do zmian hierarchii pozycji społecznej i prestiżu, zmiany sposobów awansu, godząc się na otwarte występowanie wielu środowisk, instytucji i organizacji, bardzo często finansowanych z budżetu, przeciwko rządowi mającemu tak silny demokratyczny mandat, jakiego nie miał żaden rząd w historii III RP (ponad 8 mln głosów).

> Ogromnym problemem rządu Zjednoczonej Prawicy u progu drugiej kadencji jest to, że środowiska nauki, kultury, ale też w większości media nie uczestniczą w prorozwojowej polityce państwa, wręcz ją podważają, stając się narzędziem restauracji starego porządku, a nie reform i zmian

NOWY SILNIK

Nie odżegnując się od dokończenia tego, co zostało obiecane przez rząd PiS w latach 2015–2019 i co jest konsekwentnie realizowane, nowa strategia PiS, plan Zjednoczonej Prawicy na rządzenie w latach 2019–2023, powinna mieć nowy silnik: wyrywający gospodarkę z ograniczeń średniego rozwoju, a społeczeństwo z bierności, tyranii status quo i dominacji dotychczasowych hierarchii oraz układów. I jednak nową karoserię – w postaci znacznie bardziej przyjaznego otoczenia władzy.

Zjednoczona Prawica pozyskała, głównie swoją polityką socjalną, w ostatnich wyborach ok. 1,5 mln wyborców z innych ugrupowań. I utrzymała własny elektorat z wyborów w 2015 r. Ale na Zjednoczoną Prawicę głosowało „tylko" ok. 750 tys. nowych wyborców, którzy wcześniej raczej nie chodzili na wybory. To dużo, jednak mniej niż w wypadku Koalicji Obywatelskiej oraz porównywalna wielkość, gdy chodzi o wyborców Lewicy. Na dziś to by oznaczało, że jeszcze większe mobilizowanie wyborców niż w wyborach 13 października 2019 r. będzie raczej działało na korzyść opozycji. Transfery socjalne już zmobilizowały bliską optymalnej liczbę wyborców, więc nowych można pozyskać chyba tylko tam, gdzie w wyborach 13 października „łowiły" Koalicja Obywatelska, Lewica oraz PSL. Można też odzyskać tych wyborców konserwatywnych, którzy przenieśli swoje głosy z PiS na Konfederację, lecz nie ma pewności, czy metoda zastosowana przez to ugrupowanie, czyli ostra linia ideowa, PiS nie zaszkodzi, zamiast pomóc.

Oczywiście partia rządząca mogłaby się skupić tylko na filozofii więcej tego samego albo na własnej wersji ciepłej wody w kranie, ale wtedy dbałaby przede wszystkim o siebie, a nie Polskę i Polaków. Ale nawet wtedy nie byłoby żadnej pewności, czy to zapewni wyborczy sukces, już w wyborach prezydenckich w maju 2020 r. Nowy (nowo-stary) rząd Zjednoczonej Prawicy musi mieć zatem nowy plan na rządzenie: w interesie Polski i własnym. Żeby wygrać wybory prezydenckie w maju 2020 r. i parlamentarne w 2023 r., potrzebna jest zmiana strategii, sprawiedliwsza redystrybucja narodowego bogactwa jako filar polityki z lat 2015–2019 już nie porywa bowiem społeczeństwa i może nie być efektywna ani gospodarczo, ani politycznie. Jeśli nic się nie zmieni, czyli będzie tylko więcej tego samego, być może jeszcze uda się wygrać najbliższe wybory prezydenckie, ale już zwycięstwo w wyborach parlamentarnych w 2023 r. może być bardzo trudne. Bez niego „polski model państwa dobrobytu" stałby się tylko epizodem.

eprasa.pl f6df03f8b5

III RP próbuje skłócić Zjednoczoną Prawicę

Zjednoczoną Prawicę spajają dwie rzeczy: wspólnota światopoglądowa i lider. Jeśli ten obóz nie będzie spoisty, to przegra następne wybory. A być może nawet wywróci się wcześniej

Jacek Karnowski rozmawia z Józefem Orłem, komentatorem politycznym, szefem Klubu Ronina

Jak pan ocenia wynik wyborów parlamentarnych? Więcej było zadowolenia ze zwycięstwa czy pewnego rozczarowania, które zasygnalizował także Jarosław Kaczyński, mówiąc: „Zasługujemy na więcej"?

Józef Orzeł: Cieszyłem się, bo wygraliśmy. Ale byłem też zszokowany, ponieważ wszystkie informacje, które miałem – a znam wielu ludzi ze środowisk analitycznych – sprowadzały się do jednego komunikatu: będzie wysokie zwycięstwo PiS.

Co najmniej 45 proc.

To minimum. Często mówiono, że PiS zdobędzie 48 proc., a były też poważne głosy, że nie będzie zdziwienia, jeśli skończy się nawet na 52 proc. Spodziewano się także większości w Senacie. Stało się jednak inaczej. I ci sami analitycy, już ex post, zaczęli opowiadać, że coś się stało w połowie września. To właśnie wówczas miał się załamać trend propisowski.

Takich tez, które okazały się fałszywe, było więcej. Np. że Konfederacja nie przekroczy progu, bo jej sympatycy nie chodzą na wybory. Albo że sojusz Kukiza z PSL jest bez sensu, bo demobilizuje wyborców każdego z partnerów.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f6df03f8b5

Tak, te opinie okazały się nieprawdziwe. Ale wracając do wrześniowego przełomu, który okazał się niekorzystny dla PiS. Co było jego przyczyną? Moim zdaniem błędem były działania kierownictwa PiS, które ad hoc, w sposób nieprzygotowany, zaczęło mnożyć obietnice socjalne i społeczne. Wygląda to tak, jakby centrum polityczne miało świadomość, że dzieje się coś niepokojącego i próbowało zareagować. Z dzisiejszej perspektywy ciągłe wezwania do mobilizacji wygłaszane przez Jarosława Kaczyńskiego brzmią wręcz proroczo.

Bo, jak mówił prezes, wyborów nie wygrywa się w sondażach, ale przy urnie.

Jeden z doradców PiS ocenił, że niepełne zwycięstwo spowodowała inflacja pisowskich prezentów. Naliczył ich 16. A moim zdaniem człowiek umie liczyć tak naprawdę do trzech. Więcej nie zapamięta. Nawet jedna piątka nie cała trafia w środek tarczy. Owszem, są ludzie, którzy potrafią zapamiętać 17 przedmiotów leżących na stole, ale to są wyjątki. Tego było więc za dużo. Być może nie miałoby to znaczenia, gdyby nie pułapka zaszyta w jednym z prezentów.

Płaca minimalna?

Tak. To była sprawa bardzo trudna do wygrania. Bo można było powiedzieć Polakom tak: jeśli Polska będzie się tak rozwijała, jak rozwija, i pensje będą rosły w dotychczasowym tempie, to w 2023 r. płaca minimalna wyniesie 3,5 tys. zł, a my do tego dołożymy ekstra 500 zł. Taka opowieść nie miałaby skutków negatywnych, ale też nie zrobiłaby specjalnego wrażenia na społeczeństwie, bo daleko i w sumie niewiele te 500 zł ekstra. Więc wypuszczono balon z gołą kwotą 4 tys. zł. Dla ludzi zarabiających dziś 2 albo 2,5 tys. zł to ogromna kwota. I wielu to przekonało. Problem w tym, że w większości tych, którzy i tak byli już przekonani, że należy głosować na PiS.

A innych ta propozycja przestraszyła?

Tak. Ale wcale nie chodzi tu o przedsiębiorców, przynajmniej nie głównie o nich. Z badań wynika, że najbardziej zagrożeni poczuli się pracownicy małych firm, w wieku 50–59 lat, głównie ze wschodniej Polski. Czyli z regionów, gdzie są najniższe płace.

Uznali, że to przesada?

Uznali, że zostaną zwolnieni, bo ich szefów nie będzie stać na takie pieniądze. I co ciekawe, to nie jest tak, że ci ludzie zagłosowali na inne partie. Oni najczęściej zostali w domu.

Kto powinien wyłapać, że PiS uruchamia groźne dla siebie procesy? Że poparcie na poziomie 70 proc. dla tej propozycji niczego nie gwarantuje politycznie?

To jest świetne pytanie, które sam stawiam. Od 2015 r. próbuję powiedzieć naszym przywódcom, że niezbędne jest coś w rodzaju rządowego Centrum Studiów Strategicznych. Instytucja będąca blisko władzy, dysponująca wszystkimi danymi, które ma rząd, posiadająca środki na badania i na zatrudnienie inteligentnych ludzi. Z tego urodziło się tylko Centrum Analiz Strategicznych, które jest jednak tylko sitem legislacyjnym. A potrzeba czegoś więcej.

Ale czy tu pomogłoby nawet i dziesięć centrów studiów strategicznych? Gdy rusza kampania, uruchamiają się specyficzne mechanizmy. Zawsze, w każdym obozie. Jeśli w centrum politycznym nie ma kogoś, kto to wyłapie i będzie miał siłę, odwagę, pozycję, by się z taką złą wiadomością przebić, kto wstanie i powie „stop", to żadne instytucje nie pomogą. Obaj wiemy, że w polityce granica między sygnalistą a sabotażystą jest płynna.

Miałby pan rację, gdyby takie centrum, o którym mówię, istniało, działało, ostrzegało i nie zostało wysłuchane. A tego nie było i nie ma. Najpierw trzeba spróbować ścieżki, o której mówię. Bo w moim założeniu to Centrum Studiów Strategicznych powinno współpracować z ekspertami, think tankami, analitykami tak szeroko, że na pewno wyłapałoby jakiś sygnał w sprawie płacy minimalnej. Ale oczywiście jest też tak, że kampania to maszyna, to rozpędzony do 180 km na godzinę pociąg, który – gdy raz ruszy – jest niemal nie do zatrzymania. Nawet mała korekta kursu jest niezwykle trudna.

Jaka jest pana rada?

Kampania musi być tak zaplanowana, by były w nią wbudowane możliwości zmiany kierunku w dowolnym momencie. Bo trzeba zakładać i zmiany nastrojów elektoratu, i inne sprawy: wybuch wulkanu w Kieleckiem czy tsunami na Bałtyku. Wszystko. Jeśli tego mechanizmu korygującego nie ma, sam pęd maszyny popędza maszynistę, który chce jechać jeszcze szybciej. Pytanie, czy polskich polityków stać na tak bardzo skomplikowaną konstrukcję, w zasadzie w typie działań korporacyjnych. Bo korporacje mają swoją strategię i taktykę, ale umieją też reagować na zmiany otoczenia. Z opóźnieniem, ale jednak.

Sam pan mówił, że centrum polityczne PiS wyczuwało, że coś nie idzie tak, jak powinno.

Tak, ale wyciągnięto zły wniosek. Dołożono jeszcze więcej tego samego, nie skorygowano kursu.

Czy te wybory oznaczają koniec tego paliwa socjalnego? Czy PiS może, czy powinno zejść z tego pola? Jeśli to zrobi, pojawią się inni. Już w kampanii PO próbowała licytacji na obietnice, ale przegrała.

To było pytanie, czy ścigać się z Platformą, czy podkreślać jej niewiarygodność i własną wiarygodność.

Nie mam pewności, czy gdyby PiS nie przelicytowało PO, nie złapałaby ona wiatru w tej sferze.

Rozumiem tę obawę. Ale także w kierownictwie PiS panuje przekonanie, że pewien typ polityki już się wyczerpał. Nie dlatego, że PiS nie chce więcej dawać, czy też że daliśmy już tyle, ile trzeba, oddaliśmy to, co Platforma ludziom zabrała. Nie. Tu chodzi o rzecz banalną, o możliwości budżetowe.

Co może więc pociągnąć PiS w kolejnej kadencji? Na razie mamy bardzo niewiele sygnałów. Te, które są,

eprasa.pl f6df03f8b5

wskazują, że nacisk zostanie położony na rozwój, więc zasadniczy plan pozostaje w mocy.

W nieformalnych ciałach doradczych obozu rządzącego słychać coraz więcej głosów, że oprócz argumentów dotyczących portfela niezwykle ważna jest sfera tożsamościowa i że PiS położyło na tę dziedzinę zbyt mały nacisk. I że także z tego wyrasta sukces Konfederacji. PiS o tym trochę mówiło, ale bało się zbyt jednoznacznych oświadczeń. Na tym polu walczyła dzielnie jedynie małopolska kurator oświaty Barbara Nowak. A wyborcy tego potrzebują, tego właśnie oczekują.

Zaniepokojenie części elektoratu ofensywą lewicy rośnie.

I tu jest kłopot. Bo PiS nie było i nie jest przygotowane do wojny kulturowej. PiS nigdy nie napinało cięciwy ideologicznej, zawsze chciało być wstrzemięźliwe. Ta partia zawsze miała nadzieję na jakiś rodzaj kompromisu społecznego, trochę podobnie jak Unia Wolności idąca do tego celu z innej strony, z lewej. Ale dłużej już się nie da być wstrzemięźliwym.

Dlaczego?

Bo sytuacja znacząco się zmieniła. Przez Zachód przetacza się wielki walec rewolucji genderowej. I nie jest to tylko coś, co dotyczy tradycyjnej lewicy. To już obejmuje przeważającą większość elit, które akceptują ten projekt. To jest coś, z czym Polska musi się zmierzyć. Nie ma innego wyjścia.

PiS powinno więc wydać bitwę na tym polu, jeśli chce odzyskać lub przejąć wyborców Konfederacji?

Jestem przeciwko wojnom w polityce. Trzeba raczej zwrócić się do tych wyborców, prezentując bardzo jasne stanowisko ideologiczne i aksjologiczne dotyczące naszych wartości, naszej tradycji i religii. Zaczął to robić Jarosław Kaczyński, kiedy w Rzeszowie powiedział, że będziemy bronić naszych dzieci. PiS musi stanąć jasno przeciw tej rewolucji.

Jak? Co należy robić konkretnie?

Dziś mamy taką oto sytuację: do wielu szkół wchodzą albo próbują wejść seksedukatorzy, tzw. latarnicy. I co w tej sytuacji rząd mówi rodzicom? Otóż mówi im tak: patrzcie, co się dzieje z waszymi dziećmi. Macie prawo zaprotestować. Czyli tak naprawdę ten komunikat brzmi: rodzice, brońcie się sami. Możecie ewentualnie poinformować nas o wyniku tej waszej walki.

> W nieformalnych ciałach doradczych obozu rządzącego słychać coraz więcej głosów, że obok argumentów dotyczących portfela niezwykle ważna jest sfera tożsamościowa i że PiS położyło na tę dziedzinę zbyt mały nacisk

PiS chciało przenieść polskie spory na inne płaszczyzny, na inne osie. A więc spójność społeczna, polska wersja państwa dobrobytu, modernizacja, prawo, walka z korupcją. Nie chciało walczyć na polu kulturowym, być może dlatego, że zdawało sobie sprawę, jak trudno tu wygrać.

Tak, ale co zrobić, gdy idzie tsunami? Coś z tym trzeba zrobić. W kierownictwie PiS narasta zrozumienie tego, jaka jest sytuacja, choć nie ma jeszcze decyzji strategicznej w tej sprawie. Tę decyzję może oczywiście podjąć tylko sternik obozu.

Na rynek wyborczy wchodzą coraz bardziej lewicowe roczniki. Jeśli PiS nie zmierzy się z tym wyzwaniem, to albo czeka go los mniejszościowej, izolowanej partii prawicowej, albo będzie musiało ulec na polu światopoglądowym, tak jak uległy partie chadeckie w Niemczech, Hiszpanii czy brytyjscy torysi.

Tak, to jest ten wybór. To, przed czym stoimy, to jest bardzo groźna rewolucja komunistyczna. Najgroźniejsza z dotychczasowych. Zderzenie z nią to nie tylko konflikt w kraju, lecz także konfrontacja z dużą częścią elit naszych zachodnich sojuszników. Ale nie ma wyjścia, bo alternatywą jest ulegnięcie. Albo, tak jak zrobili torysi, przejęcie tej agendy i wprowadzanie tej rewolucji. Aż do etapu, na którym genderyzm staje się obowiązkowy i nie ma przed nim ucieczki. A tak jest dziś w Wielkiej Brytanii. To już nie tylko propaganda, to już przymus wprowadzony do prawa, obejmujący także szkolnictwo katolickie, bez oglądania się na wolę wyborców.

Co wybiorą elity obozu rządzącego pana zdaniem?

Przed takim wyzwaniem polska klasa polityczna nie stała. To wyzwanie niezwykle skomplikowane. To coś trudniejszego niż problem wrogości Rosji czy Niemiec. To problem poradzenia sobie z genderyzmem wpisywanym coraz szerzej do dokumentów międzynarodowych, ONZ-owskich i unijnych. To problem warunkowania środków unijnych przestrzeganiem zaleceń w tej sferze. Tu nie wystarczy przyjęcie jednej czy drugiej ustawy antygenderowej.

Moim zdaniem w polskim społeczeństwie wciąż jest na tyle dużo przeciwciał, że niezależnie od woli polityków czeka nas starcie na polu owego genderyzmu. Jeśli PiS tej bitwy nie wyda, to wyda ją ktoś inny. I przegra, bo tylko obóz tak szeroki i tak mocno stojący na nogach jak PiS ma jakiekolwiek szanse powodzenia.

Przedstawiciel Solidarnej Polski Patryk Jaki ujął sprawę następująco: jeśli nie podejmiemy tej sprawy, to przegramy Polskę. Widzę tu dwa aspekty. Z jednej strony Jaki ma rację, bo sam kiedyś sformułowałem podobną analizę, stawiając tezę, że gender zje nasz elektorat. Z drugiej strony byłoby bardzo źle, gdyby kwestia stosunku do walki z tą nową rewolucją stała się obszarem konkurencji wewnątrz

eprasa.pl f6df03f8b5

obozu dobrej zmiany. Tylko PiS może podnieść skutecznie ten sztandar. To wymaga zgody w obozie dobrej zmiany. Ale to też nie wystarczy, bo bez wsparcia organizacji pozarządowych tej batalii nie wygramy.

Aktywność obywatelską można, do pewnego stopnia, animować.

Dziś organizacje pozarządowe po stronie konserwatywnej są słabe. Mają małe doświadczenie, mniejszą skalę i w rywalizacji o środki przegrywają ze stroną lewicową, bardzo na tym polu silną już od trzech dekad, finansowaną m.in. przez Sorosa, a wkrótce przez Komisję Europejską. A państwo polskie, owszem, stworzyło Narodowy Instytut Wolności, ale jednocześnie zbudowało tak skomplikowane procedury, że małe, początkujące organizacje konserwatywne nie mają wielkich szans w zderzeniu z lewicowymi zawodowcami.

Na koniec wróćmy do polityki. Jak wygląda sytuacja w obozie dobrej zmiany po tych wyborach? Nowością jest bardzo silna reprezentacja dwóch skrzydeł PiS: Porozumienia i Solidarnej Polski. Miały w sumie najwyżej kilkunastu posłów, dziś mają razem 36 reprezentantów.

Zaczyna się nowy etap. Etap dość wyrównanej, nieuniknionej konkurencji wewnątrz Zjednoczonej Prawicy. Jarosław Kaczyński chyba źle ocenił sytuację podczas konstruowania list. W czasie kampanii próbował nieco wyhamować konkurencję pomiędzy przedstawicielami PiS i dwóch pozostałych formacji, ale – jak widać – to się nie udało. Jest też pytanie, czy i dlaczego efektywność kampanii Solidarnej Polski i Porozumienia nie była większa niż w przypadku PiS. Należałoby to przebadać. Oczywiście jest także kontekst zewnętrzny, czyli antypis, który również wpływał na sytuację w obozie Zjednoczonej Prawicy.

W jakim sensie?

Kampania opozycji eksponowała przypadki albo dwuznacznych, albo wprost nieuczciwych zachowań polityków obozu rządzącego. Jakoś tak się składa, że dotyczyło to wyłącznie polityków Prawa i Sprawiedliwości, a nie partii sojuszniczych. To wygląda tak, jakby starannie wybierano cele, do których się strzela. To się zresztą nie skończyło, to trwa nadal.

Stawia pan tezę, że to gra na zdestabilizowanie całej konstrukcji Zjednoczonej Prawicy?

Dokładnie. Strzela się do PiS po to, by szkielet całej konstrukcji został możliwie mocno osłabiony, co znacznie zmniejszy efektywność polityczną całego obozu. Dlatego warto słuchać, co mówią liderzy Porozumienia czy Solidarnej Polski. Mam wrażenie, że delikatnie się odsuwają, separują, od tych polityków PiS, którzy zostali zaatakowani.

> Jeden z doradców PiS ocenił, że niepełne zwycięstwo spowodowała inflacja pisowskich prezentów. Naliczył ich szesnaście

Również PiS chciałoby zapewne dymisji szefa NIK.

Jeśli o tej sprawie mówimy, to przypomnę, że w przypadku kłopotów szefa NBP wystarczyło jasne stanowisko polityczne, by sprawę rozwiązać i zdjąć z agendy za pomocą specjalnie przyjętej ustawy. Teraz ustawa nie wystarczy, ale jednocześnie wciąż nie usłyszeliśmy jasnego komunikatu: oczekujemy dymisji pana Banasia. Nie znam polityka, który wytrzymałby tego typu sankcję ze strony swojego środowiska przez dłuższy czas. PiS musi wrócić do praktyki formułowania jasnego stanowiska w takich sprawach. Musi mówić, co traktuje jako prowokację, a co jako uprawniony zarzut.

Mówi pan o niebezpieczeństwie destabilizacji całej konstrukcji. Z drugiej jednak strony, mimo sukcesu wspomnianych skrzydeł, pozycja przywódcza Jarosława Kaczyńskiego jest bezdyskusyjna.

Jarosław Kaczyński był główną postacią kampanii wyborczej, co było z jego strony heroizmem. Gdyby było wysokie zwycięstwo, wyższe niż te 43,6 proc., pozycja prezesa PiS zostałaby bardzo wzmocniona. Tak się nie stało. Ale właśnie teraz, przy wzmocnieniu skrzydeł i osłabieniu PiS, cały obóz jeszcze bardziej potrzebuje silnego przywództwa Jarosława Kaczyńskiego. Bo bez tego przyszłość całej formacji wygląda marnie. Zjednoczoną Prawicę spajają dwie rzeczy: wspólnota światopoglądowa, szeroka, i lider. Jeśli ten obóz nie będzie spoisty, to przegra następne wybory. A być może nawet wywróci się wcześniej.

Na czym?

Na przykład na takich zachowaniach aparatu partyjnego, nominatów w różnych sferach życia, które będą oznaczały wejście w buty poprzedników, które skończą się powtórką z tego, co symbolizowały nagrania z Sowy & Przyjaciół. Znowu: żeby do tego nie dopuścić, potrzeba bardzo silnej władzy politycznej w tym obozie. Silna władza Jarosława Kaczyńskiego i jego otoczenia jest warunkiem tego, by PiS miało szansę za cztery lata.

Co zrobić, by ta nowa kadencja miała w sobie energię, wolę przeprowadzania zmian, wiarę w kolejne zwycięstwo w 2023 r.? By nie była staczaniem się ku przekonaniu, że za cztery lata dojdzie do zmiany?

Warunek podstawowy jest jeden: te trzy ekipy na pokładzie statku dobrej zmiany – PiS, Porozumienie, Solidarna Polska – muszą umieć z sobą rozmawiać, dogadywać się, dotrzymywać porozumień, zarówno generalnych, jak i szczegółowych. Zbyt daleko posunięta konkurencja zewnętrzna osłabi wszystkich. O wszystkim zdecyduje codzienna praktyka. Dopiero jeśli to zostanie zagwarantowane, można pytać o kolejne kroki.

eprasa.pl f6df03f8b5

Rok Trzaskowskiego

Kiedyś Agnieszka Holland wzdychała, że chciałaby, aby w Polsce było znów tak, jak było. Ależ proszę bardzo, w rządzonej przez Rafała Trzaskowskiego Warszawie można się dziś poczuć jak w samym środku rządów Donalda Tuska. Stolica jest rozszarpywana przez różne grupy i tylko od ich siły zależy, czyje interesy zostaną zaspokojone. Władze nie mają żadnej wizji i potrafią jedynie administrować miastem, a sam prezydent nie jest jego gospodarzem, lecz kimś na kształt partyjnego namiestnika, którego podstawowym zadaniem jest obrona stołecznej twierdzy przed zakusami pisowskiego wroga

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Warszawa – zresztą na życzenie większości mieszkańców – nie tylko nie odczuła dobrej zmiany, ale w ogóle żadnej. Rafał Trzaskowski, który w listopadzie zeszłego roku objął stanowisko prezydenta stolicy, przez rok po prostu trwał na swoim urzędzie, starannie unikając rozwiązywania jakichkolwiek problemów, a z tymi, które mimo to go dopadły – np. z awarią oczyszczalni Czajka – nie był w stanie sobie poradzić.

Aktywność Trzaskowskiego ograniczała się w tym czasie głównie do działań piarowskich, zwykle zabarwionych ideologicznie, takich jak promocja LGBT czy słynna już „ekologiczna strefa relaksu" na pl. Bankowym, gdzie w zaduchu spalin mieli wypoczywać warszawiacy. Ale – w odróżnieniu od antypisowskich frontmenów w rodzaju prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka czy Aleksandry Dulkiewicz z Gdańska – Trzaskowski szybko tracił zapał do czegokolwiek, co wytknęła mu nawet „Gazeta Wyborcza", zarzucając, że jego prezydentura jest „irytująco reaktywna".

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f6df03f8b5

Trzaskowski sprawia bowiem wrażenie człowieka, który czuje się mocno nieszczęśliwy w swojej obecnej roli. Kompletnie nie interesują go codzienne problemy miasta i żyjących w nim ludzi. Nie rozumie ich i nie chce ich zrozumieć. Dał zresztą tego dowód jeszcze podczas kampanii przed wyborami samorządowymi, gdy za główny problem stolicy uznał brak odpowiednio nagłośnionej sali koncertowej. A wyciek szamba do Wisły przy okazji awarii oczyszczalni ścieków to naprawdę ostatnia rzecz, którą kiedykolwiek chciałby się zajmować.

Polityk PO ma bowiem inne aspiracje. Gdy obejmował urząd prezydenta stolicy, myślał zapewne – a wraz z nim wielu innych – że będzie to jedynie krótka trampolina do walki o najwyższe stanowiska: premiera, a może nawet prezydenta RP. Polityka bywa wprawdzie nieprzewidywalna i wszystko jest możliwe, ale w tej chwili wydaje się, że spełnienie tych marzeń nie będzie takie proste. Z coraz większą, z trudem ukrywaną irytacją i znużeniem, Trzaskowski musi więc doglądać wyciekającego szamba, pochylać się nad wywozem śmieci, przysypiać w trakcie narad o polityce transportowej i brać udział w szkolnych akademiach, potykając się o pląsających usłużnie dyrektorów. Ale co go to wszystko właściwie obchodzi? Jak długo jeszcze ma na to tracić czas?

> Warszawa jest pozbawiona jakiejkolwiek spójnej wizji, jej władze nie dążą do działania na rzecz ogółu i nie mają żadnego wyznaczonego celu poza jednym: trwać i nie dać sobie odebrać władzy

LICZY SIĘ ANTYPISIZM

Oczywiście Rafał Trzaskowski nie został wybrany po to, aby cokolwiek w Warszawie zmieniać i urządzać jakiekolwiek rewolucje. Wybrano go, by nie dopuścić do przejęcia miasta przez PiS. Zamiast niego mógłby wystartować ktokolwiek, nawet szaman z Buriacji, byleby tylko był autoryzowany przez opozycję. Silny w stolicy elektorat antypisowski chciał, aby wszystko pozostało po staremu, dlatego trudno powiedzieć, że bierność prezydenta rozczarowała jego wyborców.

Wielu z nich nie czuje się zresztą związanych z miastem, w którym przyszło im mieszkać. Oszołomieni szybkim awansem chcą jedynie udowodnić sobie i swojemu otoczeniu, jak bardzo są postępowi, nowocześni i antypisowscy. Rafał Trzaskowski umiał rok temu wykorzystać te kompleksy, popisując się anegdotą o profesorze Geremku, przed którym referował po francusku credo Edgara Morina z „Penser l'Europe". Anegdotą upiornie snobistyczną, ale duża część elektoratu nie tylko nie odczuła zażenowania, lecz wręcz przeciwnie – w słowach prezydenta ujrzała swoje własne aspiracje.

Zresztą Trzaskowski zawdzięcza swoją prezydenturę nie tylko nieco zagubionym warszawiakom świeżej daty. Również wśród rdzennych mieszkańców miasta jest sporo takich, którzy tak bardzo nienawidzą PiS, że ta motywacja usprawiedliwia w ich oczach każdą niedoskonałość obecnego włodarza stolicy.

PIAROWSKA KURTYNA

Trudno się dziwić, że Trzaskowski, objąwszy rok temu urząd po Hannie Gronkiewicz-Waltz, nie przejmował się złożonymi obietnicami. A było ich sporo: nowe linie metra i tramwajów, obiekty sportowe, dopłaty do zajęć dodatkowych w szkołach, ekstradyżury lekarzy w przychodniach dzielnicowych, zasadzenie miliona drzew w mieście, wymiana kopcących pieców, inwestycje w sieć ciepłowniczą, stypendia dla wybitnych nauczycieli, nowa obwodnica itd., itd. Autorzy strony TrzaskowskiWatch wyliczają 42 obietnice Rafała Trzaskowskiego, spośród których zrealizował dotąd zaledwie jedną – tę dotyczącą wprowadzenia Karty LGBT. I choć można spojrzeć na dotychczasowy bilans prezydenta Warszawy nieco łagodniejszym okiem, do końca kadencji zostały mu przecież cztery lata, więc ma jeszcze szansę poprawić wynik, to i tak jasne jest, że jego program był – podobnie jak w przypadku jego poprzedniczki – jedynie piarowską kurtyną, wyborczym konwenansem, wartym tyle, ile słynny „sześciopak" Grzegorza Schetyny. Po prostu nie wypada startować w wyborach bez jakiegokolwiek pozytywnego programu, nawet wtedy gdy wszyscy wokół wiedzą, że jedynym celem kandydata jest utrzymanie status quo.

W tym sensie Trzaskowski jest bardzo typowym politykiem PO. Jego wiarygodność obejmuje tylko ten jeden, najważniejszy punkt, jakim jest walka z PiS. Pozostałe nie mają większego znaczenia. Co ciekawe, w większości antypisowskim wyborcom to wystarcza. Jedyne utyskiwania dochodzą ze zradykalizowanych środowisk lewicy, które nieustannie mobilizują Trzaskowskiego do większej aktywności na polu rewolucji obyczajowej.

NAMIESTNIK

W rezultacie Rafał Trzaskowski nie jest gospodarzem miasta, lecz kimś na kształt partyjnego namiestnika Warszawy, którego podstawowym zadaniem jest obrona stołecznej twierdzy przed zakusami pisowskiego wroga. Takie są zresztą oczekiwania zarówno większości wyborców Trzaskowskiego, jak i środowiska, z którego on sam się wywodzi.

Nic więc dziwnego, że rządy w warszawskim ratuszu ograniczają się na ogół do administrowania miastem, podczas gdy realna polityka miejska rozgrywająca się wokół różnych interesów, głównie ekonomicznych, jest realizowana w cieniu ideologicznych przepychanek, które skutecznie odciągają uwagę opinii publicznej od tego, co się dziś w Warszawie dzieje.

A dzieje się sporo. Na przykład w kwestii tzw. reprywatyzacji. Zapadają kolejne wyroki Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego unieważniające powrót wyłudzonych kamienic w ręce miasta (a więc lokatorów). Ostatni taki werdykt WSA

eprasa.pl f6df03f8b5

dotyczył słynnej kamienicy przy ul. Nabielaka na Dolnym Mokotowie, skąd porwano działaczkę na rzecz praw lokatorów Jolantę Brzeską zamordowaną potem przez nieznanych (!) sprawców w Lesie Kabackim. Notabene decyzje o ponownym oddaniu nieruchomości handlarzom roszczeń podejmuje dziś ten sam sąd, który wcześniej unieważnił decyzję wojewody mazowieckiego o dekomunizacji warszawskich ulic, przywracając w przestrzeni publicznej nazwiska sowieckich agentów i komunistycznych aparatczyków.

Spekulanci, którzy nieco przycichli podczas prac sejmowej komisji weryfikacyjnej, znowu zaczynają czuć się bezkarnie. Mieszkańcy kolejnych dzielnic (np. na zbudowanych już po wojnie warszawskich Sielcach) otrzymują pisma o wszczęciu procedury „zwrotowej" gruntów, na których postawiono ich domy. Rafał Trzaskowski nie tylko nie występuje tu w obronie mieszkańców, ale – wręcz przeciwnie – staje po stronie „właścicieli" nieruchomości, kontynuując politykę Hanny Gronkiewicz-Waltz uważającej, że im więcej domów pozbędzie się miasto, tym mniej będzie miało kłopotów z ich utrzymaniem. Oczywiście dramaty przeżywane przez mieszkających w „zwracanych" kamienicach ludzi nikomu nie zaprzątały ani nie zaprzątają głowy.

Szczególnym refleksem wykazał się tu wiceprezydent stolicy Paweł Rabiej, który zasiadał w komisji weryfikacyjnej. Doskonale znając okoliczności, w jakich dochodziło do „zwrotu" kamienic, oświadczył on niespodziewanie, że „komisja weryfikacyjna popełniła mnóstwo błędów prawnych przy podejmowaniu decyzji", a „problemów Warszawy nie rozwiąże puste krzykactwo i naprawianie bezprawia bezprawiem". Wiatr powiał z innej strony i Paweł Rabiej najwyraźniej wyciągnął z tego wnioski.

Faktem jest, że po przegranych wyborach samorządowych w stolicy PiS straciło zapał do walki z wyłudzaczami kamienic. Sytuacja ta pokazuje jednak, że gdy tylko spekulanci – wszystko jedno, czy ci od nieruchomości, czy np. ci od VAT – zobaczą, że już im wolno, natychmiast wracają do swojego przestępczego procederu. W rządzonej przez PO Warszawie zorientowali się, że znów mają fory. Warto to odnotować, bo pewnie podobnie będzie w całym kraju, jeśli PiS utraci władzę.

MIASTO TEORETYCZNE

Rządy Platformy w Warszawie mogą do pewnego stopnia posłużyć jako ćwiczenie dla wyobraźni, co by było, gdyby PO objęła władzę w Polsce. Zamiast obiecanego rozwoju postępująca stagnacja oraz cięcie inwestycji – wszystko tłumaczone skutkami finansowej polityki PiS i wynikającym stąd brakiem wystarczających wpływów z podatków. Władze stolicy opóźniały nawet wypłaty rządowych programów takich jak 500+, co można interpretować jako lokalne sprawdzanie reakcji mieszkańców na wypadek likwidacji tych świadczeń przez PO. Jednocześnie powracają dawne patologie, takie jak tzw. reprywatyzacja, o czym była przed chwilą mowa.

Miasto nie jest sprawnie zarządzane, lecz zaledwie administrowane, co jest związane ze stopniowym pozbywaniem się odpowiedzialności za jego rozwój, majątek i mieszkańców. Władze zajmują się w zamian podgrzewaniem sporów na poziomie symbolicznym, takich jak rekomunizacja ulic czy promocja ideologii LGBT oraz skupianiem na nich całej uwagi mieszkańców, zarówno tych, którzy chcieliby, aby Warszawa stała się tak samo nowoczesna jak – nie przymierzając – Kolonia lub Sztokholm, jak i tych, którzy są zdecydowanie mniej postępowi.

Wiele z tych działań ma zresztą charakter pozorny, szeroko nagłaśniana walka o ekologię skończyła się październikową strefą relaksu przed ratuszem i wyciekiem ścieków do Wisły. A program sadzenia miliona drzew skończy się zapewne masową wycinką pod nowe apartamentowce, które mają m.in. powstać w rejonie Rezerwatu Jeziorko Czerniakowskie.

Stolica jest rozszarpywana przez różne grupy i tylko od ich siły zależy, czyje postulaty zostaną zrealizowane. Interesy słabszych nie liczą się w ogóle. W efekcie Warszawa jest pozbawiona jakiejkolwiek spójnej wizji, jej władze nie dążą do działania na rzecz ogółu mieszkańców i nie mają żadnego wyznaczonego celu poza jednym: trwać i nie dać sobie odebrać władzy. Trudno nie mieć tu skojarzeń z okresem rządów Donalda Tuska i ówczesnej koalicji PO-PSL.

Wydawałoby się więc, że przykład Warszawy powinien zniechęcić każdego, kto życzyłby sobie rozumnych rządów kierujących się dobrem wspólnym. Jednak dziś przeciętny wyborca nie jest racjonalny i kieruje się głównie emocjami. Stolica nie jest tu żadnym wyjątkiem, choć może ona – podobnie jak inne duże miasta – stanowić pewną przestrogę dla tych, którzy nie chcieliby, aby, nawiązując do słów Agnieszki Holland, znowu było tak, jak było.

REKLAMA

106/1019/F

eprasa.pl f6df03f8b5

Gdańsk nie odpuszcza Westerplatte

Na Westerplatte archeolodzy odnajdują szczątki poległych tam polskich bohaterów. Te sensacyjne odkrycia nie robią wrażenia na władzach Gdańska. Wręcz przeciwnie. Magistrat – jak może – rzuca kłody pod nogi prowadzącym tam prace odkrywkowe

ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI

W połowie września tego roku ruszył piąty etap badań archeologicznych na terenie dawnej Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte. Trwa do dziś. Efekty poszukiwań tylko w ciągu jednego miesiąca przeszły najśmielsze oczekiwania. Odnaleziono osiem ludzkich szkieletów i ok. 300 fragmentów kości. Sądząc z leżących obok części polskiego oporządzenia wojskowego, a także z usytuowania szczątków, należą one do bohaterskich obrońców Półwyspu, z których większość poległa 2 września 1939 r. podczas bombardowania i trafienia w Wartownię nr 5. Przez 80 lat miejsce pochówku było zaniedbane, zarośnięte krzakami, w żaden sposób nieoznakowane, a także całkowicie zapomniane, choć znajduje się w odległości kilkudziesięciu metrów od głównego ciągu komunikacyjnego prowadzącego do pomnika Obrońców Wybrzeża na Westerplatte. Winę za to ponosi nie tylko komunistyczny rząd PRL, któremu nie zależało na dbaniu o to jakże ważne dla Polaków miejsce, lecz również po 1989 r. władze miasta i Muzeum Gdańska. Nawet dziś podczas prac archeologicznych nie tylko w ogóle nie interesują się tym miejscem, ale jeszcze rzucają kłody pod nogi prowadzącym prace odkrywkowe.

Fot. Marcin Gadomski / PAP, Wojciech Strozyk/REPORTER

eprasa.pl f6df03f8b5

GRÓB DLA CAŁEGO ODDZIAŁU

W obronie Wojskowej Składnicy Tranzytowej brało udział tylko ok. 230 oficerów, podoficerów i żołnierzy. Nie jest znana dokładna liczba poległych. Choć jak pisał w swojej „Pieśni o żołnierzach z Westerplatte" Konstanty Ildefons Gałczyński „prosto do nieba czwórkami szli", to ile tak naprawdę było tych „czwórek", nie wiadomo. Dowódca placówki mjr Henryk Sucharski wspominał o 20 zabitych. Pochówkiem zajęli się Niemcy tuż po upadku WST. W styczniu 1940 r. rękoma polskich jeńców cywilnych przeprowadzili pobieżną ekshumację. Największy problem był z poległymi w Wartowni nr 5. Nie wydobyto ich w trakcie obrony, ponieważ zostali zakleszczeni pod gruzami. Te szczątki, których nie udało się wydobyć, zalano materiałem łatwopalnym i podpalono. Także po to, by po spaleniu tkanek miękkich łatwiej było wydobyć poległych. Takie ślady spalenizny odkryto podczas pierwszego etapu prac archeologicznych w 2016 r. tuż przy Wartowni nr 5. To właśnie tam na skutek celnego trafienia serii bomb zrzuconych z samolotu nurkującego Stuka obrońcy ponieśli największe straty.

Agonię Wartowni nr 5 tak opisał świadek tamtych wydarzeń sierż. Władysława Deika: „Wartownia nr 5 trafiona bombą stanęła w płomieniach i runęła. Ciężki, betonowy dach przywalił swoją masą znajdujących się wewnątrz żołnierzy, eksplodowały zapasy amunicji. Był to grób całego oddziału wraz z jego dowódcą Adolfem Petzeltem, którzy wiernie trwali na posterunku. (...) Słychać jęki przywalonych. Tych, którzy się utrzymują na nogach, odsyłamy do punktu sanitarnego do koszar. Chwytamy we trzech jakiegoś kaprala ze zgniecioną klatką piersiową, który wije się w konwulsjach szoku nerwowego. (...) Usiłujemy dostać się do środka zawalonej wartowni, gdzie konają ludzie. Cofa nas wydobywający się spod tej kupy gruzów dym, gaz, duszący żar ognia (...) Zawiązujemy usta chusteczkami i po raz drugi próbujemy się dostać do środka piwnicy. (...) Jaki przerażający widok! Po całej wartowni leżą rozszarpane, spieczone kawałki ciała ludzkiego. Jęk, który nas tu zaprowadził – urwał się. Temu żołnierzowi już pomoc niepotrzebna. Leży on pod sufitem na jeszcze stojącej, pochylonej ścianie, przygnieciony zwalonym stropem. Detonacja wyrzuciła go z niesamowitą siłą i przywalony kilkunastotonowym ciężarem, skonał. (...) Panuje złowieszcza cisza".

Polegli: dowódca plut. Adolf Petzelt, kpr. Bronisław Perucki, st. strz. Władysław Okraszewski, strz. Antoni Piróg, st. strz. Ignacy Zatorski oraz strz. Józef Kita. Ale to nie wszyscy. Nie jest znana dokładna liczba żołnierzy, którzy stracili życie w trafionym schronie. Być może to właśnie m.in. ich szczątki odkryto teraz zakopane 1,3 m pod ziemią. Potwierdzą to dopiero badania DNA.

MAGISTRAT ATAKUJE

Główną zasługę w odnalezieniu poległych bohaterów należy przypisać trzem osobom: kierownikowi Muzeum Westerplatte i Wojny 1939 r. mgr. inż. Mariuszowi Wójtowicz-Podhorskiemu, dr. Karolowi Nawrockiemu – dyrektorowi Muzeum II Wojny Światowej oraz wiceministrowi kultury Jarosławowi Sellinowi. Pierwszy już przed 2016 r. podjął się zadania odszukania poległych. – W rozmowach z nieżyjącymi już dziś obrońcami: Wiktorem Ciereszką, Władysławem Stopińskim czy Ignacym Skowronem, udało się mniej więcej ustalić miejsca pochówku – wspomina Wójtowicz-Podhorski. – Wiedzą tą podzieliłem się z władzami Gdańska, ale te nie zareagowały – dodaje. Wręcz przeciwnie. Miasto wypowiedziało umowę o udostępnienie tego terenu na badania archeologiczne. By móc kontynuować prace, muzeum uzyskało zezwolenie wydane przez konserwatora wojewódzkiego. Do dziś magistrat uważa, że to nielegalne działanie. – Swego czasu przysłuchiwałem się planom zmian, które miały nastąpić po 2008 r. na Westerplatte – opowiada Wójtowicz-Podhorski. – Miasto zamierzało utworzyć tu marinę jachtową, kluby nocne, restauracje, pole golfowe. Finalnym produktem miało być wybudowanie osiedli apartamentowców. Plany te pokrzyżowało reaktywowanie projektu budowy Muzeum Westerplatte i Wojny 1939 r. w 2016 r.

Potwierdza to Karol Nawrocki. – Od początku magistrat chciał wstrzymać badania archeologiczne na Westerplatte. Nazywali nas „przestępcami", bo raz o pół metra przesunęliśmy granicę terenu wykopów archeologicznych – opowiada. Jego zdaniem dopiero decyzja o połączeniu Muzeum II Wojny Światowej z Muzeum Westerplatte i Wojny 1939 r. poprawiła sytuację. – Wreszcie jako duża placówka otrzymaliśmy środki finansowe i przy pomocy adwokatów mogliśmy się bronić przed zmasowanymi atakami gdańskiego magistratu. Rok później udało się te nawałnicę jakoś powstrzymać.

Dużo pracy w przeforsowanie specustawy włożył wiceminister i poseł na Sejm RP Jarosław Sellin. A to właśnie specustawa per saldo doprowadziła do odnalezienia szczątków poległych bohaterów. Ale władze Gdańska działające ramię w ramię z Muzeum Gdańska jeszcze dziś nie odpuszczają. Przejęcie tych terenów przez państwo ze względów formalnoprawnych jeszcze trwa. W ramach tego szaleństwa zarządzający jeszcze ziemią na Westerplatte urząd miasta ostatnio zakazał wjazdu samochodami na teren wykopalisk. Archeolodzy pod kierownictwem mgr. Filipa Kuczmy muszą pieszo nosić sprzęt do miejsc poszukiwań, bo strażnicy miejscy tylko czekają, by wlepić mandaty.

Dziś widać wyraźnie, jak wielki sens miało głosowanie w Sejmie przepisów przekazujących skarbowi państwa tereny byłej Wojskowej Składnicy Tranzytowej. Prezydent Gdańska bowiem w swojej zapiekłości nie zwraca uwagi na to, że od walki z partią rządzącą ważniejsze jest przede wszystkim odnalezienie poległych, by zorganizować im pochówek godny ich czynów. Być może jej zachowanie tłumaczy tajemniczy wpis na Twitterze umieszczony w środku nocy: „Moje miejsce, mój ukochany @gdansk! Nie odpuszczę, nie opuszczę nigdy! #myplace #myhome #iloveGDN". Polska też nie odpuści, upominając się o swoich bohaterów.

eprasa.pl f6df03f8b5

W listopadzie patriotyczne książki z tygodnikiem SIECI

W sprzedaży tylko do 10 listopada

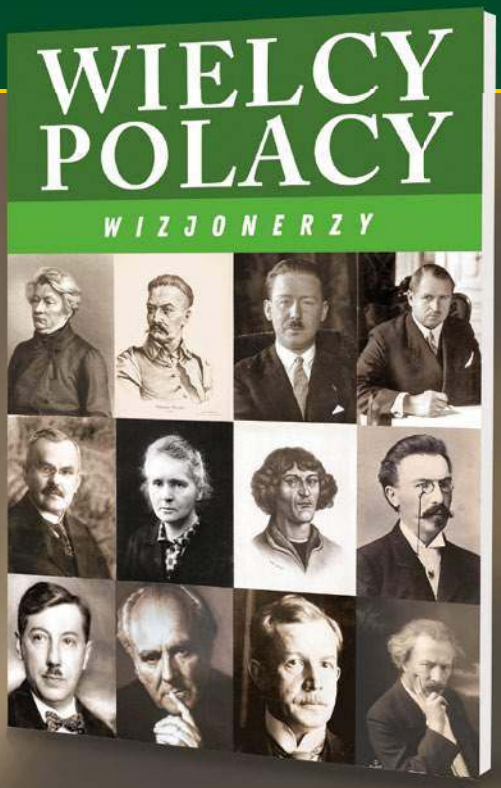

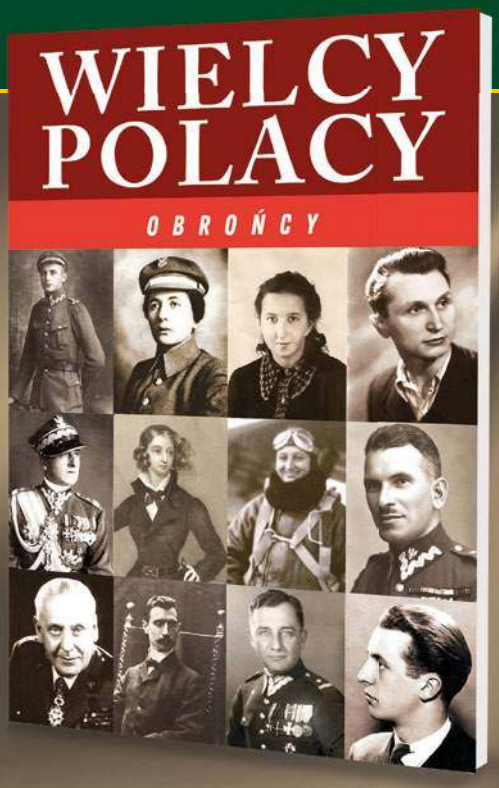

W sprzedaży od 12 do 24 listopada

Książki „Wielcy Polacy" to 100 fascynujących postaci:

- Wizjonerów, dla których najważniejszy był rozwój państwa i silnego narodu
- Obrońców, którzy życie podporządkowali walce w obronie Polski i Polaków

Tygodnik z książką w cenie 9,90 zł

Szukaj w wybranych punktach sprzedaży m.in.: ◆ Empik ◆ Relay ◆ InMedio ◆ 1-Minute ◆ Tabak ◆ Media Star ◆ Poczta Polska

Salony prasowe: ◆ Kolporter ◆ Ruch ◆ Garmond Press

Stacje benzynowe: ORLEN i LOTOS

Partner wydania

90 lat Bank Pekao

eprasa.pl f6df03f8b5

To raczej nie było planowane, ale w krótkim czasie aktorzy kojarzeni z lekarskimi kitlami z różnych produkcji serialowych i filmowych zwarli szyki, by pomagać najmłodszym i bezbronnym. Tak jak Magdalena Różczka i Marta Żmuda-Trzebiatowska, które oddają im serce i zaangażowanie

Przede wszystkim na dobre

Fot. Piętka Mieszko/AKPA, Podlewski/AKPA

Autopromocja

eprasa.pl f6df03f8b5

Marta Żmuda-Trzebiatowska w serialu „Na dobre i na złe" wciela się w postać dr Hanny Sikorki

Fot. Karina Szymczuk / mat. prasowe

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Magdalena Różczka, którą widzowie pamiętają z roli w serialu „Lekarze", tym razem, w filmie „1800 gramów", będzie szukać nowych opiekunów dla dzieci pozbawionych rodzin. Któregoś dnia trafi do jej bohaterki malutka dziewczynka i skradnie jej serce, otwierając jednocześnie przestrzeń do podnoszącej na duchu opowieści o uczuciach.

– To bardzo ważny dla mnie projekt, w którego powstanie byłam zaangażowana od samego początku – mówi aktorka. – Scenariusz był inspirowany prawdziwymi historiami dzieci, które poznałam w czasie dziesięcioletniej współpracy z Interwencyjnym Ośrodkiem Preadopcyjnym w Otwocku. Mam nadzieję, że film da początek wielu budującym rozmowom, wokół adopcji jest bowiem wciąż dużo spraw do naprawienia, a jestem pewna, że dobro maleńkich dzieci, które rozpaczliwe potrzebują miłości i utulenia, to temat, który dotyka każdego wrażliwego człowieka.

ŚWIADOMIE DLA DZIECI

Magdalenie Różczce partneruje Piotr Głowacki, dziś kojarzony przez widzów także ze szpitalem w Leśnej Górze, gdzie tworzy postać ekscentrycznego neurochirurga, prof. Barta.

„1800 gramów", jego zdaniem, daje szansę nie tylko na miło spędzony w kinie czas, lecz także na zastanowienie się nad rzeczami, o których na co dzień się nie myśli. – Niesamowite, jak cudowną istotą jest dziecko, jak fascynującym człowiekiem w swojej startowej formie – komentuje Głowacki. – Jest chłonne, niezwykle szybko poznaje świat. Na nas wszystkich, na rodzicach, na całym społeczeństwie, spoczywa odpowiedzialność, żeby uczyło się dobrych rzeczy i żyło w świecie pozytywnych wartości – dodaje.

„1800 gramów" trafi do kin 15 listopada, tymczasem tydzień wcześniej, 9 listopada, przypada Światowy Dzień Adopcji. Aktorzy, którzy zagrali w filmie promującym temat świadomego rodzicielstwa, w naturalny sposób zostali ambasadorami #WorldAdoptionDay, którego symbolem jest dłoń z namalowaną uśmiechniętą buźką.

– Najważniejsza w wychowywaniu dzieci jest bezwarunkowa miłość, którą im dajemy – podkreśla Magdalena Różczka. – Na jej bazie trzeba budować całą resztę, być mądrym, empatycznym, asertywnym itd., ale bez niej nie ma nic.

eprasa.pl f6df03f8b5

DWADZIEŚCIA LAT MINĘŁO

Dwa dni przed Światowym Dniem Adopcji, 7 listopada, minie równo 20 lat od premiery pierwszego odcinka produkcji, która na dobre i na złe rozkochała polskich widzów w klimatach medycznych seriali.

A zaczęło się od trójki bohaterów – dawnych przyjaciół ze studiów medycznych – i spełnienia ich marzeń, by pracować razem. Gdy ordynatorowi oddziału chirurgicznego Brunonowi Walickiemu udało się namówić przyjaciela – chirurga Jakuba Burskiego, który przyjechał z USA – by przedłużył pobyt w Polsce i wsparł zespół szpitala w Leśnej Górze. Tu pracuje też dawna sympatia Burskiego, anestezjolog Zofia Stankiewicz.

„Na dobre i na złe" przyniosło ogromną popularność aktorom grającym w serialu – przede wszystkim wcielającym się w główną trójkę – na kolejne lata zespalając ich z ekranowymi postaciami.

Najszybciej (ale i tak po 167 odcinkach), w piątym sezonie pożegnał się z Leśną Górą Krzysztof Pieczyński. Para głównych bohaterów została z telewidzami przez 13 lat. Do 499. odcinka – Małgorzata Foremniak – i do 472. – Artur Żmijewski. Emitowany właśnie 21. sezon rozpoczął się od odcinka 746.

LEŚNA GÓRA GÓRĄ

„Na dobre i na złe" to z pewnością najbardziej lubiany i najdłużej oglądany polski serial medyczny. Przez dwie dekady przewinęło się przez Leśną Górę wielu wspaniałych aktorów. Nie sposób wymienić wszystkich, ale z pewnością wrażenie robi czas, jaki spędzili z widzami. Wśród odtwarzających wiodące role byli m.in. Marian Opania (jako profesor Tadeusz Zybert; odcinki 1–667), Jolanta Fraszyńska (dr Monika Zybert; odc. 7–416), Dorota Segda (dyrektor administracyjny szpitala; odc. 1–221), Daria Trafankowska (siostra oddziałowa; odc. 1–177), Agnieszka Dygant (Mariolka, odc. 87–370); Edyta Jungowska (siostra Bożenka, odc. 21–471), Katarzyna Bujakiewicz (siostra Marta; odc. 33–680). W serialu grali też: Leon Niemczyk, Robert Janowski, Emilia Krakowska, Alicja Bachleda-Curuś czy Maja Ostaszewska.

Niezwykle atrakcyjny, różnorodny, ale oczywiście zawsze bardzo kompetentny był zespół lekarski. Tworzyli go m.in.: Andrzej Zieliński (jako dr Pawica, odc. 10–462), Bartosz Opania (dr Latoszek, odc. 73–692), Olga Bończyk (dr Kruszyńska, odc. 55–419), Anita Sokołowska (dr Starska, odc. 189–692), Marek Bukowski (dr Gawryło, odc. 406–698), Emilia Komarnicka (dr Woźnicka, odc. 347–685), Marcin Rogacewicz (dr Zapała, od odcinka 346) czy Grzegorz Daukszewicz (dr Krajewski).

Najdłużej związanym z serialem ekranowym lekarzem jest dr Stefan Tretter. Grający go Piotr Garlicki dołączył do obsady w odcinku 45.

Dziś na szpitalnych korytarzach Leśnej Góry spotkać można m.in. Katarzynę Dąbrowską (dr Consalida), Roberta Koszuckiego (dr Konica, od odc. 292), Michała Żebrowskiego (prof. Falkowicz), Aleksandrę Hamkało (dr Burska), Piotra Głowackiego (prof. Bart) oraz najnowszych bohaterów ze stetoskopami: dr Sikorkę (Marta Żmuda-Trzebiatowska), dr. Wilczewskiego (Mateusz Janicki) czy anestezjologa Marcina Molendę (Filip Bobek).

ŁÓŻKO DLA MALUSZKA

W środę 6 listopada nadany zostanie 755. odcinek serialu. Największą uwagę skupi w nim dr Hanna Sikorka. Grająca ją Marta Żmuda-Trzebiatowska wspomina czas, kiedy pierwszy raz trafiła do Leśnej Góry: – Pamiętam niedziele, obiad u babci i czołówkę serialu, w którym Bruno, Zosia i Kuba szli przez park. Byłam nastolatką, więc wątki medyczne nie interesowały mnie tak jak teraz. Bardziej to, kto z kim i dlaczego nie, bo przecież tyle stało na przeszkodzie do szczęścia głównej pary.

Dziś jako aktorkę, która gra w „Na dobre i na złe", bardziej od romansowych zawirowań pociągają ją medyczne przypadki. Ostatnio zaskoczyła męża, rzucając nazwę którejś z kości. Ale przecież dr Sikorka to zdolna i kompetentna lekarka i w szpitalu z pewnością sikorką nie jest.

– Bardzo lubię tę swoją Hankę – podkreśla aktorka. – Za to, że jest taką idealistką, ale nie do końca jest idealna. Poza szpitalem, gdzie jest skupiona i kompetentna, bywa roztrzepana, potrafi strzelać gafę za gafą. Z drugiej strony jest niezwykle empatyczna, oddana pacjentom, zaangażowana w każdy przypadek. Na pewno każdy chciałby mieć takiego lekarza.

Podtrzymując atmosferę najlepszego w Polsce i najbardziej przyjaznego pacjentom szpitala, aktorzy, którzy dziś „pracują" w Leśnej Górze, wystąpili w specjalnym spocie. Zachęcają w nim do wsparcia akcji „Dołóż się do łóżka dla maluszka", czyli zbiórki pieniędzy na wyposażenie oddziału pediatrycznego Instytutu Matki i Dziecka.

Film „1800 gramów" z Magdaleną Różczką trafi do kin 15 listopada

eprasa.pl f6df03f8b5

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Autsajder" – więzienne uniwersytety

Są filmy, o których człowiek chce napisać, a nie ma sposobności. O „Autsajderze", świetnego operatora Adama Sikory (ostatnio zdjęcia do Teatru Telewizji „Inny świat"), wspominałem w superlatywach przy okazji podsumowań poprzedniego festiwalu w Gdyni, tego z roku 2018. Teraz zaczął go pokazywać Canal Plus.

Film zebrał trochę pochwał, ale zdawkowych i chyba nie zaistniał w kinach. Sikora postanowił opowiedzieć historię z lat 1982–1983. Twierdził, że to opowieść po części osobista, on sam urodził się w roku 1960 i tak jak główny bohater zaczął od studiów malarskich. Ten bohater mieszka w Katowicach, uważa się za studenta artystę i odżegnuje od polityki. A na ulicach szaleje konflikt Solidarności z komunistyczną władzą.

Przypadek sprawia, że chłopaka oskarżają o rozpowszechnianie ulotek. Ulotki nie są jego, jednak nie obciąża kolegi. Pada ofiarą brutalnego śledztwa katowickiej SB. Skazują go na cztery lata. I tu paradoks. Owszem, nie ciągnęło go do opowiadania się, próbował być poza, ale jako człowiek przyzwoity w kolejnych celach umiał się zachować właściwie. Ten uniwersytet z codziennego człowieczeństwa uważam za wielką wartość w czasach, kiedy kino zachłystuje się cynizmem.

Film nie udziela odpowiedzi, kim będzie Franek po wypuszczeniu. Nadal nie krzyczy z innymi „Solidarność!". Ale z innymi głoduje. Zaczyna rozumieć zbiorowe emocje, czuć cenę oporu. Styka się też na początku z więźniami kryminalnymi, zaskakująco życzliwymi. Może najbardziej gorzkie są sekwencje po wyjściu na wolność. Opuszcza go dziewczyna, bo „chce normalnie żyć". Doznaje osamotnienia.

No właśnie, film był chwalony za to, że nie wybiera „perspektywy ideologicznej", choć walka Solidarności miała naturę obywatelską. Ideologii było tam niewiele. Istotnie Sikorę najbardziej interesuje wewnętrzna wolność jednostki. A jednak tło jest ważne. To kawałek historii tamtej Polski. Na jego podstawie można udzielić lekcji młodym krytykom niedowierzającym, że w stanie wojennym bito i straszono więźniów torturami. Tak, nie znanych opozycjonistów. Ale robotników, studentów czy uczniów – i owszem. Mamy wątek zwątpienia, alienacji. Dopada ona kolegów z celi głównego bohatera. I paradoksalnie jego samego. Doświadcza porażki Solidarności, którą opuściły miliony, choć nie jest solidarnościowcem.

To mądry delikatny film, w którym wszystko jest na swoim miejscu. Chcemy wiedzieć, co będzie dalej. I doznajemy oczyszczenia. To symboliczne, że Sikora, który napisał też scenariusz, w tej osobistej historii obsadził swojego syna Łukasza Sikorę. A ten prowadzi trudną rolę dojrzewającego chłopca właśnie z podziwu godną dojrzałością.

W tle Dorota Pomykała, matka, niezawodna w roli kobiet skrywających ciepło za szorstkością zwyczajnych gestów. Mamy i galerię esbeków: Mariusza Bonaszewskiego, Marka Kalitę, Arkadiusza Janiczka, oberklawisza – Mariusza Jakusa. Może najbardziej ujmujący jest Tomasz Sapryk jako stary kryminalista. Warto kręcić takie kameralne filmy, pokazujące, jak było, ale i jak powinno być – w życiu.

Temat powinien stawiać Sikorę po stronie prawicy. On jednak na festiwalowej konferencji powołał się na „Władka Frasyniuka" i wzywał do reagowania dziś na zło. Mimo kodowskiego przesłania na jego pokaz nie runęła modna mainstreamowa publika, a film został nagrodzony zaraz potem na festiwalu filmów o wyklętych, także w Gdyni. Te wieczne polskie paradoksy.

Piotr Zaremba

Londyn pod urokiem Wajnberga

Seria wydarzeń w legendarnej londyńskiej Wigmore Hall daje nowy impet fenomenowi rosnącego zainteresowania twórczością kompozytora, który urodził się sto lat temu

ADAM CIESIELSKI

Mieczysław Wajnberg wyrasta z trzech kultur: polskiej, żydowskiej i rosyjskiej. Przyszedł na świat 8 grudnia 1919 r. w Warszawie. Kształcił się w klasie fortepianu Józefa Turczyńskiego w stołecznym konserwatorium. Widziano w nim kandydata do polskiej reprezentacji na konkurs chopinowski, miał też zaproszenie na studia w USA. Te plany zniweczył wybuch wojny. Uciekając przed Niemcami, Wajnberg znalazł się na sowieckiej Białorusi. W 1941 w Mińsku zdobył dyplom kompozytorski, w 1943 r. – dzięki pomocy Dymitra Szostakowicza, późniejszego mentora i przyjaciela – osiadł z rodziną w Moskwie. Tam mieszkał do śmierci w 1996 r.

Napisał 26 symfonii, 17 kwartetów smyczkowych, siedem oper oraz utwory wokalno-instrumentalne, m.in. do strof polskich poetów – Mickiewicza, Staffa, Tuwima. Sprawdził się w muzyce filmowej. Obraz Michaiła Kałatozowa „Lecą żurawie" w jego oprawie w 1958 r. zdobył Złotą Palmę w Cannes.

Scheda artystyczna po Wajnbergu długo nie budziła entuzjazmu w Rosji, środowiska żydowskie zaś dystansowała przedśmiertna konwersja kompozytora na prawosławie. Żywszy oddźwięk miał w Polsce, choć i tu obciążeniem było sowieckie obywatelstwo artysty. Przełomem okazała się w 2010 r. inscenizacja opery Wajnberga „Pasażerka" z 1968 r. (z librettem wg książki Zofii Posmysz – byłej więźniarki Auschwitz i Ravensbrück) w austriackiej Bregencji we współpracy Instytutu Adama Mickiewicza i Teatru Wielkiego – Opery Narodowej w Warszawie. Brytyjski reżyser David Pountney wstrząsająco wyeksponował motyw pamięci i odpowiedzialności za Zagładę, podjęty przez kompozytora, który w niemieckim obozie stracił rodziców i siostrę. Inscenizacja zaprezentowana też w Warszawie i Londynie utorowała drogę kolejnym wystawieniom, m.in. w USA, Niemczech, Danii, Izraelu. Także pierwszej inscenizacji rosyjskiej w Jekaterynburgu w 2016 r.

Triumfalny pochód „Pasażerki" przez sceny światowe wzbudził naturalne zainteresowanie postacią kompozytora i jego dziełem. Naprzeciw tym oczekiwaniom wychodzą działania IAM, szczególnie intensywne z okazji stulecia urodzin artysty. W tym nurcie mocnym akcentem była niedawna inauguracja programu wajnbergowskiego w Wigmore Hall w Londynie.

– Pomysł, by Wajnberg był wiodącym kompozytorem sezonu, wydawał się szalony, ale chciałem iść śladem Davida Pountneya, który pierwszy uwierzył w siłę tej muzyki – zwierzył mi się John Gilhooly – dyrektor Wigmore Hall. Frekwencja rosła z koncertu na koncert. Pierwszy z aż jedenastu planowanych w tej sali występów dał znakomity francuski Danel Quartet. Burzę oklasków podczas każdego z trzech swoich koncertów miał również niemiecki skrzypek Linus Roth w towarzystwie trzech instrumentalistów i śpiewaczki. Owację wzbudził jego wirtuozerski duet z Januszem Wawrowskim w niezwykle trudnej sonacie na dwoje skrzypiec. Koncerty zapowiadał dr Daniel Elphick, brytyjski muzykolog, który promował też swą najnowszą książkę „Music behind the Iron Curtain. Weinberg and his Polish Contemporaries" („Muzyka za żelazną kurtyną. Wajnberg i jego polscy współcześni"). To dopiero początek emocji, bo program wajnbergowski w Wigmore Hall potrwa dwa sezony, zapowiadając dalsze polskie akcenty w kolejnych latach.

Dni Wajnberga w Wigmore Hall w Londynie
inauguracja: 24 października 2019 r.
partner wydarzenia: Instytut Adama Mickiewicza

Fot. Bartek Barczyk/Instytut Adama Mickiewicza

eprasa.pl f6df03f8b5

Wojciech Stanisławski

Edek, król Bratysławy

Historię kariery byłego palacza w kotłowni czytać będzie ze zrozumieniem obywatel każdego kraju, który do dziś otrząsa się z komunizmu

Od Marka Nowakowskiego i jego opowiadania „Homo sovieticus", przez wczesne prozy Andruchowycza i późne powieści Milorada Pavicia, z rzeczywistością przełomu dekad mierzyły się setki autorów. Wszyscy usiłowali nazwać tę dziwną wolność, ale i przymus, które naukowcy usiłowali zamknąć w sztywnym, kartonowym pojęciu „transformacja gospodarcza i ustrojowa". Tyle piór zmagało się z nowymi modami i zachowaniami, z prywatyzacją kuponową i uczesaniami na enerdowskiego bramkarza, z wiśniowymi marynarkami do adidasów i tworzeniem spółek wydmuszek. Były w tym procesie wątki kabaretowe i tragiczne, co innego opisywali satyrycy, co innego Jadwiga Staniszkis. Ale po 30 latach wygląda na to, że król jest jeden, że narodziny nowego człowieka najtrafniej opisał jeden autor. Tak przynajmniej może to wyglądać z perspektywy polskiego czytelnika, który sięga po przekład powieści Petera Pištanka „Rivers of Babylon".

Nieznany niemal w Polsce autor na Słowacji zdążył się stać, jak czytamy w posłowiu, klasykiem, z którym zmagają się maturzyści (przed kilku laty zmarł). Niebezzasadnie: jego „powieść o prawdziwym człowieku" nawiązuje do wielu rozważań o nadejściu prymitywnego przedstawiciela ludu, który weźmie pod obcas inteligentów, można ją czytać w świetle grote-

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

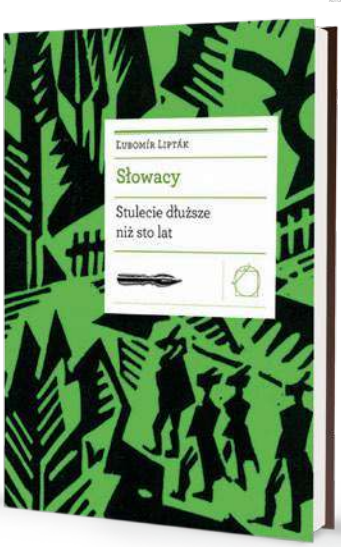

Ľubomir Lipták, „Słowacy. Stulecie dłuższe niż sto lat", tłum. Magdalena Bystrzak, Międzynarodowe Centrum Kultury, 2019

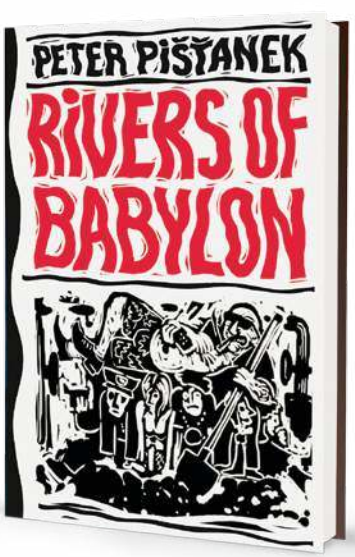

Peter Pištanek, „Rivers of Babylon", tłum. Olga Stawińska, Książkowe Klimaty, 2019

eprasa.pl f6df03f8b5

sek Bułhakowa, Witkacego i Mrożka, z „Tangiem" tego ostatniego na czele. Ustępuje im finezją literacką: „Rivers of Babylon" nawiązuje przede wszystkim do formuły powieści gangsterskiej, w której dziewczęta ochoczo upadają (mężczyźni zresztą też, tyle że zwykle od whisky lub ciosu). Przewyższa je, jeśli idzie o syntetyczną sprawiedliwość, wymierzoną przepoczwarzeniu gospodarki i struktur społecznych na progu lat 90. Historię kariery byłego palacza w kotłowni czytać będzie z przejęciem i zrozumieniem obywatel każdego kraju, który do dziś otrząsa się z komunizmu.

„Rivers of Babylon" nie są na szczęście, wbrew pozorom, prostym kryminałem noir: równie wiele zawdzięczają ironicznie traktowanej formule „powieści o dojrzewaniu". Główny bohater, Rácz, pozbawiony wykształcenia, horyzontów i ambicji, chłopek roztropek obdarzony niemałą krzepą, trafia do Bratysławy z zamiarem uzbierania na ożenek. Trafia mu się posada pomocnika palacza w podupadającym hotelu z pretensjami – i w miesiącach transformacji, gdy władza i własność leżą na ulicy, gdy nikt nie wie, jak wiele może bezkarnie wyrwać z dóbr wczoraj państwowych, dziś niczyich. Pokusa, zbieg okoliczności, przypadkowy wybuch gniewu ukazują Ráczowi, że nie ma nikogo, kto mógłby mu się przeciwstawić, że buława przyszłego rekina rynku i poważanego biznesmena kryje się w jego łapie jak bochen i władzy („waaadzy") odcięcia ogrzewania zastraszonym hotelowym gościom.

Tak zaczyna się Bildungsroman, przewrotny, bo jego bohater zmierza zarazem w górę i w dół: zyskując na zasobach i znaczeniu traci wszystko, co łączyło go z dawnym życiem, w tym rodzinna wioska i czekająca nań tam narzeczona. Rácz wygrywa nie tyle, a przynajmniej nie tylko dzięki bicepsom: jego największą siłą jest brak już nie skrupułów nawet, lecz wahań czy zakłopotania. Były palacz chce, więc bierze to, czego chce, i właśnie to, że wygrywa swoim brakiem zmarszczek i dylematów, swoim na poły krowim, na poły rybim spojrzeniem, jakim patrzy na swoich wczorajszych rywali, jutrzejszych podwładnych, pokazuje, że mamy jednak do czynienia z prozą wyższego lotu niż typowa „czornucha", czyli utrzymany w realiach postsowieckich kryminał ukazujący wszechwładzę zła i służb. W Bratysławie roku 1990 Rácz jest zarazem Szarikowem z „Psiego serca" i Edkiem z „Tanga", lejtnantem Zubowem z „Zapisów oficera Armii Czerwonej" i dozorcą Aniołem: nie ma gafy, której by nie popełnił, nie ma nieokrzesania, którego by nie zademonstrował. Jest tak niepowstrzymany w swoim pragnieniu dóbr i władzy, a jego oponenci tak miałcy, że mimo woli zaczynamy mu chwilami sekundować.

W tle zaś – cała rozchwiana w posadach Europa Środkowo-Wschodnia początku lat 90.: czescy i słowaccy gastarbeiterzy w Wiedniu, niebieskie ptaki z Bałkanów, seksturyści z Zachodu, Cyganie, niespełnione baletnice i plastycy, bezrobotni ubecy i bezradni dyrektorzy upadających państwowych firm, parkingowi i prostytutki, wszyscy pragnący jednego: udanego, sytego dealu. Chwilami zwycięża mały realizm opowieści o handlu dewizami, chwilami (te są lepsze) baśniowa groteska, w ramach której wychudły starzec – boy hotelowy może się stać żywą mumią, a skrachowany aparatczyk, wyrzucony z posady i mieszkania, przedzierzgnąć w szczęśliwego człowieka pierwotnego, mistrzowsko polującego na zbłąkane koty i powożącego zaprzęgiem, stworzonym z dziecięcych sanek i sfory śródmiejskich psów. Nad wszystkimi nimi dominuje jednak Rácz: self-made man, człowiek z bicepsu, wczorajszy chłopek roztropek, który nauczył się palić cygara, pić chivas regal i wziął żonę z miasta: zobaczcie, jutro postawi swoją kandydaturę w wyborach prezydenckich i dalibóg, gotów wygrać! Oto nietzscheański bohater naszych czasów: były palacz, który nie wie, że wprowadzenie, ot tak, niewolnictwa jest niemożliwe, więc wprowadza je – i wygrywa. Oto triumf woli.

Naprawdę, nie znam bardziej syntetycznego (choć groteskowo zarazem wykrzywionego!) obrazu transformacji początku lat 90.; ale czy rzeczywiście stało się tak tylko za sprawą talentu Petera Pištanka? Niewykluczone, że przyglądając się uważnie Ukrainie, Bałkanom, Rosji, przegapiliśmy wiele z tego, co dzieje się od kilkunastu lat u naszego południowego sąsiada i teraz zaczynamy to pospiesznie nadrabiać. Słowacji poświęciła ostatnio specjalny numer „Teologia Polityczna", piszą o niej analitycy Ośrodka Studiów Wschodnich, praca poświęcona jej polityce zagranicznej została uznana za najlepszą monografię minionego roku przez Polskie Towarzystwo Studiów Europejskich.

Szansę na nadrobienie tej luki daje zbiór studiów jednego z najwybitniejszych słowackich historyków, Ľubomira Liptaká. „Słowacy. Stulecie dłuższe niż sto lat" to wybór jego szkiców poświęconych słowackiemu powstaniu narodowemu z sierpnia 1944 (pocieszmy się – jeszcze mniej znanemu niż warszawskie), różnemu postrzeganiu koncepcji suwerenności narodowej w dwudziestoleciu międzywojennym i w tzw. Pierwszej Republice Słowackiej z lat 1938–1945, nieuchronnej wymianie pokoleń politycznych i zdumiewającym roszadom pomników, stawianych na ulicach słowackich miast przez Austriaków, Węgrów, Czechów, komunistów – i wreszcie samych Słowaków. Nie wyniesiemy z tej lektury podręcznikowej wiedzy o wydarzeniach lat 1918–2018. Mamy szansę wynieść wrażliwość na kompleksy i niepewności narodu mniejszego niż nasz i z węższymi elitami. A zarazem – tak uderzająco podobnym w oscylowaniu między poczuciem niższości a wyższości, odwoływaniem się do dorobku i mitu przedmurza (nie da się ukryć, o słowackie zamki rozbiło się więcej tureckich najazdów niż o Chocim i Kamieniec Podolski!) i zarazem pomostu między cywilizacjami. Również o naszych palaczach i elektrykach dałoby się napisać pyszną powieść transformacyjną.

eprasa.pl f6df03f8b5

Ikona czarnej popkultury

Eddie Murphy wrócił w wielkim stylu. Od czasu nominacji do Oscara za „Dreamgirls" (2006) gwiazda afroamerykańskiej komedii lat 80. i 90. nie miała szczęścia do projektów filmowych. „Nazywam się Dolemite" dowodzi, jak utalentowanym aktorem jest Murphy, gdy ma za sobą dobrego reżysera i świetny scenariusz.

Rudy Ray Moore – niewiele nam mówi to nazwisko. Dla Afroamerykanów jest to ikona. Ikona kiczu, złego gustu, ale i solidnego stand-upu oraz rewolucji kina blaxploitation. Rok 1970. Moore (Eddie Murphy) pracuje w słynnym sklepie z płytami Dolphin's of Hollywood w Los Angeles. Próbuje w każdy sposób zaistnieć w show-biznesie. Na próżno. Wpada na pomysł stworzenia postaci Dolemite – wulgarnego alfonsa mówiącego głośno to, o czym inni boją się nawet pomyśleć. W tle jego pełnych przekleństw, ale i błysku rymowanek grali muzycy jazzowi i R&B. Wydane w latach 1970–1971 albumy z jego występami trafiły nawet na listę Billboardu.

W 1975 r. Moore postawił wszystko na jedną kartę i, zapożyczając się po uszy, wszedł w zupełnie obcy sobie świat kina. Odrzucany początkowo przez wszystkie wielkie studia w Hollywood i potem chlastany niemiłosiernie przez krytyków film „Dolemite" dziś jest kultowym dziełem afroamerykańskiego kina blaxploitation, którym zafascynowany jest m.in. Quentin Tarantino („Jackie Brown" był hołdem dla gwiazdy tego gatunku – Pam Grier).

Dolemite przeszedł do historii czarnej popkultury jako brutalny i bezczelny alfons masakrujący wrogów z pomocą swojego pokracznego kung-fu. Wpływ tej postaci widać dziś w rapie (Wu-Tang Clan i japońskie sztuki walki, P.I.M.P. w teledyskach Snoop Doga), a sceniczne rymowane potyczki słowne Moore'a dały podwaliny pod raperskie pojedynki, czyli beefy i dissy. Nie przez przypadek epizody w filmie zagrali Snoop Dog i dzisiejsza gwiazda czarnego stand-upu Chris Rock. Show kradnie w kilku scenach Wesley Snipes jako zmanierowany aktor D'Urville Martin przechwalający się na planie podrzędnego „Dolemite", którego notabene wyreżyserował, że grał u samego Romana Polańskiego w „Dziecku Rosemary".

„Nazywam się Dolemite" został napisany przez mistrzów kina biograficznego Larry'ego Karaszewskiego i Scotta Alexandra. Film Craiga Brewera („Hustle & Flow") jest w pewnym stopniu złożony z najlepszych elementów ich scenariuszy. Bohaterem jest niepoprawny politycznie, wulgarny i pokazujący środkowy palec utartym schematom skandalista („Skandalista Larry Flynt", „Człowiek z księżyca") i zanurzony w kiczu i fatalnym guście, niepoprawny marzyciel, na dodatek dumny ze swoich bohomazów („Ed Wood").

Bezbłędny Eddie Murphy obnaża potrzebę akceptacji wrażliwego artysty, kryjącego za maską błazna cierpienie z powodu odrzucenia. Z jednej strony był Richard Pryor, z drugiej jego prostacko-kiczowata wersja zwana Dolemite. Bez jednego ani drugiego nie byłoby dzisiejszej afroamerykańskiej popkultury, co doskonale pokazuje duet Karaszewski/Alexander.

„NAZYWAM SIĘ DOLEMITE" DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Pojedynek w Warszawie

Ostatni film wyprodukowany przez tragicznie zmarłego Piotra Woźniaka-Staraka to kawał szpiegowskiego kina zrobionego według standardów hollywoodzkich. Ba, główną rolę gra znany choćby z „Zagubionej autostrady" Davida Lyncha Bill Pullman. Wciela się on w Joshuę Mansky'ego, genialnego matematyka, który u szczytu kryzysu kubańskiego zostaje porwany przez amerykańskie tajne służby. Alkoholik i abnegat zostaje zmuszony do wystąpienia w szachowym pojedynku przeciwko sowieckiemu mistrzowi Gawryłowowi, mającym się rozegrać w Pałacu Kultury w Warszawie. Mecz jest przykrywką dla szpiegowskiej akcji mającej powstrzymać wojnę atomową. Manskym na czas rozgrywki opiekuje się dyrektor PKiN (Robert Więckiewicz). Panowie się zaprzyjaźniają, co wpływa na tajną operację. Łukasz Kośmicki nakręcił bardzo solidny thriller z mordobiciem, strzelaniem i zdradzieckimi femme fatale. Pięknie sfilmowana przez Pawła Edelmana Warszawa i Praga grająca Brooklyn (brawa za scenografię dla Allana Starskiego!) to dodatkowy plus tego czysto rozrywkowego kina.

„UKRYTA GRA", REŻ. ŁUKASZ KOŚMICKI, DYSTR. NEXT FILM

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl f6df03f8b5

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Nowocześnie upiorna rodzinka

Kilkanaście lat nie widziałem „Rodziny Addamsów" Barry'ego Sonnenfelda. Przypomniałem sobie ten klasyk lat 90. po seansie nowej, animowanej wersji historii makabrycznej rodzinki odciętej od nudnego świata w wiktoriańskim domu, gdzieś w New Jersey. Od czasu stworzenia przez Chasa Addamsa (w latach 30. XX w.) komiksu o upiornej familii „Rodzina Addamsów" zawsze służyła jako ironiczna satyra wymierzona w tradycyjną amerykańską rodzinę. Jak sprzedać ten pomysł, gdy popkultura otwarcie popiera najbardziej nietradycyjne rodziny i relatywizuje wszystkie wartości, jakie zbudowały zachodnią kulturę? Czy mroczna rodzinka może czymkolwiek szokować w czasie, gdy Marilyn Manson jest nudnym zgredem?

Sonnenfeld otworzył lata 90. makabreską o rodzinie tylko z pozoru zbudowanej ze wszystkiego, co było odwrotnością klasycznej American Family. Choć rodzinka uwielbiała wywoływać duchy, bawić się w dekapitowanie laleczek i wykopywać na cmentarzach trupy przodków, to ostatecznie zwyciężyły w tej wersji rodzinne wartości. Rodzice byli zapatrzeni tylko w siebie, rodzeństwo skoczyłoby za sobą w ogień, a zdradzieckiemu bratu wybaczono wszystkie grzechy. Mimo że kino obaliło już każde tabu i odwróciło wszystkie wartości judeochrześcijaństwa, to film Sonnenfelda wciąż bawi swoim czarnym jak smoła humorem i graniem makabrą.

„Rodzina Addamsów" w wersji 2019 bawi na innej płaszczyźnie. To jest po prostu wersja dla dzieci. Musiała zostać więc wykastrowana z najmocniejszych gagów (szczególnie tych z podtekstem seksualnym) z dwóch filmów Sonnenfelda. Do tego jest to najbliższa oryginałowi wersja, bo została oparta właśnie na komiksach Addamsa. Reżyserzy Conrad Vernon i Greg Tiernan wzięli oryginalne rysunki z komiksów i zrobili swoją wersję opowieści. Nie zapominajmy, że obaj wcześniej zrobili skandalizujące „Sausage Party", więc nie obce im jest szokowanie widza kreskówkami dla dorosłych. Tutaj grają na bezpiecznych tonach.

Kino

Addamsowie przyjeżdżają do zrujnowanej wiktoriańskiej posiadłości. Pragną ukryć się przed światem, który ich prześladuje za... inność. To jest właśnie klucz do nowej wersji historii makabrycznej rodzinki. U Sonnenfelda stworzyła ona sobie swój własny świat. Zamknięty za płotem i chroniony świętym prawem własności. Wypełniał ten obraz konserwatywną amerykańską maksymę: „Mój dom, moja twierdza". Tutaj mamy zaś opowieść o potrzebie wyjścia z domu i pełnej integracji wszystkich ze wszystkimi. Addamsowie ostatecznie rezygnują ze swojej gotyckiej fanaberii, dopuszczają już myśl, że powinni dać się zaakceptować nauczonej tolerancji lokalnej społeczności. Już się boję, co by było w nowej wersji „Soku z żuka". Seksizm i mizoginia Michaela Keatona zostałyby zastąpione bardziej tęczowym grobem?

„RODZINA ADDAMSÓW", REŻ. CONRAD VERNON I GREG TIERNAN, DYSTR. FORUM FILM POLAND

Robert Redford prezydentem

A co, gdyby Richard Nixon wygrał wojnę w Wietnamie? Co, jakby nie zmiotła go afera Watergate i jako wielki bohater byłby prezydentem jeszcze kilka kadencji? A co, jeżeli po Nixonie prezydentem zostałby aktor z Hollywood? Prezydentem zostaje Robert Redford i pełni swoją funkcję w czasach, gdy nawet policjanci boją się pokazywać twarz i pracują w bandanach i wymyślnych maskach. Oto Ameryka z komiksu „Strażnicy" Alana Moore'a, który pojawił się w latach 80. XX w. „Watchman" przypomina bardziej nolanowską trylogię

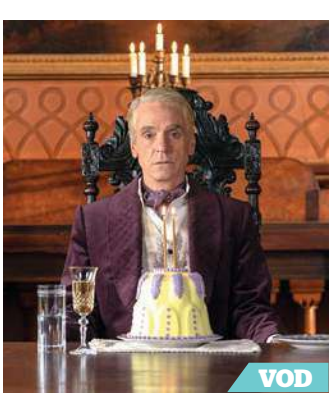
VOD

o Mrocznym Rycerzu niż filmy o Avengersach. Akcja została przeniesiona z lat 80. do współczesności. A jednak pozostała na ekranie analogowość tego okresu. Mimo nowoczesnych aut, broni i mundurów nie ma tutaj internetu ani telefonów komórkowych. Dlaczego? To jeden z najbardziej intrygujących komiksowych seriali. Na dodatek świetnie obsadzony. Obok zdobywczyni Oscara Reginy King zobaczymy zapomnianego przez kino Dona Johnsona (Sonny z „Miami Vice"!) i Jeremy'ego Ironsa.

„WATCHMAN" DOSTĘPNY NA HBO GO

Skala ocen: dno, koszmar, rozczarowanie, można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl f6df03f8b5

Kościół z amazońską twarzą i niemiecką duszą

Jeśli Franciszek zaaprobuje końcowe ustalenia Synodu Biskupów ds. Amazonii, to Kościół katolicki czeka prawdziwa rewolucja

GRZEGORZ GÓRNY

Alfred Hitchcock mawiał, że film powinien się zaczynać od trzęsienia ziemi, a potem napięcie ma nieprzerwanie narastać. Taka rosnąca krzywa emocji towarzyszyła Synodowi ds. Amazonii, który przez trzy tygodnie ubiegłego miesiąca trwał w Watykanie.

4 października w Ogrodach Watykańskich odbyła się pogańska uroczystość celebrowana przez czerwonoskórą szamankę. Grupa Indian, wśród których znajdował się zakonnik w brązowym habicie, odprawiła indiański rytuał, bijąc pokłony wokół okrągłej maty z rozłożonymi na niej różnymi przedmiotami. Wśród nich na pierwszy plan wybijały się dwa drewniane posążki nagich ciężarnych kobiet, zidentyfikowane przez religioznawców jako figurki Pachamamy, inkaskiej bogini ziemi i płodności, zwanej też Matką Ziemią.

Całemu obrzędowi przyglądał się z bliska sam Franciszek z grupą kardynałów, biskupów i współpracowników. Tego samego dnia podczas wieczornej mszy sprawowanej przez Franciszka w bazylice św. Piotra oberwał się kawałek sufitu i spadł na posadzkę. Część pielgrzymów ewakuowano ze świątyni. Dwa dni później rozpoczął się synod.

REN WPŁYWA DO AMAZONKI

Było to najbardziej wyczekiwane wydarzenie ostatnich lat w Kościele. Osoby odpowiedzialne za przygotowanie synodu podkreślały, że będzie to prawdziwa rewolucja w historii katolicyzmu. Pierwsze skrzypce wśród nich grał austriacki duchowny posługujący w Brazylii bp Erwin Kräutler, który przechwalał się tym, że w ciągu kilkudziesięciu lat pracy w Amazonii nie ochrzcił żadnego Indianina, i dodawał, że nigdy tego nie zrobi, ponieważ byłaby to niedopuszczalna ingerencja w kulturę i zwyczaje tamtejszych ludów.

Przedsmak tego, na czym miałaby polegać zapowiadana rewolucja, dawał dokument przygotowawczy „Instrumentum laboris", który miał stanowić podstawę do dyskusji dla ojców synodalnych. Proponował on debatę nad takimi kwestiami, jak m.in. zniesienie celibatu księży, wprowadzenie święceń dla kobiet, rezygnacja z sakramentalno-hierarchicznego ustroju Kościoła czy wprowadzenie do liturgii nowego rytu amazońskiego. Ostatni punkt wynikał z uznania Amazonii za swoisty „locus theologicus", czyli uprzywilejowane miejsce Bożego Objawienia. Stąd – jak utrzymywali autorzy dokumentu – powinna wynikać aprobata dla indiańskich ceremonii, obrzędów, rytów, symboli, mitów i praktyk kultycznych, które należy włączyć do duszpasterskiej działalności Kościoła.

„Instrumentum laboris" spotkało się z miażdżącą krytyką części kardynałów, m.in. Gerharda Müllera, Roberta Saraha, Raymonda Leo Burke'a, Jorge Urosy Savina czy Waltera Brandmüllera, który napisał wprost, że dokument zawiera treści heretyckie, jest wyrazem apostazji i „stanowi atak na fundamenty wiary", dlatego należy go w całości odrzucić. Jego zdaniem przyjęcie tego aktu oznaczałoby samozniszczenie Kościoła lub zamianę go w świecką organizację pozarządową o charakterze ekologicznym.

Wspomnianych dostojników zabrakło jednak na synodzie. Wzięło w nim udział natomiast 250 osób, w tym 184 biskupów, z których większość stanowili zwolennicy tez zawartych w dokumencie roboczym. Część z nich podkreślała, że świat potrzebuje dziś „Kościoła z amazońską twarzą".

Twierdzenia te ochoczo podchwytywali zwłaszcza biskupi niemieccy, którzy zapewniali, że oni także za przykładem Amazonii podążą tą samą drogą synodalną. Co ciekawe, zanim jeszcze rozpoczął się synod i cokolwiek postanowiono, oni już wiedzieli, jakie zmiany zostaną przeforsowane i sami zapowiadali ich wprowadzenie u siebie. Bp Franz-Josef Overbeck z Essen

eprasa.pl f6df03f8b5

Fot. East/News/ AP Photo/Andrew Medichini APTOPIX

powiedział wprost, że po synodzie już nic w Kościele nie będzie takie samo jak przedtem.

Nie ma w tym nic zaskakującego, jeśli zna się zależność Kościoła latynoamerykańskiego od niemieckiego. Ten ostatni dysponuje olbrzymim budżetem w wysokości 7 mld euro rocznie. Od lat płynie stamtąd do Ameryki Południowej strumień pieniędzy na finansowanie różnych dzieł. Wielu zdolnym teologom latynoskim funduje się granty i stypendia na niemieckich uczelniach i formuje w duchu tamtejszej teologii modernistycznej. Nic dziwnego, że wśród pomysłodawców zmian postulowanych w Amazonii znajduje się wielu Niemców, np. Fritz Lobinger czy Paul Süss. Germańskie idee są więc wprowadzane latynoskimi rękoma.

AWANTURA O POGAŃSKĄ BOGINKĘ

Organizatorzy tegorocznego synodu postanowili uniknąć publicznych sporów i kłótni między hierarchami, do jakich dochodziło podczas podobnych obrad poświęconych rodzinie w 2014 r. Ojcowie synodalni dostali więc zakaz wypowiedzi dla mediów na temat tego, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami. Biuro prasowe Watykanu organizowało zaś codziennie konferencje dla dziennikarzy, podczas których informowano ogólnikowo, jakie problemy są poruszane na synodzie. Nie sposób było się jednak dowiedzieć, które pomysły cieszyły się większym poparciem, a które mniejszym, kto się opowiadał za jednymi rozwiązaniami, a kto za drugimi. Wiadomo było tylko, że poruszano takie kwestie jak ekologia, ocieplenie klimatu, paliwa kopalne, ochrona zasobów wodnych, ubóstwo, sprawiedliwość społeczna, migracja, prawa kobiet, ryt amazoński etc. Pojawiła się też propozycja stworzenia nowej kategorii grzechów – grzechów ekologicznych wymierzonych w środowisko naturalne.

Ponieważ wiadomości z obrad były ściśle reglamentowane i nader skąpe, większość relacji medialnych z Rzymu przez trzy tygodnie skupiała się na wydarzeniach okołosynodalnych. W centrum doniesień znalazły się zwłaszcza dwie wspomniane już inkaskie figurki, wokół których odbył się w Ogrodach Watykańskich indiański rytuał. Część komentatorów wysunęła zarzut, że swą obecnością papież legitymizował obrzęd pogański. Franciszka wzięli w obronę watykańscy dostojnicy, m.in. kard. Paolo Ruffini, który utrzymywał, że posążek nie ma żadnych podtekstów pogańskich. Znaleźli się też tacy, którzy twierdzili, że jest to rzeźba Matki Bożej.

7 października figurki wraz z innymi indiańskimi przedmiotami znalazły się w kościele Santa Maria in Traspontina nieopodal bazyliki św. Piotra. Zostały tam przyniesione w uroczystej procesji, która rozpoczęła się z udziałem Franciszka. Artefakty zostały wniesione do świątyni w amazońskim czółnie na ramionach katolickich biskupów. W środku ustawiono też duży transparent przedstawiający zdjęcie półnagiej Indianki, która do jednej piersi tuli dziecko, a drugą karmi małe zwierzątko.

eprasa.pl f6df03f8b5

Fotografia opatrzona była cytatem z encykliki „Laudato si" Franciszka: „Wszystko jest z sobą połączone".

Obecność pogańskich bożków w katolickiej świątyni wzbudziła wiele emocji wśród chrześcijan na całym świecie. 21 października dwaj niezidentyfikowani mężczyźni wynieśli posążki z kościoła i wrzucili je do Tybru. Całą akcję sfilmowali, a nagranie umieścili w internecie. Wywołała ona lawinę komentarzy w mediach społecznościowych, w tym liczne głosy poparcia dla śmiałków, którzy odważyli się walczyć z bałwochwalstwem. Wśród wypowiadających się był m.in. bp José Luís Azcona Hermoso z Brazylii, który nazwał ceremonię w Ogrodach Watykańskich „demonicznym świętokradztwem".

24 października głos zabrał sam Franciszek. Przyznał (wbrew temu, co przez wiele dni utrzymywali jego współpracownicy), że figurki przedstawiały Pachamamę. Jako biskup Rzymu poprosił o przebaczenie tych, którzy poczuli się obrażeni wyrzuceniem rzeźb do Tybru. Dodał, że posążki zostały już wyłowione z rzeki i przed zakończeniem synodu powrócą do kościoła.

Decyzja Franciszka wywołała dezorientację wśród wielu katolików. Warto odnotować list pewnego Filipińczyka z wyspy Mindanao, upubliczniony przez włoskiego watykanistę Sandro Magistra. Autor napisał, że w jego rejonie w błyskawicznym tempie rosną w siłę wspólnoty zielonoświątkowe i ewangelikalne, do których masowo przechodzą katolicy. Jeden z podstawowych zarzutów, jaki protestanci wysuwają przeciw katolicyzmowi, dotyczy rzekomego bałwochwalstwa, czyli oddawania czci posążkom i obrazom.

Do tej pory można było stosunkowo łatwo odeprzeć te oskarżenia. Po 4 października sytuacja się zmieniła, ponieważ pentekostalne zbory dostały do ręki nowy argument. Nagranie z pogańskiej uroczystości w Ogrodach Watykańskich to dla nich ostateczny dowód na bałwochwalstwo papieża, a więc całego Kościoła. Filipiński autor przyznaje, że on i jego znajomi są w tym momencie bezradni, ponieważ nie mają dobrego argumentu, jak odpowiedzieć na zarzuty protestantów. Rzeczywiście, nikt w Kościele nie wyjaśnił katolikom sensu i znaczenia tego dziwnego obrzędu, który odbił się tak głośnym echem na całym świecie. List kończy się konkluzją, że być może zdobędziemy Amazonię, ale stracimy resztę świata. Jedno jest pewne: o posążkach pogańskiej boginki głośniej było w Rzymie niż o Jezusie.

NOWA EPOKA W DZIEJACH KOŚCIOŁA?

26 października ogłoszono treść dokumentu końcowego synodu, zawierającego propozycje skierowane przez biskupów do Franciszka. Rekomendacje tego gremium nie mają mocy decyzyjnej, ponieważ synod jest tylko ciałem doradczym. Ostateczne konkluzje zawsze należały do papieży, którzy podsumowywali efekty tego typu zgromadzeń w specjalnych adhortacjach posynodalnych. Mogli w nich uwzględniać zalecenia hierarchów, ale nie musieli. Jeśli Franciszek zaaprobuje zmiany postulowane przez dostojników, będziemy mieli – jak mówi bp Kräutler – zupełnie nową epokę w dziejach Kościoła.

Chodzi zwłaszcza o trzy propozycje. Pierwsza (przegłosowana stosunkiem głosów 137 do 30) dotyczy diakonatu kobiet. Jak wiadomo, diakonat w Kościele katolickim jest częścią święceń kapłańskich. Dopuszczenie do niego kobiet oznaczałoby de facto otwarcie im drogi do kapłaństwa. Za takim rozwiązaniem opowiada się zresztą wprost główny architekt synodu bp Kräutler.

Warto przypomnieć, że w 1994 r. Jan Paweł II w liście apostolskim „Ordinatio Sacerdotalis" napisał, że „Kościół nie ma żadnej władzy udzielania święceń kapłańskich kobietom oraz że orzeczenie to powinno być przez wszystkich wiernych Kościoła uznane za ostateczne".

Wydawać by się mogło, że to dogmatyczne oświadczenie raz na zawsze zamknęło sprawę. Jednak w 2016 r. Franciszek powołał specjalną komisję, która dostała zadanie zbadania rzeczywistości diakonatu kobiet w pierwszych wiekach chrześcijaństwa i wyciągnięcia z tego wniosków dla współczesnego Kościoła. W 2018 r. komisja zakończyła prace i przekazała swój raport Franciszkowi. Ten jednak do dziś nie zdecydował się upublicznić jego treści. Jeden z członków wspomnianego gremium, najwidoczniej mocno zniecierpliwiony, dokonał „kontrolowanego przecieku", ujawniając, że badacze nie znaleźli najmniejszego śladu, by w Kościele pierwotnym udzielano kobietom święceń kapłańskich. Gra toczy się jednak dalej.

Druga propozycja (przegłosowana stosunkiem głosów 128 do 41) mówi o możliwości wyświęcania żonatych mężczyzn, a więc de facto zniesienia celibatu kapłańskiego. Choć rekomendacja dotyczy jedynie Amazonii, to biskupi niemieccy już zapowiedzieli, że wprowadzą to rozwiązanie u siebie. Można się spodziewać, że za nimi podążą inni. Nie jest to zmiana dogmatyczna (w odróżnieniu od święceń dla kobiet), ale oznaczać będzie głęboką zmianę modelu kapłaństwa oraz duszpasterstwa, jakie znaliśmy od wieków.

Trzeci postulat (140 głosów za, 19 przeciw) dotyczył „wypracowania amazońskiego rytu, który wyraża liturgiczne, teologiczne, dyscyplinarne i duchowe dziedzictwo Amazonii". Wątpliwości wielu liturgistów budzi to, że nowy obrządek nie wyrasta naturalnie ze specyficznego, lokalnego kultu katolickiego (ponieważ takowego w Amazonii nie ma), lecz powinien zostać sztucznie skonstruowany przez specjalnie powołaną w tym celu komisję.

Wielu katolików głośno wyraża nadzieję, że Franciszek nie zaaprobuje powyższych propozycji i nie znajdą się one w jego adhortacji. Inaczej uważa jednak przywoływany już kilka razy bp Erwin Kräutler. Przyznaje on wprost, że zarówno koncepcja synodu, jak i jego główne cele, np. zniesienie celibatu i otwarcie drogi do święceń dla kobiet, zostały ustalone w trakcie jego spotkania z Franciszkiem 4 kwietnia 2014 r. Wszystkie postulaty znalazły się w dokumencie końcowym synodu, który przebiegł zgodnie z ich oczekiwaniami. Świadczy o tym choćby wieńczące obrady przemówienie Franciszka, który nie krył swego zadowolenia z efektów zgromadzenia biskupów.

Jeśli adhortacja uwzględni postulaty synodu, Kościół czeka prawdziwa rewolucja. Ale biskupi niemieccy już zapowiadają, że to nie koniec zmian. Mają bowiem w zanadrzu nowe pomysły.

eprasa.pl f6df03f8b5

Papież Franciszek przypomina mi Donalda Trumpa

Musimy zdać sobie sprawę, że to nie był tylko synod na temat Amazonii, ale poligon doświadczalny rozwiązań, które będą wprowadzane w innych wspólnotach katolickich na świecie – mówi Tomasz Terlikowski, publicysta, autor książek, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Czy synod poświęcony problemom Amazonii w ogóle powinien nas w Polsce interesować?

Tomasz Terlikowski: Wszyscy w Kościele wiedzą, że to nie jest tylko synod na temat Amazonii, ale poligon doświadczalny rozwiązań, które będą wprowadzane w innych wspólnotach katolickich na świecie.

Jak to? W ostatnich tygodniach nie ma dnia, bym nie przeczytał poważnych i poruszających reportaży o sytuacji Kościoła w Amazonii. Brak księży, wielkie potrzeby wiernych, mnóstwo wyzwań.

I to jest prawda, taka jest sytuacja Amazonii. Niemniej jednak krótko przed synodem bp Erwin Kräutler, emerytowany biskup w Amazonii, powiedział, że po tym synodzie nic w Kościele nie będzie takie samo.

Zgadza się pan z tą tezą?

Tak. Amazonia jest tylko pretekstem. Gdyby chodziło tylko o nią, to zamiast zwoływać synod, księża zostaliby tam wysłani jak oficerowie na misje pokojowe. Dlaczego polscy, filipińscy czy nigeryjscy kapłani nie mogą tam wyjechać?

Synod proponuje inne rozwiązania.

Tak. Chodzi o zapis święcenia żonatych mężczyzn, viri probati. Synod postuluje, by zacząć święcić na księży diakonów stałych, żonatych mężczyzn. Problem polega na tym, że diakonów stałych w Amazonii nie ma.

Ale może otworzy furtkę do takich rozwiązań?

Furtka do diakonatu stałego – jak w każdym innym miejscu świata – jest otwarta. Ten zapis doskonale pokazuje, że niemieccy, włoscy czy austriaccy biskupi, którzy uczestniczyli w tym synodzie, wiedzą, że to synod o głębokiej reformie Kościoła.

I rozwiązania z Amazonii zostaną rozszerzone na inne kraje?

To nie ulega wątpliwości. Wysocy urzędnicy kurialni w Niemczech w zasadzie już otwarcie przyznają, że gdy synod to zaproponuje, a papież zatwierdzi, to w Niemczech przedstawione zostaną listy diakonów stałych, których wyświęcą na księży. Ale to rozwiąże problem na 20–30 lat. Nie dłużej.

Dlaczego?

Bo wspólnoty chrześcijańskie, w których nie ma obowiązkowego celibatu, też borykają się z kryzysem powołań.

Tak czy inaczej w Polsce – poza katolickimi mediami i forami – trudno znaleźć dyskusję na ten temat.

eprasa.pl f6df03f8b5

I to mój główny zarzut do Kościoła w Polsce: nie próbujemy uczestniczyć w tej fundamentalnej dyskusji. Pewne rzeczy to fakty. Prawdą jest, że w wielu miejscach brakuje księży, że mamy poważny kryzys tożsamości kapłanów, że w wielu miejscach świata to kobiety są liderkami wspólnot. Szukajmy więc odpowiedzi na te problemy, wyzwania, a czasem choroby.

Synod odpowiada. Proponuje konkretne pomysły na leczenie.

Moim zdaniem lekarstwa z synodu są nieadekwatne. Ale żeby inne rozwiązania pojawiły się na stole, trzeba uczestniczyć w tej debacie i przyjąć, że to nie tylko problem Amazonii. Po mocnym uczestnictwie w synodach na temat małżeństwa i rodziny nasz Kościół przycichł. Jakby uznano, że nie ma sensu, że nasz głos się nie liczy. A tej debaty nie da się przeczekać, przemilczeć. Jeśli nie będziemy formułować własnych pomysłów, to inne zostaną nam narzucone. To moje główne zmartwienie: nie to, że są reformy – dobre albo złe, słuszne albo nie, ale to, że godzimy się na to, by duży Kościół w centrum Europy, ze sporym wpływem na sąsiednie wspólnoty, nie zabierał głosu.

Fot. Andrzej Wiktor

Dobrze, powie ktoś: „Taki pan mądry, to zaproponuj pan konkretne rozwiązanie".

Mógłby to być jasny sygnał, że jesteśmy gotowi wysłać w ciągu kilku lat 500 czy 1 tys. księży na tereny, gdzie kapłanów brakuje. Synod proponuje wysyłanie tam lotnych brygad duszpasterskich, złożonych ze świeckich i księży, ja postuluję po prostu misje i solidarność. To też rozwiązałoby przynajmniej na jakiś czas problem. Tymczasem polscy biskupi uznali, że ich głos jest pozbawiony znaczenia, że papież Franciszek i tak zrealizuje swój projekt. Do tego dochodzi obecny w polskim katolicyzmie ultramontanizm, czyli przekonanie, że papież ma zawsze rację, a zadawanie mu pytań to akt nieposłuszeństwa.

I co pan odpowie na takie zarzuty?

Papież jest nieomylny, kiedy ex cathedra wypowiada się w sprawach wiary i moralności. Ostatni taki przypadek to ogłoszenie dogmatu o wniebowzięciu NMP. Nie jest też prawdą, jak to się często mówi, że papieża w „magiczny" sposób wskazuje podczas konklawe Duch Święty. On jedynie asystuje przy konklawe, a niekiedy jest w stanie tylko zablokować wybór najgorszego kandydata. Święty Wincenty Pallotti powiedział kiedyś, że są dwie kategorie papieży: „według woli Bożej" i „z dopustu Bożego".

Papież Franciszek to pana zdaniem ten przypadek?

Nie oceniam, jakim papieżem jest Franciszek, to pokażą kolejne dekady. Mówię tylko, że to nie jest takie proste, że nie ma magicznego działania, gdy Duch Święty spada na kolegium kardynalskie. Znamy historię: na wybór papieży wpływały polityka, koterie, frakcje etc. Jest jeszcze jeden argument – sam papież Franciszek zaprasza do dyskusji na temat zmian. Choć czasem widać, że nie lubi sprzeciwu ani krytyki. Nie tylko w tym przypomina mi nieco Donalda Trumpa...

Jak to?

Obaj działają poza strukturami, narzucają swoją wolę, są – w dobrym znaczeniu – populistami. Ale to nie jest mój zarzut. Tak czy inaczej Franciszek często zachęca do dyskusji, a jeśli nie podzielimy się polskim doświadczeniem, to papież go nie usłyszy.

Dopuszcza pan myśl, że po prostu się pan myli? Że papież po prostu patrzy na Kościół bez polonocentryzmu, europocentryzmu?

Dopuszczam, oczywiście! Ale to, że jakieś rozwiązania mogą się sprawdzać w Kościele latynoskim, nie oznacza, że muszą się sprawdzić w Polsce.

Odbijamy się od synodu amazońskiego, ale to chyba przejaw szerszego projektu na zmiany w Kościele, jakie proponuje Franciszek. Ten obraz Kościoła jako szpitala polowego, który najpierw leczy, a dopiero później zajmuje się nakazami i prawem, mocno do mnie przemawia.

Do mnie też ten obraz bardzo przemawia. Ale kiedy pacjent przyjeżdża do szpitala, to najpierw lekarz musi postawić diagnozę: co się stało, jakie są problemy. Podobnie w Kościele, ostatecznie najpierw musimy wiedzieć, jaka jest sytuacja danego wiernego. Nie zaczynamy od osądu; to jasne. Kościół od zawsze to głosił.

W teorii. W praktyce bywało różnie.

W praktyce bywało i bywa różnie – dziś oceniani są bardzo często tradycjonaliści czy integryści. Proszę mnie dobrze zrozumieć: nie mam z tym problemu, by najpierw głosić kerygmat – mam problem z tym, byśmy nie głosili tylko kerygmatu. Jak już opatrzymy pierwsze rany, to musimy się zająć całym pacjentem. Czy przy tak silnym nacisku na duszpasterstwo nie tracimy z oczu całej reszty? Celem chrześcijaństwa

eprasa.pl f6df03f8b5

nie jest tylko opatrzenie ran, ale doprowadzenie do świętości. Zbyt często wycinamy tę drugą część, i nie mam na myśli samego papieża, ale wielu jego apologetów.

Franciszek mocno stawia na decentralizację: nie wszystko musi rozstrzygać Rzym, czasem konkretne sprawy mogą wyjaśnić wspólnoty lokalne.

I chwała Panu! Pytanie, czego ma dotyczyć decentralizacja: jeśli decyzji, to jestem na tak. Nie ma konieczności, by o tym, kto będzie biskupem w Łomży czy Amazonii, decydował urzędnik w Rzymie. Bo przecież nie w każdym przypadku robi to sam papież. Ale jeśli decentralizacja ma dotknąć doktryny, to niczym dobrym się to nie skończy.

Czego się pan obawia?

Obawiam się, że na końcu tego procesu jest sytuacja jak w Niemczech, gdzie mamy coraz mniej sakramentów, gdzie w zasadzie nie ma spowiedzi, gdzie w ogóle nie mówi się o grzechu. Jeśli Kościół jest szpitalem polowym, to gdy mówimy, że nie ma chorób, to po co ludzie mają do niego przychodzić? Jeśli powiem, że nie ma cukrzycy, tylko inne podejście do cukru, to po co ludzie mają się na nią leczyć?

Może jest tak, że czasem trzeba poluzować normy cukru, gdzie indziej dokręcić śrubkę, a jeszcze gdzieś nie ma cukru w ogóle, bo jest taka bieda?

Zgoda, ale to jest pytanie o to, czy normy są obowiązujące, czy nie. I to jest konkret: po jednej stronie Odry biskupi niemieccy mówią wprost: rozwodnicy w ponownych związkach mogą przystępować do komunii, po naszej stronie rzeki biskupi nie powiedzieli nic, czyli zachowali dotychczasowe stanowisko: nie mogą, chyba że... i tutaj podaje się wiele obwarowań. A czym się różni katolik z Polski od swojego brata po drugiej stronie rzeki? Podobnie jak ze wspomnianą spowiedzią. Albo uznajemy sakramenty, albo nie. W Kongu mieliśmy przypadek, gdzie byli dwaj biskupi, którzy mieli inne podejście co do wiary w boskość Jezusa. Co ich zatem łączy? Przywiązanie do tradycji kościelnej? Trochę mało.

Mamy namiastkę wyzwań przed Kościołem powszechnym. A co z Kościołem w Polsce?

Wyzwania są podobne. Największym jest młodzież: badania Pew Research są jednoznaczne – najszybciej laicyzująca się młodzież jest w Polsce i Japonii. Proszę zobaczyć, jaki odsetek młodych w polskich miastach chodzi na religię. Pomijam jej poziom, ale to tylko jeden aspekt problemu. Idźmy dalej – ile mamy powołań w Kościele w Polsce? Dramatyczny spadek, pudrowany utajnieniem oficjalnych danych. Jeszcze gorzej jest z zakonami żeńskimi. A świeccy? Po prostu nie zawierają małżeństw, nawet cywilnych.

Kościół w Polsce żył tylko dynamizmem zachowania tego, co dali mu kardynał Wyszyński i Jan Paweł II. I co? I nagle stało się to, co wydawało się niewiarygodne. Laicyzujemy się w przyspieszonym tempie. O źródłach takiego stanu rzeczy można rozmawiać długo, ale mam głębokie przekonanie, że Kościół w Polsce stracił własny język, angażując się w codzienne spory polityczne, rezygnując z własnej agendy tematycznej.

Z drugiej strony mamy takie zjawiska, jak pełen młodych katolików hipsterski na co dzień plac Zbawiciela w Warszawie czy wypchaną po brzegi rozmodloną halę w Krakowie. Wystarczy trochę wiarygodności.

Odpowiedzmy tylko sobie na spokojnie, czy tego rodzaju zjawiska są lekarstwem? Nie mam na myśli o. Adama Szustaka czy wielkich rekolekcji z ojcem Bashoborą na Stadionie Narodowym. To integruje ludzi, ale na krótko. Za moment pojawia się oczekiwanie, by było więcej. Nie na tym polega katolicyzm, w którym są uzdrowienia i cuda. Najważniejszym cudem jest Eucharystia! Jeśli my zastąpimy ją tylko emocjonalnym przeżyciem, to na tym nie da się oprzeć dojrzałej wiary.

Upieram się, że to nie ten przypadek.

Zgoda. Żeby było jasne: sam jestem ze wspólnoty charyzmatycznej: śpiewam, podnoszę ręce, uwielbiam Boga, to wszystko jest potrzebne i piękne, ale trzeba też pytać – co dalej, jak to przełożyć na codzienność parafii czy na milczenie przy codziennej adoracji. Chodzi o to, by nie kłaść nacisku na przeżywanie emocji. Trzeba je po prostu dobrze zagospodarować po wyjściu z rekolekcji czy uwielbienia.

Zgoda. I co z tym zrobić?

Na to wyzwanie nakłada się kryzys władzy w Kościele. Przeżył się – dzięki Bogu – model feudalny, ale część polskich biskupów nadal chciałaby go egzekwować. Tymczasem zarządzanie za pomocą rozkazów i wrzasku już się nie sprawdza. Do tego dochodzi brak zaufania do rozwiązań współczesności. Jeden z księży opowiadał mi, jak wygląda rzeczywistość w jego diecezji: jest tam 1,2 tys. księży, a trzech gości w kurii żongluje nazwiskami i parafiami jak piłeczkami w losowaniu totolotka. Nie ma HR-owca, dopasowania psychologicznego, szerszej refleksji etc.

Sugeruje pan wprowadzenie korporacyjnych standardów w Kościele?

Czasem nie należy się ich bać. Nie ma niczego złego w tym, że Kościół wspomoże się czasem HR czy psychologią. Jeżeli wiemy, że problemem ludzi świeckich jest często wypalanie zawodowe, to i przy „zawodzie" księdza może się to pojawić. I pojawia się, są już na ten temat badania. W takiej sytuacji rada, by więcej się modlić, to za mało. Taki kapłan potrzebuje wsparcia, nierzadko odpoczynku czy pomocy specjalisty. Kolejny trop – jesteśmy Kościołem małowspólnotowym.

Co to znaczy?

Wciąż dominuje klerykalizm – i po stronie duchownych, i świeckich. A może trzeba przyjść do zakrystii i powiedzieć: „Księże proboszczu, zapraszamy na niedzielny obiad, wtedy spokojnie porozmawiamy. Ty nam powiesz, co ciebie boli, my podzielimy się swoimi spostrzeżeniami". Przy stole to łatwiej powiedzieć. Musimy zacząć tworzyć prawdziwą wspólnotę, rodzinę, inaczej będziemy się pogrążać w dużych i małych kryzysach.

eprasa.pl f6df03f8b5

Rok 2020 pod znakiem św. Jana Pawła II

Sejm i Senat RP ogłosiły rok 2020 Rokiem Świętego Jana Pawła II. Wtedy przypada 100. rocznica urodzin Karola Wojtyły. Nastąpił również przełom w staraniach o ogłoszenie papieża z Polski doktorem Kościoła i patronem Europy

LIDIA DUDKIEWICZ

Bardzo radosna wiadomość dotarła do organizatorów i uczestników III Kongresu Ruchu „Europa Christi”, który 22 października 2019 r., w dniu liturgicznego wspomnienia św. Jana Pawła II, odbywał się na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Właśnie w czasie trwania obrad Biuro Prasowe Konferencji Episkopatu Polski opublikowało komunikat z informacją, że abp Stanisław Gądecki, w imieniu Konferencji Episkopatu Polski, wystąpił do papieża Franciszka z prośbą o ustanowienie św. Jana Pawła II doktorem Kościoła i patronem Europy.

Przewodniczący KEP zwrócił uwagę, że „pontyfikat Papieża z Polski wypełniony był przełomowymi decyzjami i doniosłymi wydarzeniami, które zmieniły oblicze papiestwa i wpłynęły na bieg historii Europy i świata”. Podkreślił też, że wielkim osiągnięciem pontyfikatu św. Jana Pawła II był jego udział w przywróceniu jedności Europie przez dziesiątki lat podzielonej żelazną kurtyną. Właśnie na 22 października w ramach kongresowych wystąpień zaplanowana była wypowiedź kard. Stanisława Dziwisza, która stała się wielką laudacją na cześć św. Jana Pawła II, uzasadniającą prośbę abp. Gądeckiego skierowaną do papieża Franciszka.

DOKTOR KOŚCIOŁA

W swoim wykładzie kard. Dziwisz przedstawił wizję Kościoła w ujęciu św. Jana Pawła II. Powiedział, że „w świecie pokawałkowanym, rozbitym, w świecie, w którym coraz więcej ludzi doświadcza różnorakich bezdomności, Jan Paweł II konsekwentnie głosił tajemnicę Kościoła jako domu dla każdego. Papież Wojtyła był papieżem z ludzi wziętym i dla ludzi ustanowionym. Świadczy o tym jego wola bycia blisko ludzi, otwarte dla tak wielu ludzi msze św. w prywatnej kaplicy, spotkania przy stole, pokonywanie barier podczas audiencji, stosy kartek z modlitewnymi intencjami, które zamieszkiwały nieprzerwanie w zakamarkach jego klęcznika”. Zauważył, że za pontyfikatu Jana Pawła II Kościół na nowo i zdecydowanie „ukazał swoje ludzkie oblicze, stał się jeszcze raz domem”. Nowatorską eklezjologię papieża Polaka, wyrażoną bardziej w praktyce życia niż na papierze, kard. Dziwisz nazwał eklezjologią serdeczną.

Obok ukazania wkładu św. Jana Pawła II w rozwój eklezjologii kard. Dziwisz zaprezentował jego dorobek w dziedzinie antropologii. Przypomniał, że Karol Wojtyła – jak trafnie ujmuje to tytuł jego ekranowej biografii – przeszedł do historii jako „człowiek, który został papieżem, i papież, który pozostał człowiekiem”. Na mocy swojego mistycznego zjednoczenia z Bogiem, stał się on miłośnikiem człowieka. „To ta jedna jedyna miłość, w której »sprawy

eprasa.pl f6df03f8b5

ludzkie łączą się ze sprawami boskimi«, każe mu nie tylko człowiekowi służyć, lecz i próbować go coraz lepiej rozumieć. Cała działalność naukowa Karola Wojtyły obracała się wokół tajemnicy człowieka, jego osoby i jego osobowego działania w świecie" – wyjaśnił najbliższy współpracownik papieża Polaka i zauważył, że podjął on kompleksowo tematykę ciała, małżeństwa i rodziny.

„W interpretacji Wojtyły ciało staje się nośnikiem najbardziej ewangelicznych prawideł ludzkiej egzystencji nie w abstrakcji, ale w konkrecie codziennego doświadczenia człowieka pragnącego kochać i oczekującego na miłość". Teologia ciała w ujęciu Jana Pawła II stanowi jego wkład w historię rozumienia człowieka. „Teologia ciała pozwala na wniknięcie w głębiny tajemnicy człowieka, której wnętrze staje się jawne w znaku ciała. Teologia ciała odpowiada na najgłębsze pytania współczesnego człowieka, chroni go przed uprzedmiotowieniem i wskazuje na piękno jego tajemnicy, którą sam Bóg uczynił swoim obrazem i syntezą całego stworzenia. I w tym względzie, szczególnie w tym względzie, papież Wojtyła pozostanie wybitnym nauczycielem Kościoła" – zauważył kard. Dziwisz. I pokazał, jak nauczanie św. Jana Pawła II potrzebne jest w obecnych czasach agresywnego starcia cywilizacji, gdy w wielu środowiskach powszechna stała się pogarda dla ludzkiej cielesności.

W swoim wystąpieniu kard. Dziwisz zwrócił też uwagę, że dziedzictwo św. Jana Pawła II „posiada wybitną wartość kulturotwórczą", stanowi „istotny i całościowy projekt odnowy kulturowej na globalną skalę". Jego zdaniem myśl św. Jana Pawła II jest na wskroś nowoczesna, oryginalna i twórcza, pozostając jednocześnie myślą szlachetnie klasyczną: „To Wojtyłowe, trudne balansowanie między tradycją a nowoczesnością, wniosło ogromny powiew świeżości w życie Kościoła, a przezeń w uniwersalne przestrzenie szeroko rozumianej kultury, polityki i nauki. W tym względzie święty papież stał się prawdziwym nauczycielem i doktorem Kościoła, a w nim istotnym stróżem wartości europejskich, które stanowią nieusuwalny fundament współczesnej cywilizacji".

PATRON EUROPY

Uzasadniając z kolei starania o ustanowienie św. Jana Pawła II patronem Europy, kard. Dziwisz zauważył, że osobowość papieża Wojtyły, jego myśl, tytaniczna praca „pozostawiły ogromny ślad nie tylko w życiu Kościoła, lecz i całej społeczności światowej". Jego zdaniem, papież Wojtyła reprezentuje najszlachetniejszy ideał Europejczyka. Podkreślając wkład Jana Pawła II w życie naszego kontynentu, kard. Dziwisz zauważył aktualność jego nauczania, wyrażającą się w przypominaniu o chrześcijańskich korzeniach Europy i całej cywilizacji zachodniej. Ojciec Święty dowiódł swoim życiem, że bycie Europejczykiem i bycie uczniem Chrystusa nie wykluczają się i „że chrześcijaństwo, wpisane w europejskie fundamenty, jest nieusuwalnym kodem genetycznym europejskości".

Najbliższy współpracownik papieża Polaka zwrócił też uwagę na wkład Jana Pawła II w najnowsze dzieje Europy. Zauważył, że wielu historyków, polityków i komentatorów przyznaje papieżowi z Polski centralną rolę w obaleniu komunizmu i integracji kontynentalnej wspólnoty. „To jego posługiwanie stanowiło kamień węgielny w polskim, narodowym przebudzeniu nadziei. To ono przyczyniło się walnie i lawinowo do skonsolidowania ruchów społecznych i politycznych mających na celu stworzenie wolnej, równej, dziejowo sprawiedliwej Europy". Kard. Dziwisz powiedział wprost, że „dziedzictwo, jakie św. Jan Paweł II pozostawił w swoich pismach, jest pełną mapą drogową wytyczającą dobre kierunki dla naszej wspólnej wędrówki ku lepszemu światu, ku ostatecznemu spotkaniu z przychodzącym Panem".

W podsumowaniu podkreślił, że „papież Wojtyła to nie tylko wielki współczesny doktor Kościoła, lecz i wybitny patron dla Europy, który ma ogromnie wiele do powiedzenia wszystkim, zarówno wierzącym, jak i niewierzącym".

EUROPA CHRISTI

Ideę ustanowienia św. Jana Pawła II nowym patronem czy współpatronem Europy podjął w 2016 r. Ruch „Europa Christi". Staraniom tym od początku towarzyszy kard. Dziwisz. Za jego pośrednictwem dotarły do Polski dwa grube woluminy zawierające prawie 14 tys. podpisów zebranych w Hiszpanii i w innych krajach europejskich pod petycją dotyczącą ogłoszenia św. Jana Pawła II patronem Europy. W Polsce podpisy zbiera Ruch „Europa Christi". Założyciel i moderator tego ruchu ks. inf. Ireneusz Skubiś obliczył, że petycję poparło już ponad 18 tys. Polaków. Z kolei postulat ogłoszenia św. Jana Pawła II doktorem Kościoła pojawił się podczas odbywającego się w 2019 r., pod patronatem kard. Stanisława Dziwisza i abp. Stanisława Gądeckiego, III Międzynarodowego Kongresu Ruchu „Europa Christi". Tegoroczne sesje kongresowe odbyły się nie tylko w Polsce, lecz i w Czechach oraz na Słowacji. Kolejne odbędą się we Wrocławiu (11 listopada) i we Lwowie (18–20 listopada tego roku).

Ks. Skubiś w swoich wypowiedziach wciąż zwraca uwagę, że nie ma Europy bez Chrystusa i nie ma Europy bez krzyża. „Europa jest pełna katedr, wielkiej chrześcijańskiej literatury, muzyki i sztuki. Są to dziedziny ukształtowane krzyżem" – podkreśla moderator Ruchu „Europa Christi". Przy różnych okazjach apeluje, aby chrześcijanie Europy się policzyli, uwierzyli w swoją liczebną i duchową siłę. Przekonuje, że powinni się upominać o swoje prawo do życia zgodnego z Ewangelią i z naturą.

Zdaniem ks. Skubisia przed Ruchem „Europa Christi" stoją bardzo ważne zadania, bo nasz kontynent jest zagubiony. Przypomina, że Europę budowali święci i politycy, którzy byli prawdziwymi mężami Bożymi. Za prawdziwych ojców założycieli wspólnoty europejskiej uważani są sługa Boży Robert Schuman i sługa Boży Alcide De Gasperi oraz Konrad Adenauer. Do ich formatu i poziomu powinny dążyć nowoczesne elity Europy. Dzisiaj najlepszym przewodnikiem na trudnych europejskich drogach jest św. Jan Paweł II, dlatego tak ważne jest ogłoszenie go przez papieża Franciszka doktorem Kościoła i patronem Europy.

Osoby, które pragną poprzeć tę inicjatywę, mogą jeszcze złożyć swoje podpisy na stronie: www.myslacojczyzna.pl.

Fot. ZIHNIOGLU/SIPA / EastNews

eprasa.pl f6df03f8b5

Nowy mur berliński

Trzydzieści lat temu zdarzył się cud zjednoczenia. Już wtedy to i owo mogłoby zdumiewać. Dzisiaj Niemcy są tak rozdarte, tak podzielone, jak dawno już nie były

STEFAN MEETSCHEN

Retrospekcja. Był chłodny, deszczowy, listopadowy dzień. Wróciłem właśnie z wykładów. I wtedy zadzwonił do mnie kolega ze studiów. Zakomunikował mi, że oto otwarty został mur berliński. Zapytał, czy nie miałbym ochoty udać się z nim pod Bramę Brandenburską. Oczywiście, że miałem. I takim to sposobem stałem się aktorem w tamtym żywym historycznym obrazie. Wspiąłem się bowiem na mur berliński, mając przed sobą Bramę Brandenburską, skąd żołnierze Narodowej Armii Ludowej NRD nieufnie spoglądali w stronę nas, „wesis", krzyczących do nich: „Precz z murem!". Krzyczałem również ja. Wielu jednak stało na tym murze odwróconych do wschodu plecami, ponieważ woleli pozować do kamer międzynarodowych stacji telewizyjnych, aby potem ich twarze mogły obiec cały świat. Tak oto obok spraw istotnych stały sprawy mniej istotne lub nieistotne wcale.

Nie, nie myślałem wtedy o medialnej sławie. Zastanawiałem się raczej, czy to przypadkiem nie jakiś sen. Przecież to niemożliwe, aby po tych wszystkich

Fot. East News/GERARD MALIE/AFP

przerażających doświadczeniach zimnej wojny stać sobie radośnie i luzacko na tym niesławnym murze. Ciekawe, co na to władze Związku Sowieckiego? Co na to Michaił Gorbaczow? Jak zareaguje? Z kim będzie chciał rozmawiać? Z kanclerzem Helmutem Kohlem, który przebywał akurat w Polsce? I co to w ogóle za kraj, ten na który teraz patrzyłem? Jak bliska albo jak daleka była mi tamta NRD? Raczej daleka, a z pewnością bardziej daleka niż choćby Holandia, w której pobliżu się wychowałem.

To była szalona noc z 9 na 10 listopada 1989 r. W pewnym momencie zeszliśmy z muru i pobiegliśmy wzdłuż niego, aby na Checkpoint Charlie witać obywateli NRD, którzy w swych wysłużonych trabantach ruszyli na zachód. Poklepywaliśmy maski ich samochodów i biliśmy im brawo. Byliśmy na jakimś surrealistycznym rauszu, który wydawał się nie mieć końca.

Również w następnych dniach i tygodniach nad Niemcami, a w szczególności nad Berlinem, wisieć miała tamta historyczna chmura. Trudno było wyjść z podziwu. A już rok później zrosło się w jedno państwo to, „co do siebie należało" (to nawiązanie do słów Willy'ego Brandta: „Es wächst zusammen, was zusammen gehört"). I to pomimo, iż ludzie na wschodzie i zachodzie, wskutek istnienia przez tyle lat dwóch osobnych systemów politycznych stali się już sobie w dużym stopniu obcy. Dla zachodnioniemieckich intelektualistów sprawa zjednoczenia Niemiec nie była już wówczas żadnym tematem. Może z wyjątkiem pisarza Martina Walsera, który na krótko przedtem porwał się na ten śliski temat, co jednak wywołało jedynie „prehistoryczny shitstorm". Zero refleksji.

HEGEMONIA LEWICOWO-LIBERALNEJ KULTURY

W ogóle podczas całego tamtego procesu zjednoczeniowego ze strony zachodnioniemieckich intelektualistów nie wyszło de facto nic istotnego. Günter Grass swymi kontrowersyjnymi wypowiedziami robił wrażenie zupełnie oderwanego od rzeczywistości i działał raczej blokująco. Podobnie cała wierchuszka SPD. Jedynie robiący dotąd wrażenie raczej safanduły kanclerz Helmut Kohl z CDU zdawał się pojmować wagę sytuacji. Na koniec okazał się politykiem światowego formatu, pertraktującym w sposób wręcz wirtuozerski z mocarstwami zwycięskimi tamtej wojny, i tym samym tamtą wojnę de facto kończąc. Stało się to najpóźniej wraz z przeprowadzką parę lat później stolicy z Bonn do Berlina.

> W Niemczech zdumiewające jest to, że pomimo jednoznacznej klęski komunizmu bezdyskusyjna okazała się tam hegemonia lewicowo-liberalnej kultury i mentalności

Ze strony Niemiec – tak wówczas myślałem – nie wyjdzie już z pewnością żadne niebezpieczeństwo, dlatego też całym sercem byłem za przeprowadzką. W szkole w dostatecznym stopniu wszczepiono we mnie poczucie narodowego wstydu, a pokolenie polityków, z którymi dorastałem (Schmidt, Brandt, Wehner, Scheel, Genscher, Strauss), przy całym swym retorycznym zapale, w temacie narodowej roli Niemiec zachowywali się raczej w sposób upokarzający i ekspiacyjny. Jakoś tak wszyscy staliśmy się nagle pacyfistami, zadowoleni z faktu, że jako członek wspólnoty europejskiej mogliśmy się tak troszeczkę schować. Cała zaś brudna robota na tym świecie przypadła Amerykanom, Brytyjczykom i Francuzom – i oczywiście Rosji, która z wolna odradzała się z łupin rozpadłego Związku Sowieckiego.

W Niemczech zdumiewające jest jeszcze coś innego. Pomimo jednoznacznej klęski komunizmu bezdyskusyjną okazała się tam hegemonia lewicowo-liberalnej kultury i mentalności. Największym zaś skandalem miały być nie występy telewizyjne postkomunisty Gregora Gysiego, przywódcy PDS, sukcesorki enerdowskiej SED (dziś nazywają się oni Die Linke), lecz pewien esej dramaturga Botho Straußa, w którym napiętnował pustkę instytucjonalną Republiki Federalnej i dostrzegł już symptomy nadciągającej globalnej wojny kulturowej. W sposób niebywale przenikliwy zauważał również brak uporządkowanej świadomości narodowej, a także głęboki deficyt zmysłu metafizycznego.

Szczególnie widoczne było to podczas wizyty Jana Pawła II w roku 1996. Gdy papież z Polski wraz z kanclerzem Kohlem przechodził pod Bramą Brandenburską, w Berlinie odbyły się protesty. Wdzięczność odczuwana była jeszcze jedynie w stosunku do Michaiła Gorbaczowa, który wydał zgodę na zjednoczenie. Dla całej tej wielkiej pracy przygotowawczej ze strony polskiego papieża i ludzi z Solidarności, którzy w roku 1980 rzucili wyzwanie komunizmowi, u większości Niemców brakowało po prostu zmysłu wrażliwości. Widać to było choćby na przykładzie popularności tzw. polenwitzów, na które w latach 90. zapanowała niebywała moda.

NA WSCHODZIE BUDZĄ SIĘ DEMONY

I dopiero gdy w roku 1999 partią CDU, a w szczególności „kanclerzem zjednoczenia", wstrząsnął potężny skandal związany z nielegalnym finansowaniem partii, do Niemców z wolna zaczęła docierać prawda, że ów cud zjednoczenia zawdzięczają nie tylko Helmutowi Kohlowi, lecz że być może udział w tym miały również inne „siły i moce sprawcze". Tyle że któż jeszcze wówczas wierzył w „cud"? Wprawdzie tzw. podatek solidarnościowy przyczynił się do powstania na wschodzie przepowiadanego przez kanclerza Kohla „kwitnącego kraju", ale sama renowacja miast i dróg nie uczyniła tego regionu atrakcyjnym dla inwestorów.

eprasa.pl f6df03f8b5

Wielu mieszkańców wschodnich Niemiec szybko znalazło lepiej płatną pracę na zachodzie, a niektóre wschodnie regiony, pomimo potężnych państwowych dotacji, szybko zaczęły podupadać. Spośród ludzi, którzy tam zostali, wielu zaczęło znów tęsknić za dobrymi starymi złymi czasy, kiedy to panował jaki taki „porządek", nie było bezrobocia i istniała klarowna hierarchia – bez jakichś tam pluralizmów i multikulturalizmów. Nagle wychynął też z otchłani upiór neonazizmu, a media zaczęły się tym karmić. I zamiast postawić sobie pytanie, jak tych pogubionych młodych ludzi oświecić i wychować w duchu demokracji, pozwolono rosnąć temu zjawisku w siłę.

MARATON MARKEL

Tymczasem przywództwo w Berlinie przejęła kobieta pochodząca z Niemiec wschodnich, córka pastora, z zawodu fizyk. Angela Merkel, która mając za sobą żywą enerdowską przeszłość, zdawała się patrzeć całkiem trzeźwo na bieżące problemy kraju. I podobnie jak jeden z jej poprzedników na stanowisku kanclerza, Helmut Schmidt, z początku dała się poznać bynajmniej nie jako zwolenniczka społeczeństwa multikulti i nieograniczonej imigracji. Jej styl był raczej z gatunku tych moderacyjno-mediacyjnych – pomiędzy wschodem i zachodem, lewicą i prawicą, Europą i resztą świata. Wyszło jej to w sumie na dobre, dlatego też – podobnie jak Helmut Kohl, który rządził lat 16 – wciąż wybierana była na następne kadencje. U Niemców, gdy ktoś przypadnie im do serca, to tak szybko go nie puszczą. Taka sobie demokratyczna osobliwość, rzec by można – niedorzeczność, która możliwa jest chyba tylko w Niemczech. Ewentualnie jeszcze w Rosji, tudzież w Korei Północnej.

Dzisiaj, 30 lat po zburzeniu muru berlińskiego i 14 latach rządów kanclerskich Angeli Merkel, kraj znów wydaje się bardzo podzielony. O pokoju społecznym – nawet jeśli Merkel i jej ministrowie oraz aktualny prezydent federalny próbują to pomniejszać – nie ma już mowy. Przyczyniła się do tego polityka imigracyjna, cała ta „Willkommenskultur" roku 2015: „Powiedz mi, co o tym myślisz, a ja powiem ci, gdzie stoisz – przy tych dobrych, czy przy tych złych". O jakiejś moderacji, o zróżnicowaniu poglądów nie może być już mowy, w czym swój udział mają niewątpliwie również media społecznościowe. Pęd życia i szybkość przekazu wydają się uniemożliwiać jakąkolwiek refleksję. Nie liczą się argumenty, a jedynie emocje. Nie mają znaczenia liczby, informacje i fakty, a jedynie słuszne poglądy. Typowo niemiecki fenomen – jak mi się zdaje. Gdy inne kraje i narody raczej pielęgnują swój common sense i umiłowanie wolności, większość Niemców przedkłada ideały oraz wygodny konsens. To, co myśli większość, nie może być przecież fałszywe, czyż nie?

Owo wygodnictwo zaszło tak daleko, że dziś nawet katolicy stali się mocno skłóceni. Dzielą się na tych, którzy uważają za wspaniałe wszystko to, co czyni Kościół kolorowym i różnorodnym – ergo skręt w lewo, i tych, którzy tęsknią za porządkiem i oparciem się na nauce Kościoła – co z kolei uważane jest za prawicowe. Dla tych drugich ważna jest również obrona życia, a to otrzymało już dziś stempel skrajnej prawicowości i nie jest zbyt seksi. W przeciwieństwie do działań na rzecz ochrony klimatu czy pomagania uchodźcom.

NOWY MUR

Dziś Niemcy wydają się chaotyczne i skłócone tak, jak już dawno nie były. Widzę tu mniej podobieństw do Republiki Bońskiej, a więcej do Republiki Weimarskiej, tamtego niestabilnego tworu państwowego na krótko przed przejęciem władzy przez narodowych socjalistów. Nie wróży to na przyszłość niczego dobrego.

Podczas gdy jedni obawiają się przejęcia władzy przez AfD – formację polityczną będącą mocno na prawo od środka – inni największe zagrożenie widzą w „islamizacji". Jedni angażują się na rzecz praw osób LGBT – chcieliby nawet „zgenderyzować" sam język – inni domagają się przywrócenia bezpieczeństwa w przestrzeni publicznej i jednoznacznego określenia kultury dominującej.

Czyżby więc dojrzał czas do ponownego podziału Niemiec – chciałoby się prowokacyjnie zapytać? Może potrzebny byłby znów jakiś nowy mur berliński? Tym razem nie z woli możnych tego świata, lecz powstały na bazie rzeczywistej woli społeczeństwa.

Przyznaję, że idea to dość zwariowana i raczej destruktywna. Gdy jednak próbuję się dowiedzieć czegoś na temat mojej małej czy dużej ojczyzny, na temat kraju mojego pochodzenia, gdy rozmawiam z ludźmi tam mieszkającymi, wówczas budzą się we mnie tego rodzaju sarkastyczne myśli. Może warto byłoby więc zaryzykować taki eksperyment społeczny?

Nie, nie jest mi to wszystko obojętne, choć już w roku 2007 przeprowadziłem się na stałe do Polski. Niektórzy powiadają, że to Duch Święty zawiódł mnie do tego kraju, gdzie panuje wolność i widzi się europejską przyszłość. Inni natomiast są zdumieni, że ktoś z własnej nieprzymuszonej woli może żyć w tej „pisowskiej dyktaturze".

Jedno jest pewne: choć zawsze obcy był mi wszelki niemiecki szowinizm, to jednak kiedy widzę, że również w mym rodzinnym mieście przekazana mi rodzima kultura spychana jest coraz bardziej na margines, wówczas odczuwam zwyczajnie ból. Jak można bowiem być Europejczykiem czy zgoła obywatelem świata, nie będąc jednocześnie zakorzenionym w swym pochodzeniu?

* * *

Tego rodzaju pytania będą mnie nurtować 9 listopada tego roku, kiedy wspominać będę tamto moje osobiste „zdobycie" muru berlińskiego przed 30 laty. Nawiasem mówiąc, miałem wtedy na sobie jasny płaszcz, a na głowie całkiem jeszcze gęstą czarną czuprynę. Mówię to na wypadek, gdyby ktoś mnie przypadkiem chciał odszukać, bo wcale niewykluczone, że i ja uwieczniony zostałem na którymś z tych historycznych zdjęć.

Tłumaczenie: Marian Panic

Autor jest redaktorem katolickiego tygodnika „Die Tagespost". Ostatnio opublikował biografię dziennikarza i bojownika ruchu oporu Fritza Gerlicha.

52/1019/F

eprasa.pl f6df03f8b5

niedziela poleca

cena
19,90 zł
+ KOSZT WYSYŁKI

Kalendarz domowy

Życie ma 365 stron, warto je odkrywać w 2020 r. – dzień po dniu. Siódma edycja bestsellerowego terminarza!

Znajdziesz w nim m.in.:

- słynne porady wodolecznicze ks. Kneippa
- przepisy
- miejsce do notowania
- codzienne listy zakupów
- informacje: patron dnia, imieniny
- rady, ciekawostki oraz sentencje
- godziny wschodów i zachodów Słońca oraz Księżyca
- ewangeliczne motta dnia
- niedzielne Ewangelie z komentarzami

cena
29,90 zł
+ KOSZT WYSYŁKI

Kalendarz pastoralny

Kalendarz pastoralny 2020 to doskonała pomoc nie tylko dla kapłanów i katechetów czy stowarzyszeń zakonnych i ruchów, ale też dla wszystkich, którym bliskie jest życie liturgią Kościoła

- czytania mszalne na każdy dzień, przypomnienia na wszystkie niedziele związane z bieżącym rokiem liturgicznym
- liturgiczne wspomnienia mniej popularne w Kościele w Polsce
- papieskie intencje Apostolstwa Modlitwy

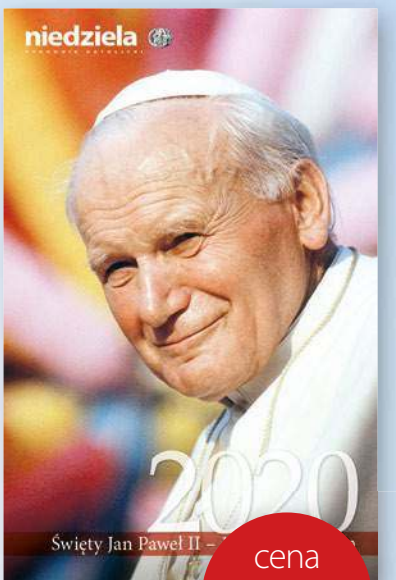

cena
4 zł
+ KOSZT WYSYŁKI

Kalendarz ścienny Święty Jan Paweł II 100-lecie urodzin

- wypowiedzi Papieża Polaka nawiązujące do wydarzeń i faktów z jego życia
- krótkie kalendarium życia Karola Wojtyły
- duży format: 28 x 43 cm

Zamówienia można składać:
pocztą: **Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela", 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa**
telefonicznie: **34 365 19 17,** pocztą elektroniczną: **kolportaz@niedziela.pl**

www.ksiegarnia.niedziela.pl

eprasa.pl f6df03f8b5

W odmętach feministycznego szaleństwa

Niedorzeczne diagnozy i opinie, projekty i inicjatywy ocierające się o absurd i groteskę. A wszystko to forsowane z całą powagą pod sztandarem równouprawnienia. Przejrzałam pomysły feministycznych aktywistek z ostatnich miesięcy. Jest i śmieszno, i straszno

DOROTA ŁOSIEWICZ

DYSKRYMINACYJNA KNAJPA

W Melbourne w Australii prowadzące lokal The Handsome Her feministki wpadły na pomysł, by za każdy posiłek mężczyźni płacili 18 proc. więcej ze względu na „gender wage gap". Podobno właśnie tyle wynosi różnica w płacach mężczyzn i kobiet. Pomysł nie przypadł do gustu klientom. Podobnie zresztą jak obsługa i jedzenie. „Obsługujące mnie kobiety były agresywne i irytujące" – napisał w opinii na Trip Advisor jeden z klientów płci męskiej. W odpowiedzi został nazwany „podłą bestią". Jakby tego było mało, lokal otwarty był od 9 do 16, czyli w godzinach, gdy większość ludzi pracuje. Tak czy inaczej restauracja zbankrutowała i trudno stwierdzić, czy to z powodu dyskryminacji mężczyzn, braku manier właścicielek, podłego żarcia czy fatalnych godzin otwarcia. Tak czy inaczej nie współczuję.

KRZESŁO TORTUR

Laila Laurel, świeżo upieczona absolwentka Brighton University w Wielkiej Brytanii, postanowiła wypowiedzieć wojnę zjawisku „manspreadingu", czyli rzekomego problemu rozkraczania się mężczyzn w środkach komunikacji i innych miejscach publicznych. A narzędziem w tej wojnie stało się krzesło, które miałoby oduczyć mężczyzn rozkraczania się. Projektantka stworzyła kolekcję „A Solution for Manspreading". Składają się na nią dwa krzesła. Jedno z nich uniemożliwia mężczyznom siadanie w rozkroku. Drugie natomiast pokazuje, jak wyglądałyby rozkraczone kobiety. Inspiracja dopadła artystkę, gdy ta jeździła kolejką podmiejską i na co dzień spotykała się z przejawami „manspreadingu". Zdaniem kobiety mężczyźni mają tendencję do przejmowania przestrzeni. Dlatego dążąc do równości płci, należy brać pod uwagę różne aspekty seksizmu. Oczywiście w tym przypadku nie mogło się obyć bez nagrody. Podczas prestiżowego przeglądu New Designers w Londynie krzesła zostały wyróżnione nagrodą Belmond Award opiewającą na 1 tys. funtów.

WYBIELACZEM W KROCZE

Pozostańmy jeszcze w temacie „manspreadingu". Rosyjska aktywistka znalazła bardziej drastyczny sposób na walkę z tym zjawiskiem niż Laila Laurel. Studentka Anna Dovgalyuk oblewała wybielaczem mężczyzn za to, że rozkraczali się w metrze. Feministka uznała mężczyzn, których spotyka w metrze, za „genderowych agresorów". I ci najbardziej agresywni, czyli najmocniej rozkraczeni, byli oblewani przez nią mieszanką wody z wybielaczem. O happeningu pisały media całego świata. A tego typu karanie „męskich agresorów" znalazło uznanie feministek na całym globie. Niestety, nie jest znany dozwolony kąt rozchylenia męskich nóg, powyżej którego feministki dostają szału, więc panowie, miejcie się na baczności! I uwaga w Madrycie! Tam zakaz „manspredingu" obowiązuje od 2017 r.

GWAŁT PRZEZ OCZY

Wróćmy jednak do wątku sztuki, bo i tu feministyczne happeningi mają się świetnie. Estońska feministka i lesbijka Mare Tralla podczas wystawy swojej „instalacji" (m.in. plastikowe, wyeksponowane narządy płciowe) rozwiązała szlafrok, w który była ubrana, rozchyliła

Fot. East/News/Wojciech Strozyk/REPORTER

eprasa.pl f6df03f8b5

go i pokazała swoje nagie ciało młodym chłopcom. Młodzież, która przyjechała na wystawę sztuki feministycznej, mogła tego pożałować. Tym bardziej że Mare Tralla nie jest klasycznym (pewnie stworzonym przez podłych mężczyzn) wzorcem piękności i raczej może się poszczycić rubensowskimi kształtami. Miny zdegustowanych chłopców mówiły, że to jednak dla nich za dużo. Mare Tralla rozpoczęła swoją karierę w Estonii na początku lat 90., gdzie stała się jedną z „czołowych interdyscyplinarnych artystek młodszego pokolenia". Jej strona internetowa informuje, że kobieta czerpie z osobistej historii i codziennych doświadczeń, a jej praktyka jest bezpośrednią krytyczną reakcją na to, jak okres przejściowy w społeczeństwach Europy Wschodniej dotknął kobiet. Można się także dowiedzieć, że Tralla była jedną z niewielu prowadzących rewolucję feministyczną w dziedzinie sztuki współczesnej w Estonii. Tralla chętnie wyraża się twórczo przez nagie zdjęcia. Pozuje np. z głową włożoną w bęben pralki, w dziecięcym łóżku z maskotkami, w klatce dla zwierząt. Na wszelki wypadek kolejne instalacje estońskiej artystki należałoby oznaczać opisem: „Uwaga, Tralla!".

„MAŁA KSIĘŻNICZKA"

Sztukę feministyczną przenosi się także na karty książek. Dwie argentyńskie aktywistki postanowiły napisać „Małego Księcia" od nowa. Książka nosi tytuł „Mała Księżniczka". Wydawnictwo, pod którego szyldem ukazała się „nowa wersja" słynnego dzieła Antoine'a de Saint-Exupéry, dumnie ogłasza, że książka napisana jest „językiem, który nie wyklucza". Poza tym w książce mamy 60 proc. bohaterów kobiecych oraz 40 proc. mężczyzn. Wydawnictwo chwaliło się, że teraz „[...] osoby dyskryminowane będą mogły łatwiej się utożsamić z głównymi bohaterami". Z książki wyeliminowano też wszelkie pośrednie czy bezpośrednie nawiązania do „rasy, kraju pochodzenia czy religii, tak by opowieść była bardziej uniwersalna", a wąż zjadający węża został zastąpiony wulkanem. I tak arcydzieło stało się arcygniotem.

W OBRONIE KOBIET ZWIERZĄT

Także Warszawa nie pozostaje w tyle za feministycznymi nowościami. Podczas IX Kongresu Kobiet uczestniczki zajmowały się walką o równość płci, także w świecie zwierząt. Odbyły się m.in. takie debaty: „Panel o zwierzęcej kobiecości: płeć jako wyrok: ciało jako towar – sztuczna inseminacja, wymuszone i przerwane macierzyństwo, spieniężona laktacja, niechciana starość. Opis życia samic zwierząt hodowlanych", „Traktowanie samic zwierząt hodowlanych i tego, że przemoc ma płeć, także u zwierząt, wspólnego losu zwierząt i kobiet oraz połączeń między ruchem feministycznym a prozwierzęcym". I z tej okazji wszystkim zapadła w pamięć Sylwia Spurek, była zastępczyni RPO, eurodeputowana Wiosny. Zwróciła uwagę na zabieranie cielaków od matek. „Z mlekiem nie jest jak z moczem, nie daje się bez przyczyny. Krowy są gwałcone, żeby zostać zapłodnione, żeby mogły urodzić, żeby mogły dawać mleko. Żadna krowa, tak jak żadna kobieta, nie daje mleka po prostu" – tłumaczyła Spurek. I wcale nie jest tak, że jej głos jest w ekofeministycznej debacie jakiś osamotniony.

> Sylwia Spurek: „Krowy są gwałcone, żeby zostać zapłodnione, żeby mogły urodzić, żeby mogły dawać mleko. Żadna krowa, tak jak żadna kobieta, nie daje mleka po prostu"

Mackenzie April z Wydziału Badań Gender i Kobiecych Uniwersytetu Nowy Jork w artykule opublikowanym w magazynie wydawanym przez tę uczelnię twierdzi, że ludzie naruszają „prawa reprodukcyjne i prawa seksualne" krów. Zwłaszcza tych mlecznych, bo molestują je seksualnie. W publikacji „Przygotowanie do gwałtu: feminizm a reprodukcyjny wyzysk innych istot" autorka pisze, że „jako weganka i działaczka na rzecz praw zwierząt czuje się zmuszona do poruszenia feministycznych aspektów rolnictwa". Temat ten, jej zdaniem, jest niestety zaniedbany, a przecież „układy rozrodcze zwierząt są tak samo eksploatowane, jak układy rozrodcze kobiet". April zwraca też uwagę na szczególnie trudne położenie krów mlecznych. Zwierzęta te „podlegają dyskryminacji ze względu na płeć i są poddawane przemocy", a „ich głos sprzeciwu nie jest przez nas rozumiany i zauważany". No nie jest. Bo to takie zwykłe „muuuu".

RZEŹ NIEWINIĄTEK

„Mam dość bycia fabryką dzieci produkującą mężczyzn, którzy w przyszłości mnie zniewolą. Jedyne wyjście to zabicie wszystkich męskich noworodków. Trzeba zabić każdego mężczyznę spotkanego na ulicy" – to słowa amerykańskiej feministki wykrzyczane w mediach społecznościowych, które poruszyły opinię publiczną na całym świecie.

Jednak nie wszystkie aktywistki wyłącznie mówią. Niektóre przechodzą do czynów. I wcale nie ograniczają się do mężczyzn. W czerwcu Argentyńska feministka (gangsterka jednocześnie) zastrzeliła 13-letnią dziewczynkę. Morderczyni nazywa się Jorgelina Domínguez Reyes. Żeby było dramatyczniej, ruch feministyczny, do którego należy Reyes („Ni una menos"), walczył z przemocą wobec kobiet i organizował pikiety za każdym razem, gdy w Argentynie ginął ktoś płci żeńskiej. Tym razem pikiety nie zorganizowano, a organizacja feministyczna, w której działa Reyes, winą za zbrodnię obarczyła oczywiście mężczyzn. „W każdym ciele kobiety, która umiera, pojawia się cień systemu męskiego" – wyjaśniły feministki. „Patriarchat pie**oli nas wszystkie" – taką frazą lewicowe ekstremistki zakończyły oświadczenie, które, przypominamy, dotyczyło śmierci dziewczynki, zamordowanej przez ich członkinię.

A wszystko zaczyna się niby niewinnie od tolerancji, równouprawnienia, szacunku...

eprasa.pl f6df03f8b5

L jak lewica

Dr Hanna Karp, medioznawca

Do Sejmu wróciły lewica i postkomuna. Stroją się w piórka rycerzy walczących o świeże powietrze i dobrostan matki-Gai-Ziemi. Warto przypomnieć – choćby młodszym czytelnikom – historię materialistycznej ideologii. Ojczyzną krajowej i światowej lewicowej międzynarodówki był Kraj Rad, jego partia i przywódcy. Z kultem Włodzimierza I. Lenina mógł rywalizować tylko inny morderca, tyran i despota, Józef Stalin. Szacunki dowodzą, że z jego rozkazu zginęło około 20 mln ludzi, sama kolektywizacja rolnictwa przyniosła śmierć 10 mln ludzkich istnień. Powstały z polecenia Stalina w 1929 r. Związek Wojujących Bezbożników do dziś wydaje się wielu inspirować. Od początku organizacja była wymierzona w Cerkiew prawosławną, niszczyła sakralne obiekty, cmentarze, przedmioty kultu i dostarczała NKWD listy duchownych do „likwidacji".

Nie przeszkadzało to, by z łamów prasy i wydawnictw generalissimus spoglądał na czytelników jako wódz, przywódca o ponadludzkim statusie. Niemal religijna twórczość poświęcona wielkiemu wodzowi Iosifowi Wissarionowiczowi powielana była we wszelkich publikatorach. Okolicznościowy numer polskiego miesięcznika partyjnego „Nowe Drogi" wydany na urodziny wodza opisywał go jako „genialnego kierownika", „majestatyczne zjawisko procesu dziejowego".

PRZEWODNICZĄCY RADY KOMISARZY LUDOWYCH

Uczynienie ze Stalina postaci doskonałej nie było łatwe, bo chodziło o „twarz z dziobami po ospie, oczy piwne, wąsy czarne, nos przeciętny. Wzrost 162 cm, znaki szczególne: lewa ręka niezginająca się w łokciu" – tyle z fragmentu z rysopisu carskiej policji. Kiedy przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych ZSRR przemawiał, mówił głosem bezbarwnym i monotonnym, z gruzińskim akcentem; jakby w próżnię, bez kontaktu ze słuchaczami. Od połowy lat 30. ubiegłego stulecia podobizny i słowa Stalina w Kraju Rad były wszechobecne. Jego portrety wystawiano często jako jedyną dekorację w witrynach sklepów, nad bramami ogrodów, sklepów zoologicznych, żłobków i przedszkoli. Hasła dziękczynienia na plakatach głosiły: „Dzięki Ci, Wielki Stalinie, za nasze szczęśliwe dzieciństwo". Były to jednocześnie pierwsze zdania dzieci uczących się czytać. Prasa, szerząc kult Stalina, publikowała artykuły, reklamowała sztuki teatralne i recenzje filmów apoteozujących „nowego Boga". Kiedy pływacy holowali na rzece gigantyczny portret Stalina zamontowany na pławikach z napisem „Chwała wielkiemu Stalinowi", czytelnicy gazet nie wiedzieli, że ich „słoneczko narodu" nie umiało pływać.

Szczyt gloryfikacji postaci Stalina i apogeum pychy stanowiła szeroko opisywana w radzieckiej prasie inscenizacja z okazji 70. urodzin Stalina. 21 grudnia 1949 r., gdy pod wielkim balonem wojskowym podwieszono jego olbrzymi portret, tak by szybował nad wypełnionym tłumem placem Czerwonym, oświetlony przez kilkadziesiąt reflektorów przeciwlotniczych. Tego dnia z okazji urodzin „Ojca Narodu" na łamach „Prawdy" zaproponowano, by w dniu jego na-

eprasa.pl f6df03f8b5

rodzin rozpocząć nowy kalendarz, otwierający epokę sprawiedliwości, trwającą już 70 lat.

UBÓSTWIONY ZA ŻYCIA

Jak skuteczna okazywała się prymitywna propaganda, dowodzi to, iż społeczeństwo ZSRR i krajów sąsiednich po śmierci Stalina opanowała, kontrolowana i podsycana przez partię, histeria. Pragnienie zbliżenia się 8 marca 1953 r. do trumny spowodowało zadeptanie setek, jeśli nie tysięcy osób. Zabalsamowane zwłoki złożono w mauzoleum obok Lenina, ale w październiku 1962 r. XXII zjazd partii zdecydował o przeniesieniu trumny do nekropolii pod Kremlem. To wtedy odcięto z munduru Stalina złote guziki i epolety, wszywając w ich miejsce metalowe. Tylko najbliżsi współtowarzysze Stalina wiedzieli, że deifikowany za życia odszedł sparaliżowany przez wylew. A zanim umarł, przeleżał kilkanaście godzin na podłodze w kałuży własnych odchodów, nim ochrona odważyła się wejść do jego sypialni.

Gdy 5 marca 1953 r. Stalin umarł, Komitet Centralny wydał wytyczne w sprawie wyglądu pierwszych stron gazet. Także polscy redaktorzy otrzymali szczegółowe informacje, w których odgórnie określono wielkość zdjęcia, jego centralne położenie, czarne obwódki. Redakcje, które się do tego nie zastosowały, zostały zamknięte. Największe zdjęcia pojawiły się w „Trybunie Ludu" i w „Żołnierzu Wolności". Podobnie precyzyjnie określano charakter obchodów choćby święta 1 Maja czy 22 Lipca. Na ulicach czy w pochodach można było umieszczać tylko hasła dozwolone. Nie tylko ich treść była z góry określana, również dobór portretów działaczy ruchu robotniczego podlegał ścisłej kontroli. Nie można było np. wspominać w jakiejkolwiek formie tych, którzy reprezentowali nurt niepodległościowy PPS.

BIERUT – MAŁY STALIN

Oprócz propagandy dla mas, która zależnie od potrzeb miała zachęcać, straszyć, mobilizować, przekonywać czy dezinformować, dbano o „propagandę dla rządzących" albo „propagandę dla siebie samych", adresowaną w stronę kierownictwa partii i wodza. Jej celem było umacnianie aktualnego „pierwszego". Że wielki i genialny, a ponadto jest także kochany, podziwiany, wielbiony przez naród. W Polsce Ludowej kampanie propagandowe „wewnętrzne" często rozpoczynały się od wypowiedzi działaczy partyjnych w rodzaju: „Towarzysze, otrzymaliśmy setki tysięcy listów z poparciem dla polityki kierownictwa skupionego wokół Towarzysza...". Wcześniej w komitetach wojewódzkich przeprowadzano akcję propagandową polegającą na wysyłaniu listów z poparciem do KC. Do propagandy wewnętrznej włączano aktyw partyjny, w praktyce byli to często robotnicy, studenci, nauczyciele czy żołnierze, którzy nie mieli prawa odmowy uczestnictwa w akcji. „Spontaniczne poparcie społeczne" miało przekonywać wodza, że „linia polityczna partii" cieszy się „wielkim społecznym poparciem".

> PO ostatecznie obnażyła swoje korzenie i świat wartości, kiedy w grudniu 2018 r. części zdekomunizowanych ulic w Warszawie przywróciła nazwy z czasów PRL

Propaganda komunistyczna początków lat 50., która uczyła, że „koń polski bierze przykład z konia radzieckiego", prowadziła w stronę absurdu. Tragiczną groteską były w 1952 r. obchody 60. urodzin „małego Stalina" – Bolesława Bieruta. Urodziny, które wypadały 16 kwietnia, już od marca „Trybuna Ludu" poprzedzała wieloma publikacjami o „niezłomnym bojowniku o szczęście ludu polskiego". Akcje „Trybuny" natychmiast podchwytywały inne gazety oraz radio, otwierając całe cykle o życiu i działalności jubilata. Audycje dały początek „spontanicznym" reakcjom słuchaczy w postaci listów i gratulacji pod adresem Bieruta. Poeci, m.in.: Jarosław Iwaszkiewicz, Antoni Słonimski, Wiktor Woroszylski, wydali tom wierszy pt. „Wiersze o Bolesławie Bierucie". W rocznicę urodzin partia nadała imię Bieruta uniwersytetowi we Wrocławiu, a jego studenci i kadra profesorska zobowiązali się do walki o godne reprezentowanie imienia swojego patrona. Studenci w Warszawie zobowiązali się do czynów społecznych. Imię Bolesława Bieruta nadano hucie w Częstochowie i fabryce samochodów w Lublinie. Wiele zakładów przemysłowych zobowiązywało się uczcić urodziny Bieruta wyśrubowanymi wynikami produkcji, inne zobowiązania składały na wsiach gromady wiejskie, a inne czyny podejmowały szkoły. Urodziny prezydenta mobilizowały cały kraj. Prezydenckim imieniem planowano jeszcze uczcić pamięć placu budowanego w stołecznym MDM. Jednak prace wykończeniowe (budowa arkad, kandelabrów, płaskorzeźb, architektonicznych ozdobników) się opóźniały i ostatecznie 22 lipca otrzymał on nazwę sankcjonującą PRL, która pozostała do dziś – pl. Konstytucji. Nazwy placów i ulic były stałym elementem indoktrynacji. Już w 1945 r. warszawskie Aleje Ujazdowskie przemianowano na aleje Stalina, plac Józefa Piłsudskiego stał się placem Zwycięstwa, plac Bankowy zaś zmienił się w plac Feliksa Dzierżyńskiego. Takich zmian dokonywano w całym kraju, w miastach zaroiło się od ulic: Lenina, Marksa, Nowotki, Dzierżyńskiego, Świerczewskiego, Armii Czerwonej, PKWN, 1 Maja czy 22 Lipca. Nie tylko lewica broni dziś tych nazw. Także Platforma Obywatelska ostatecznie obnażyła swoje korzenie i świat wartości, kiedy w grudniu 2018 r. części zdekomunizowanych ulic w Warszawie przywróciła nazwy z czasów PRL, broniąc jednocześnie przywilejów funkcjonariuszy komunistycznych służb. Czy trzeba czegoś więcej, co równie dosadnie mówiłoby, kto jest kim?

eprasa.pl f6df03f8b5

Rycerze generała Maczka

W tym najbardziej polskim z holenderskich miast, jak mawia się o Bredzie, weterani 1 Polskiej Dywizji Pancernej witani są zawsze głośnym aplauzem. 75 lat temu „maczkowcy" dali Niderlandom wolność

MARCIN WIKŁO

Gdy wjeżdżamy na Grote Markt (Duży Rynek) w Bredzie, otaczają nas tysiące mieszkańców miasta. Gwizdy, okrzyki, wreszcie oklaski i śpiewy. Zupełnie jakby przed rozentuzjazmowanym tłumem pojawiła się jakaś gwiazda estrady. W otwartym wojskowym jeepie siedzi kpt. Edmund Semrau. Jest zachwycony przyjęciem Holendrów. Na wielu domach powiewają biało-czerwone flagi. W oknach, podobnie jak 75 lat temu, napisy po polsku: „Dziękujemy wam, Polacy!". Albo okolicznościowe plakaty „Bevrijd door de Polen" (Wyzwoleni przez Polaków). Gra polska orkiestra wojskowa, weterani machają z zabytkowych pojazdów, które w dumnej kawalkadzie jadą pod ratusz. Na jego schodach dowódca polskich pancerniaków gen. Stanisław Maczek przekazał ówczesnemu burmistrzowi miasto po jego wyzwoleniu spod niemieckiej okupacji.

– To były trudne walki. Ale zrobiliśmy, co do nas należało. Był rozkaz „zdobyć miasto". Nie jestem bohaterem, tylko żołnierzem. Żołnierz ma wypełniać rozkazy – opowiada mjr Marian Słowiński. To kolejny z weteranów, którzy na uroczyste obchody przyjechali na zaproszenie Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Jest z nich najstarszy, rocznik 1919. Chętnie opowiada o sobie. – Moja mamunia chciała, żebym został księdzem, ale ja... się zakochałem. W wojsku się zakochałem. Miałem wtedy 15 lat i już wiedziałem, że będę żołnierzem.

Pan Marian mówi, że gdy przyjeżdża do Bredy, ma tylko 75 lat, a nie 100, jak wynika z metryki. Miał bowiem 25 lat, gdy pocisk nieprzyjaciela uderzył w jego czołg. – Właściwie powinienem zginąć, ale wybuch uszkodził tylko gąsienicę – wspomina.

Rocznica wyzwolenia miasta przypada 29 października, ale spotkanie na rynku zorganizowano dwa dni wcześniej, w poprzedzający tę datę weekend, by mogło przyjść więcej ludzi. Tym bardziej że dla Holendrów to naprawdę ważne wydarzenie. Aplauz jeszcze się wzmaga, gdy siedmiu wspaniałych polskich żołnierzy (tylu w tym roku zdołało przyjechać do Bredy) staje na podwyższeniu. Pozdrowienia przesyła wszystkim Roman Figiel, w czasie walk

Zdjęcia M. Czutko

eprasa.pl f6df03f8b5

o Bredę służył w batalionie saperów, torował drogę czołgom, budując i rozminowując mosty. Jakiś mężczyzna z małą dziewczynką na ramionach przeciska się przez gęstniejący tłum, by dziecko mogło wręczyć bohaterowi małe tekturowe serduszko pomalowane w polskie narodowe barwy. Błyskają flesze, z góry widać mnóstwo wyciągniętych rąk ze smartfonami. Każdy chce mieć tę chwilę uwiecznioną dla siebie.

HOLANDIA WAS KOCHA

Podczas oficjalnych obchodów z weteranami spotkał się także król Niderlandów Wilhelm-Aleksander: – Breda was kocha, Holandia was kocha. Nosimy w sercu pamięć o naszych wyzwolicielach. Te więzi nie mogą zostać zerwane, będziecie tu zawsze mile widziani – zapewniał podczas uroczystości, w której uczestniczył także polski prezydent.

Andrzej Duda przypomniał, że na Polskim Honorowym Cmentarzu Wojskowym przy Ettensebaan w Bredzie pochowano szczątki wielu polskich żołnierzy, spoczywa tam także ich dowódca. – Ten cmentarz jest unikalną polską ziemią na ziemiach holenderskich. To każe nam przypomnieć o cenie naszej wolności, ale ponadto wypełnia nas to ogromną nadzieją, że ofiara złożona przez tych bohaterów będzie fundamentem nowej Europy, w której wolne narody będą żyły w duchu przyjaźni, pokoju, szanując się wzajemnie, znając swoją historię, będąc tego świadomym, ale jednocześnie budując wspólną dobrą przyszłość – podkreślił prezydent.

Przy grobie gen. Stanisława Maczka wystawiona jest warta honorowa. Ta mogiła jest z brzegu kwatery, ale krzyż nie jest większy, jest dokładnie taki sam jak u innych żołnierzy. Życzeniem dowódcy, który zmarł w wieku 102 lat w Edynburgu, było być pochowanym wśród swoich towarzyszy broni, ta wola została spełniona. Po wojnie do kraju już nie wrócił. Socjalistyczna Polska pozbawiła go obywatelstwa, na Wyspach Brytyjskich też wiódł żywot daleki od tego, jak wyobrażalibyśmy sobie los tak wielkiego dowódcy. Pracował jako barman w pubie.

Uhonorowanie przychodzi po latach. – To są dla mnie zawsze bardzo wzruszające chwile. Patrzę na te groby, krzyże, tablice z imionami i nazwiskami i tak sobie myślę, jacy oni byli młodzi... I za nas wszystkich oddali swoje życie – mówi nam wzruszony prof. Andrzej Maczek, syn generała. Na pytanie, jakiego generała zachował we wspomnieniach, tylko się uśmiecha. – Dla mnie nie był generałem, to był tato, po prostu. Polskę cały czas trzymał w sercu – opowiada. Ale nie dziwi go, że ojciec chciał być pochowany właśnie tutaj, wśród swoich towarzyszy broni.

11-letni Kuba Silezin składa kwiaty i zapala znicz na grobie prapradziadka kaprala Wawrzyńca Silezina, który poległ podczas wyzwalania Bredy

LIST DO MINISTRA

„Maczkowcy" są pochowani w kilku miejscach niedaleko Bredy i w samym mieście. Dzień rozpoczynamy mszą w kościele św. Wawrzyńca, potem przemarsz z orkiestrą na nekropolię. W dzielnicy Ginneken jest kilkadziesiąt grobów poległych żołnierzy 9 batalionu strzelców, którzy szli wraz z czołgami przez pole walki. Leży tutaj m.in. kpr. Wawrzyniec Silezin. Dzisiaj odwiedza go praprawnuk Kuba. Jedenastolatek przyjechał wraz z tatą na zaproszenie ministra Jana Józefa Kasprzyka. Wcześniej napisał list. Opisał w nim m.in. zasługi dziadka: „W związku ze zbliżającymi się uroczystymi obchodami 75. rocznicy wyzwolenia miasta Breda zwracam się do Pana Ministra z wielką prośbą o pośmiertne uhonorowanie mojego pradziadka, jest zasłużony w walce o wolną Bredę, oddał swoje życie, aby Breda była wolna! (...) Łączę wyrazy szacunku. Jakub Silezin".

– Trudno było się nie wzruszyć i nie zareagować. Zaproszenie tego młodego człowieka było oczywistością – mówi zadowolony minister Kasprzyk. Razem z chłopcem zapalają znicz na grobie kpr. Silezina. Kuba jest pasjonatem historii, uczy się w szóstej klasie w szkole podstawowej w Jaworniku pod Krakowem. Gdy potem rozmawiamy, uderza dojrzałość i staranność w doborze słów u chłopca. – Historię dziadka Wawrzyńca przekazuje się u nas w rodzinie z pokolenia na pokolenie. Pomyślałem, że dobrze byłoby go docenić. Dlatego napisałem ten list – mówi chłopiec. Jest wdzięczny, że może uczestniczyć w obchodach, porozmawiać z weteranami, na własne oczy się przekonać, że Holendrzy naprawdę dbają o pamięć o Polakach, ale jedna sprawa nie daje mu spokoju. W liście do ministra prosił przecież o uhonorowanie dziadka. – Będę musiał do tego tematu wrócić – zapowiada stanowczo.

W delegacji z Polski są także uczniowie innych szkół. SP nr 3 im. 10 Pułku Strzelców Konnych (w okresie walk na froncie zachodnim był pułkiem rozpoznawczym 1 Dywizji Pancernej gen. Maczka) w Łańcucie reprezentuje uczennica ósmej klasy Karolina

eprasa.pl f6df03f8b5

Władyka. Mówi, że historia jest pasjonująca, ale jednocześnie bardzo trudna, gdy wiedzę trzeba czerpać tylko z podręczników. Wyprawa taka jak ta, to żywa lekcja z weteranami, którzy mimo wielu ciężkich momentów w życiu zarażają wprost optymizmem. – Gdy składałam kwiaty w imieniu mojej szkoły, czułam dumę, że to właśnie ja mogę brać udział w tej dostojnej uroczystości – opowiada dziewczynka. Rozmawiamy także z jej ojcem, Robertem Władyką, 48-letnim informatykiem. To, co robi zawodowo, jest bardzo dalekie od tematów historycznych i patriotycznych, ale ma w życiu jeszcze ważniejszą rolę – ojca, i tutaj już te tematy się często pojawiają. – Mam trójkę dzieci, dużo rozmawiamy. Zawsze mówię im, że kiedy staną w życiu przed wyborem, by starali się wybrać dobro. Tak jak ci wspaniali bohaterowie, z którymi możemy się tutaj spotkać – mówi Robert.

Wnuczka Karolina i syn Andrzej na grobie dowódcy 1 Polskiej Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka

KTO BĘDZIE PAMIĘTAŁ

Kilkanaście kilometrów od Bredy położona jest gmina Oostehout, tutaj także jest Polski Honorowy Cmentarz Wojskowy i groby maczkowców. – Oni oddali życie za naszą wolność, upamiętniamy ich czyny z wielką wdzięcznością. (...) bardzo dziękujemy naszym polskim przyjaciołom za ich poświęcenie 75 lat temu, nigdy tego nie zapomnimy – mówił wyraźnie wzruszony burmistrz gminy Oosterhout Mark Buijs. Analizując historyczne przekazy, można lepiej zrozumieć to, że Holendrzy naprawdę mają za co dziękować polskim żołnierzom. – Dowódcy alianccy preferowali skuteczność, ale często zapominali o skutkach ubocznych swych działań. Zdarzało się, że w dążeniu do pokonania przeciwnika i zniszczenia jego sił, alianci potrafili stosować taktykę spalonej ziemi. Generał Stanisław Maczek i jego żołnierze postępowali inaczej. Generał nakazał swoim żołnierzom bić się twardo, ale po rycersku. Bredę i inne miasta tutaj w Niderlandach zajęto szybko i z zaskoczenia, unikając niepotrzebnych strat i oszczędzając te piękne miasta – mówi minister Kasprzyk.

Przyjechały tutaj osoby nie tylko z Polski. Iwona Januszajtis mieszka pod Londynem, u gen. Maczka służył jej dziadek Jerzy Żegota-Januszajtis. Był fotoreporterem, to jemu zawdzięczmy niezwykłe relacje filmowe. W internecie można obejrzeć dokument „Idziemy", już w napisach początkowych autor zaznaczył, że film „powstał w ogniu walki".

Do rozmowy włączają się panie ze Stowarzyszenia Rodzin 1 Polskiej Dywizji Pancernej. Jolanta Gawlicka jest tutaj po raz pierwszy. Rozmach, z jakim obchody przygotowali Holendrzy, robi na niej wrażenie. – Jest mi tylko przykro, że mój tato, Hieronim Stański, który tutaj walczył, nie dał rady nigdy przyjechać na uroczystości – mówi. – To jest naprawdę wspaniałe, jak Holandia o nich pamięta. Przed nami ważne zadanie, by ta pamięć trwała także w Polsce i wśród młodych Polaków – dodaje Joanna Wielgat, prezes stowarzyszenia.

Gdy wszyscy się rozchodzą, widzę mężczyznę, który opowiada coś trójce dzieci. To Maciej Kępka, inżynier, który od 10 lat mieszka i pracuje w Hadze. – To niespełna godzina drogi stąd, przyjechaliśmy więc na wycieczkę – opowiada. Wraz z żoną Martą i maluchami: Aleksandrą, Mateuszem i Wojtkiem, co roku starają się przyjechać do Polski, by utrzymywać więź z krajem. W te wakacje się nie udało, więc postanowili, że pokażą dzieciom miejsca w Holandii, które wiążą się z ojczyzną. No i przyjechali.

CZARNE DIABŁY

Wszystkie miłe słowa, które słyszymy w Bredzie podczas uroczystości, to nie jest tylko kurtuazja zawarta w oficjalnych przemówieniach. Polacy mają tutaj naprawdę znakomitą opinię. Towarzyszący nam weterani: kpt. Jan Brzeski, por. Eugeniusz Niedzielski-Nead, kpt. Wacław Butowski, por. Alojzy Jedamski czy mjr Janusz Gołuchowski, mimo dostojnego wieku chętnie rozmawiają z każdym, kto jest ciekaw ich wspomnień. Tematy? Różne, bardzo różne. Wspomnienia, czyj czołg wpadł do kanału, kto pomagał go wyciągać. Swoista licytacja, komu po wkroczeniu do wyzwolonego miasta kwiaty wręczyła piękniejsza dziewczyna. No i sprawy dla pancerniaków zasadnicze „Słuchaj, a ten twój sherman to jaki miał silnik?".

Nie dziwi nas, że panowie mają tak doskonałe humory. Szlak bojowy 1 Polskiej Dywizji Pancernej, czasem niestety naznaczony śmiercią kolegów, to było pasmo militarnych sukcesów. Zwycięski marsz wiódł przez północną Francję, Belgię i Holandię. 4 maja 1945 r. dywizja dotarła do bazy Kriegsmarine w Wilhelmshaven. Z powodu koloru płaszczy i naramienników, ale także ze względu na wyjątkową zaciekłość w walce zarówno wrogowie, jak i sprzymierzeńcy nazywali ich „czarnymi diabłami".

Jan Józef Kasprzyk, szef UdKiOR, podczas uroczystości w Bredzie powiedział: – Tu na grobie waszego niezwyciężonego dowódcy, tu na grobach waszych kolegów możemy wam ślubować, że będziemy zawsze wierni tym wartościom, za które przelewaliście krew. Że zawsze, tak jak wy, będziemy stali po stronie dobra. (...) Chwała wam, bohaterowie, rycerze wolności! Chwała wam, bohaterowie Polski, Europy i świata!

39/1019/F

eprasa.pl f6df03f8b5

TAURON

LOTERIA

Wygraj **100 000 zł**

lub jedną ze stu nagród po **1000 zł**

- Zaloguj się do serwisu **mojtauron.pl**
- Kliknij w baner o loterii, który znajdziesz pod sekcją „Moje umowy"
- Wypełnij i wyślij zgłoszenie

Masz Mój TAURON, masz szczęście!

Stabilna i wiarygodna firma.

mojtauron.pl

eprasa.pl f6df03f8b5

Wszystkie grzechy Trumpa

Partia Demokratyczna jest zdeterminowana, by doprowadzić do impeachmentu prezydenta USA Donalda Trumpa. W końcu wybory tuż za rogiem, a u demokratów nie tylko brak jednoznacznego lidera, lecz także skręcili wyraźnie w lewo, co może ułatwić Trumpowi reelekcję

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Donald Trump to bez wątpienia najbardziej znienawidzony przez liberalne elity prezydent w historii USA. Pismo „The Atlantic" nazwało go – w specjalnym, poświęconym tylko jemu wydaniu – „demagogiem, ksenofobem, seksistą, ignorantem i kłamcą". „Możliwe, że pisząc to, popełniliśmy grzech niedopowiedzenia" – czytamy w odredakcyjnym komentarzu. Trump to urzeczywistniony koszmar lewicy, który jej zdaniem powinien zniknąć jak najszybciej. Najlepiej zanim uda mu się – broń, Boże – uzyskać reelekcję dzięki tym samym ignorantom z prowincji, którzy wybrali go w 2016 r. W celu pozbycia się znienawidzonego prezydenta kompleks polityczno-medialny demokratów wytoczył najcięższe działa. Od rzekomych powiązań z Rosją po skandale obyczajowe – szukanie haków trwa nieprzerwanie.

Były doradca Trumpa i jeden z autorów jego strategii wyborczej Steve Bannon ukuł pojęcie tzw. deep state, określające ukrytą, realną władzę opierającą się na korupcyjnej sieci w amerykańskiej administracji – od kompleksu militarnego po służby specjalne. Ten kompleks miał się sprzymierzyć z wrogami prezydenta, by go zdyskredytować i pozbawić tym samym władzy. Liberalne media w USA wyśmiały Bannona. Według nich Trump sam jest sobie winien, że jest atakowany, bo nie omija żadnej gafy, jest narcystyczny i zadufany w sobie. Nawet republikanie nie rozumieją niektórych jego politycznych decyzji – jak zielone światło udzielone Turcji do przeprowadzenia ofensywy w Syrii przeciwko dotychczasowym sojusznikom USA – Kurdom. Impeachment Trumpa ich zdaniem jest zasadny i tak naprawdę powinno do niego dojść już dawno temu.

Na pewno jest on zwieńczeniem trwających od trzech lat starań, by doprowadzić do upadku enfant terrible amerykańskiej polityki. Przyjrzyjmy się najważniejszym grzechom przypisywanym Trumpowi.

1. *Russiagate*

Donald Trump i Władimir Putin. Armia rosyjskich trolli i hakerów. Oszukana kandydatka demokratów Hillary Clinton. Miliony naiwnych amerykańskich wyborców sprowadzonych na manowce w mistrzowsko ukutym amerykańsko-rosyjskim spisku. Gdy wszystkie mainstreamowe media oraz sondaże wieszczyły zwycięstwo Clinton. Nie, CNN, MSNBC, ABC News, „New York Times" i „Washington Post" nie mogą się mylić. To musiał być spisek. Inaczej nikt przy zdrowych zmysłach na Trumpa by nie głosował. Oto narracja, która zdominowała amerykańskie media przez ostatnie trzy lata.

W maju 2017 r. uruchomiono w tej sprawie oficjalne śledztwo pod kierownictwem specjalnego prokuratora Departamentu Sprawiedliwości Roberta Muellera, po tym jak ówczesny szef Wywiadu Narodowego, nominowany przez Baracka Obamę James Clapper zasugerował, że prezydent Rosji „osobiście kazał przeprowadzić kampanię w celu dyskredytowania Hillary Clinton oraz procesu elektoralnego w USA". Muellerowi nie udało się jednak udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że istniała zmowa między sztabem wyborczym Trumpa a Kremlem. Choć zatrudnił w tym celu 19 prawników i 40 byłych pracowników FBI oraz przesłuchał ponad 500 świadków. Koszt dochodzenia wyniósł aż 34 mld dol. Rosyjsko-amerykański spisek okazał się najdroższym fake newsem w historii. Co oznacza, że Clinton przegrała wybory w sposób tradycyjny. Nie udało jej się przekonać do siebie rzeszy białych Amerykanów klasy średniej, którzy od kontynuacji prezydentury Obamy pod innym szyldem woleli „make America great again". Jak podkreślił prokurator generalny William Barr, który nadzorował śledztwo Muellera, Rosja rzeczywiście usiłowała ingerować w wybory prezydenckie za oceanem w 2016 r. Poprzez kampanie dezinformacyjne, zhakowanie kont emailowych Narodowego Komitetu Demokratów oraz członków sztabu wyborczego Clinton i publikowanie tych maili na portalu Wikileaks. Jednak nie ma żadnych dowodów na to, że czyniła to w zmowie z Trumpem i jego sztabem.

2. *Molestowanie seksualne*

Jeszcze w trakcie kampanii wyborczej w 2016 r. wiele kobiet oskarżyło Trumpa o to, że bez ich zgody obmacywał je i całował. Jest ich w sumie 23, a oskarżenia dotyczą incydentów, które miały miejsce po części bardzo dawno temu, a o których

eprasa.pl f6df03f8b5

kobiety przypomniały sobie dopiero w chwili, gdy ich rzekomy oprawca starał się o najwyższy urząd w państwie.

Oskarżenia pojawiły się po tym, jak do mediów wyciekło nagranie, na którym Trump chwali się w rozmowie z prowadzącym program „Access Hollywood" Billym Bushem, że kobiety „pozwolą mu na wszystko" i „może je łapać za cycki" oraz całować, bo jest „gwiazdą". Nagranie pochodzi z 2005 r., ale idealnie wpasowało się w atmosferę kampanii #MeeToo, nabierającej wówczas tempa za oceanem. Pierwsza zgłosiła się bizneswoman Jessica Leeds, która twierdziła, że Trump molestował ją w 1980 r. w samolocie, gdy on miał 24 lata, a ona 38. Była recepcjonistka Trump Tower na Manhattanie Rachel Crooks utrzymywała zaś, że miliarder pocałował ją w 2005 r. wbrew jej woli w usta. Kolejna, Mindy McGillivray, powiedziała gazecie „New York Times", że Trump złapał ją za pośladki w swojej posiadłości w Mar-a-Lago w 2006 r. Pojawiły się jednak także poważniejsze oskarżenia. Pisarka E. Jean Carroll powiedziała w wywiadzie udzielonym „New York Magazine", że Trump zgwałcił ją w 1995 lub 1996 r. w przebieralni domu towarowego w Nowym Jorku. Według „BuzzFeed News" Trump miał także zgwałcić 13-latkę w 1994 r. w apartamencie Jeffreya Epsteina, miliardera i skazanego pedofila. Jak pisze portal Jezebel, domniemana ofiara Trumpa przez rok starała się o „wepchnięcie tej informacji do mediów", jednocześnie zaskarżając obu miliarderów do sądu. „Chodzi o pieniądze, duże pieniądze" – czytamy. Kobieta zatrudniła profesjonalną ekipę, z szefem PR erotycznego muzeum w Las Vegas na czele. Trump odpiera wszystkie zarzuty. Według niego chodzi o to, by „zniszczyć jego reputację". E. Jean. E Carroll – jak dodał – nigdy nie poznał, a pozostałe incydenty po prostu się nie zdarzyły.

Broniła go także jego małżonka Melania. Utrzymywała, że rewelacje w mediach na ten temat to rezultat akcji podjętej przez sztab kampanii Hillary Clinton, aby go skompromitować. Pani Trump sugerowała, że jej mąż nie napastował kobiet, tylko one same narzucały mu się, licząc, być może, na otrzymanie pracy. Trump zagroził procesem wszystkim kobietom, które go oskarżyły o molestowanie seksualne. Jak na razie ich nie pozwał, ale także one nie były w stanie udowodnić swoich oskarżeń. Posłużyły one jednak demokratom w czasie kampanii do tego, by osłabić poparcie dla Trumpa wśród kobiecego elektoratu. Michelle Obama wygłosiła nawet przemówienie o doświadczeniu seksizmu wśród kobiet.

3. *Stormy Daniels*

Czyli aktorka porno i pieniądze za milczenie. Wszystko zaczęło się od publikacji „Wall Street Journal". W połowie stycznia 2018 r. dziennik pisał, że tuż przed wyborami prezydenckimi adwokat nowojorskiego magnata Michael Cohen zawarł ugodę z występującą w filmach dla dorosłych aktorką Stormy Daniels. Za rekompensatę w wysokości 130 tys. dol. zgodziła się ona nie ujawniać, że współżyła w 2006 r. z kandydatem republikanów na prezydenta. Cohen niedługo potem trafił na trzy lata do więzienia, m.in. za oszustwa podatkowe. Aktorka porno natomiast zwietrzyła możliwość zarobienia jeszcze więcej pieniędzy i rozpoczęła starania o unieważnienie umowy zawartej z Trumpem, bo jej „nigdy nie podpisała", tylko „zrobił to Cohen". W końcu 130 tys. dol. to nic w porównaniu z milionami zysków z ewentualnej książki o romansie z prezydentem USA, z programów telewizyjnych, a może nawet filmu. Daniels natychmiast zmieniła nazwę swojego

Fot. Evan El-Amin/Shutterstock.com

epraso.pl/fodlosten

rozbieranego tournée po stripklubach na „Przywrócić Ameryce jurność" (parodia sloganu Trumpa „Przywrócić Ameryce wielkość"). Prezydent twierdzi, że nie miał romansu z Daniels, a zapłacił jej za milczenie, by chronić swoją rodzinę przed „jej fałszywymi oskarżeniami". Demokraci natomiast zwietrzyli szansę na to, by zmniejszyć poparcie dla Trumpa wśród chrześcijańskiego elektoratu. Wątek aktorki porno łączy się tu z wątkiem o molestowaniu seksualnym: Trump to seksista, który nie szanuje kobiet i notorycznie zdradza żonę. Ale tło jest poważniejsze. Po Daniels pojawiła się bowiem była modelka „Playboya" Karen McDougal, która także miała mieć romans z Trumpem i otrzymać pieniądze za milczenie. Z kampanijnej kasy, a to byłoby przestępstwem. We wrześniu br. prokuratura w Nowym Jorku wznowiła śledztwo w tej sprawie, a demokraci liczą, że zaowocuje ono formalnym oskarżeniem prezydenta, nawet jeśli tylko za wykroczenie, czyli złe zaksięgowanie pieniędzy.

> W celu pozbycia się znienawidzonego prezydenta demokraci wytoczyli najcięższe działa. Od rzekomych powiązań z Rosją po skandale obyczajowe – szukanie haków trwa nieprzerwanie

4. *Afera ukraińska, czyli Joe Biden i Wołodymyr Zełenski*

Afera o wiele większego kalibru niż starania o zrobienie z Trumpa seksualnego zboczeńca na miarę Harvy'ego Weinsteina. 25 lipca 2019 r. Trump przeprowadził rozmowę z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim, podczas której miał namawiać go do przeprowadzania dochodzenia w sprawie działalności na Ukrainie byłego wiceprezydenta Joego Bidena i jego syna Huntera Bidena. Joe Biden jest najbardziej prawdopodobnym kandydatem Partii Demokratycznej w nadchodzących wyborach prezydenckich w 2020 r. Rozmowa wyciekła do mediów za sprawą sygnalisty (zapewne pracownika CIA), który miał się dowiedzieć o jej treści „od innych osób w administracji". Jak ujawniły amerykańskie media na czele ze stołecznym „The Washington Post", Trump przynajmniej na tydzień przed rozmową z Zełenskim polecił zamrozić amerykańską pomoc militarną dla Ukrainy w wysokości prawie 400 mln dol. Warunkiem jej odmrożenia miało być wznowienie śledztwa w sprawie gazowej spółki Burisma. W jej zarządzie zasiadał m.in. Hunter Biden. Demokraci oskarżają Trumpa o to, że wywierał naciski na Zełenskiego w sprawie Burismy, a tym samym zabiegał o ingerencję obcego państwa w wybory w USA. Z opublikowanego przez Biały Dom zapisu rozmowy nie wynika jednak, by prezydent USA wywierał naciski. Raczej sformułował prośbę o wznowienie śledztwa, by – jak stwierdził później na Twitterze – „pomóc w zwalczaniu korupcji na Ukrainie". Niemniej jednak stało się to podstawą do rozpoczęcia przez demokratów przygotowań do wszczęcia procedury impeachmentu. Problem w tym, że nikt nie zna dokładnej treści rozmowy Trumpa z Zełenskim (nie ma stenogramu), a w raporcie sygnalisty – jak twierdzi resort sprawiedliwości USA – „nie ma nic ponad zbiór relacji z trzeciej ręki i sklejonych razem wycinków prasowych". Prokuratorskie postępowanie w sprawie Burismy jest więc jak najbardziej uzasadnione. Celuje ono w Serhija Kurczenkę, który był uważany za jednego z głównych skarbników reżimu Janukowycza – jak pisze rosyjska „Nowaja Gazieta". Właścicielem Burisma Holdings jest Mykoła Złoczewski, były minister ds. ekologii i zasobów naturalnych za prezydentury Janukowycza. W przeszłości sprzedał on Kurczence bazę przeładunku ropy naftowej w Chersoniu na południu Ukrainy. „Śledczy uważają, że zakupu dokonano przy użyciu pieniędzy uzyskanych [przez Kurczenkę] drogą przestępstwa, [...] zaś Złoczewski wykorzystał je na wypłaty dla członków rady dyrektorów Burismy" – pisze rosyjska gazeta. Między innymi 3,4 mln dol. trafiło na konto firmy Rosemont Sebeca, która reprezentowała interesy Huntera Bidena.

Pytanie więc, czy próba impeachmentu ma szanse na sukces. Potrzebne są dowody, a co za tym idzie demokraci, ze spiker Izby Reprezentantów Nancy Pelosi na czele, muszą przesłuchać świadków. To nie będzie łatwe. Dopiero kiedy dowody się znajdą i będą przekonujące, na forum Izby odbędzie się głosowanie, czy sądzić prezydenta. Senat (gdzie większość obecnie mają republikanie) będzie odgrywał przy tym rolę ławy przysięgłych, a rolę sędziego – prezes Sądu Najwyższego USA. Możliwe, że cały proceder Trumpowi zaszkodzi, ale równie możliwe, że dzięki temu będzie on mógł odegrać rolę ofiary trwającej od lat nagonki, i to z sukcesem. Do tej pory tylko dwóch prezydentów Stanów Zjednoczonych zostało poddanych impeachmentowi, czyli postawionych przed sądem Kongresu: prezydent Andrew Johnson (1865–1869) i prezydent Bill Clinton (1993–2001). Obaj zostali uniewinnieni przez Senat i sprawowali urząd prezydenta do końca kadencji. Richard Nixon natomiast w 1974 r. złożył rezygnację, zanim Izba Reprezentantów zdołała przedstawić mu zarzuty. Można więc przypuszczać, że i tym razem próba impeachmentu skończy się porażką. Demokratom chodzi więc nie tyle o to, by złapać króliczka, ile o to, by go gonić. Medialne wałkowanie i zmuszenie prezydenta do odpowiadania na pytania śledczych (jak najbardziej publiczne). Może i nic z tego nie wyniknie, ale niesmak i podejrzenie nieczystej gry pozostanie. Może na tyle, że przegra on wybory w 2020 r. Przy okazji – tak kalkuluje ewidentnie Pelosi – impeachment zmobilizuje skłóconych i dryfujących coraz bardziej na lewo demokratów.

eprasa.pl f6df03f8b5

Rosyjskie eksperymenty z genetyką

Dziennikarze najstarszego światowego pisma poświęconego nauce „The Nature" w czerwcu wystąpili z alarmistycznym apelem. Dlaczego? Stało się to po tym, jak rosyjski naukowiec Denis Rebrikow udzielił im wywiadu. Redakcja wezwała światową społeczność do działania, bo już niedługo może być za późno. „Czas jest najważniejszy" – napisano. O co chodzi? Co tak wzburzyło redakcję?

MAREK BUDZISZ

Rosyjski naukowiec zdradził, że chce przed końcem roku, najprawdopodobniej w październiku lub listopadzie, rozpocząć eksperyment, który ma doprowadzić do narodzin dzieci o zmodyfikowanym, na poziomie embrionalnym, kodzie genetycznym. Chodzi o zastosowanie technologii CRISPR-Cas9, tej samej, którą posłużył się chiński naukowiec He Jiankui, doprowadzając do narodzin, jesienią 2018 r., pierwszego w historii ludzkości dziecka, którego kod genetyczny został zmieniony.

Celem zabiegu, do którego najprawdopodobniej dojdzie w Rosji, ma być wyeliminowanie uszkodzenia kodu genetycznego występującego u niektórych głuchych rodziców, powodującego, że ich dziecko również jest niesłyszące. Różnica między tym, co się stało w Chinach, a tym, co może się wydarzyć w Rosji, sprowadza się nie tylko do skali. Rosyjskie przedsięwzięcie jest wyraźnie ambitniejsze, bo Rebrikow poinformował, że jego zespół wyłonił już pięć małżeństw, które wezmą udział w eksperymencie, ale nie to jest najważniejsze. Chiński naukowiec działał potajemnie i na własną rękę, a chińskie władze oficjalnie potępiły jego eksperymenty. Rebrikow natomiast dysponuje sporym zespołem naukowym, budżetem i, odmiennie niźli He Jiankui, o którego losie po tym, jak został skrytykowany przez władze, nic nie wiadomo, najwyraźniej cieszy się poparciem najwyższych władz w Rosji.

eprasa.pl f6df03f8b5

JAK BOMBA ATOMOWA

O tym, że sprawa jest traktowana w Rosji niezwykle poważnie, świadczą też inne informacje ujawnione niedawno przez Bloomberga. Otóż pod koniec lipca odbyła się w Moskwie narada naukowców z dziedziny biologii, medycyny i genetyki, w której wzięła udział Maria Woroncowa, o której rosyjskie media piszą, że jest córką Władimira Putina. Woroncowa na mocy prezydenckiego dekretu wiosną tego roku weszła w skład Rady ds. Genetyki. Jest to 30-osobowy zespół, którego zadaniem jest nadzór nad rządowym programem badań genetycznych, na który rosyjskie władze zamierzają wydać w latach 2019–2027 ok. 20 mld dol. Jak powiedział premier Miedwiediew w trakcie uroczystości związanych z uruchomieniem programu, jego celem będzie „rozwój technologii genetycznych związanych z tak zwanym redagowaniem genetycznym", innymi słowy, modyfikowaniem ludzkiego genomu, czyli dokładnie tym, czym zajmuje się w swym laboratorium Denis Rebrikow.

W trakcie lipcowego spotkania, które odbyło się w moskiewskim Naukowym Centrum ds. Genetyki, grupa zaniepokojonych naukowców, jak powiedział dziennikowi ekonomicznemu RBC akademik Andriej Lisica, przez trzy godziny próbowała przekonać córkę Putina, że zapowiedziane przez Rebrikowa eksperymenty są bardzo groźne. Sam Rebrikow zresztą w jednym z wywiadów prasowych porównywał to, nad czym pracuje, do programu budowy bomby atomowej.

W gronie kilkudziesięciu naukowców, którzy uczestniczyli w zgromadzeniu, byli też zwolennicy prac nad zaawansowanymi technikami inżynierii genetycznej, więc nie doszło do żadnych konkluzji. Sama Woroncowa miała unikać jednoznacznego stanowiska. Jak powiedział mediom jeden z uczestników spotkania, wyraziła ona tylko opinię, że „nie można zatrzymać postępu nauki", a jedynie należy zadbać o to, aby inżynieria genetyczna nie stała się polem aktywności komercyjnych firm prywatnych i podlegała ścisłej kontroli państwa.

Radio Swoboda zauważa, że – mimo relatywnie młodego wieku – 43-letni Rebrikow, będąc już prorektorem Moskiewskiego Uniwersytetu Medycznego, jest człowiekiem mającym spore wpływy w rosyjskich elitach. Jak sam powiedział w wywiadzie, „nie boi się nikogo". Dziennikarze Bloomberga są zdania, że jest on protegowanym Giennadija Suchicha, rosyjskiego akademika, specjalisty z dziedziny biologii komórkowej, medycyny i genetyki, który jeszcze za czasów Jelcyna opracował na potrzeby Kremla metodę „terapii komórkowej", po której zastosowaniu następował „efekt odmłodzenia" poddających się jej wysokich rangą rosyjskich polityków.

> Światowa Organizacja Zdrowia dąży do poddania eksperymentów genetycznych jednolitym i akceptowalnym na całym świecie regułom, ale jej wytyczne nie zostaną opublikowane przed 2020 r.

W lipcowej rozmowie z dziennikarzami agencji RIA Nowosti Rebrikow uspokaja, mówiąc, że on i jego współpracownicy „opracowali metody pozwalające w sposób prawidłowy ocenić obecność lub brak niepożądanych mutacji w komórkach ze zredagowanymi DNA". W jego opinii pierwsze wyniki eksperymentów w tym zakresie są obiecujące. Rosyjski biolog molekularny i genetyk deklaruje, że planuje „powtórzenie eksperymentu jeszcze przynajmniej dwa razy" po to, aby potwierdzić, że opracowana przez jego zespół metoda nie ma „skutków ubocznych".

Rebrikow dodaje, że udało mu się stworzyć unikatowy zespół złożony z naukowców o różnych specjalizacjach z najbardziej renomowanych ośrodków naukowych, takich jak Narodowy Medyczny Uniwersytet Badawczy im. Pirogowa i Narodowe Centrum Położnictwa i Neonatologii. W jego skład wchodzą lekarze, bioinformatycy, specjaliści w zakresie zapłodnienia pozaustrojowego, eksperci w zakresie biologii molekularnej.

Zespół pracuje już trzy lata, ale o jego dokonaniach i dorobku niewiele publicznie wiadomo. Z tego powodu, że opublikował dopiero jeden artykuł na temat prowadzonych badań, zresztą w periodyku naukowym, którego redaktorem naczelnym jest sam Rebrikow.

MILIARD NA NOWĄ ARKĘ

Sergiej Kuciew, dyrektor rosyjskiego Centrum Naukowego Medycyny Genetycznej i jednocześnie jeden z głównych krytyków Rebrikowa, jest zdania, że używana przezeń technologia „poprawiania" kodu genetycznego, określana mianem CRISPR-Cas9, nie daje gwarancji, iż nie zostaną uszkodzone sąsiadujące z modyfikowanymi komórki, co w efekcie może spowodować nieodwracalne defekty. Trudno też powiedzieć coś więcej na temat skutków ubocznych używania technologii „drukowania" kodu genetycznego, jako że na świecie opublikowano dopiero jedną pracę opisującą jej kliniczne efekty, na dodatek opartą tylko na jednym przebadanym przypadku.

Kuciew, który jest również szefem komitetu etycznego działającego przy rosyjskim Ministerstwie Zdrowia, zwraca uwagę jeszcze na to, że nie ma potrzeby eksperymentowania z ludzkim kodem genetycznym, zwłaszcza w sytuacji, kiedy stosowane procedury lecznicze dają dobre wyniki.

Rosyjscy dziennikarze opisują też uruchomiony pod auspicjami moskiewskiego Uniwersytetu im. Łomonosowa projekt pod nazwą „nowa arka", na którego realizację budżet wyłoży ponad miliard rubli. Polega na zbudowaniu „biblioteki" próbek biologicznych wszystkich ziemskich żywych organizmów. Ma on, jak reklamowały władze, być zasobem materiałów do niezbędnych badań, w tym genetycznym, dzięki czemu będzie można wynaleźć wiele nowatorskich leków oraz, jak napisano

eprasa.pl f6df03f8b5

na oficjalnej stronie Fundacji Nauki Rosyjskiej, która finansuje przedsięwzięcie, „przedłużyć życie człowieka i zbliżyć się do nieśmiertelności”.

Oczywiście, o ile w tych badaniach nie chodzi w istocie o coś więcej niźli leczenie znanych schorzeń i wad rozwojowych, walkę z epidemiami i troskę o długie życie obywateli Federacji Rosyjskiej.

MILITARNE ZASTOSOWANIE

Pod koniec 2017 r. w trakcie posiedzenia kremlowskiej Rady ds. Praw Człowieka Władimir Putin, ku zaskoczeniu zgromadzonych, powiedział, że jest zainteresowany przyczynami, dla których naukowcy zbierają „materiał biologiczny” u przedstawicieli różnych narodowości zamieszkujących Federację Rosyjską. Nieco później Dmitrij Pieskow, rzecznik Kremla, komentując wystąpienia swego szefa, powiedział, że „rosyjskie służby specjalne dysponują potwierdzeniem tego, iż zagraniczni emisariusze zbierają w Rosji biomateriał”. Słowa te spowodowały lawinę spekulacji na temat możliwości produkcji broni genetycznej, przy której użyciu zaatakowana może być ludność zamieszkująca Rosję, ale również, zapewne wbrew intencjom Kremla, potwierdziły jego zainteresowanie militarnym zastosowaniem genetyki.

Igor Nikulin, rosyjski ekspert, o przygotowywanie nowego pokolenia „broni biologicznej” oskarża Stany Zjednoczone, które jeszcze w latach 90. uruchomiły program „Genom człowieka”. Militarne zastosowania badań genetycznych są jego zdaniem olbrzymie. Wystarczy – dowodzi – w odpowiedni sposób zmodyfikować kody wirusów znanych chorób, wprowadzając w charakterze „markerów” specyficzne cechy danej populacji, a wtedy to właśnie ją będą one przede wszystkim atakowały.

Myśl o możliwym militarnym zastosowaniu badań w dziedzinie genetyki musiała zaintrygować Władimira Putina, bo rok później na plenarnym posiedzeniu Klubu Wałdajskiego, wpływowego rosyjskiego think tanku, zdecydował się ponownie poruszyć tę kwestię. Przestrzegł Zachód przed produkcją „preparatów, które wpływają na kod genetyczny człowieka i w drugim lub trzecim pokoleniu mogą zmienić jego naturę”. Mimo że rosyjscy naukowcy teorie o możliwości produkcji broni genetycznej uważają za wytwór fantazji, z naukowego punktu widzenia nie do zrealizowania, Putin swe wystąpienie, które sprowadzało się do straszenia Zachodu, opatrzył uwagą, że jeśli chce on wyprodukować „broń genetyczną”, to musi pamiętać, iż „inni też będą się tym zajmować”.

W lutym tego roku rosyjski prezydent, jak informuje Agencja TASS, zapowiedział znaczne nakłady z budżetu państwa na badania naukowe, które mają doprowadzić do tego, że „Rosja do 2025 r. stanie się jednym ze światowych liderów w dziedzinie badań genetycznych oraz prac nad sztuczną inteligencją”.

REKLAMA

49/0819/F

eprasa.pl f6df03f8b5

Impas w Donbasie

Próba wyrwania Ukrainy z impasu wokół wojny w Donbasie się nie powiodła. To bez wątpienia pierwsza poważna porażka polityczna prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, który (jak się zdaje) nieco naiwnie wierzył w przełom, jaki miał być dziełem jego nowej strategii

JAN ROKITA

O ile bowiem były prezydent Ukrainy Petro Poroszenko skupiał się na systematycznym piętnowaniu Moskwy i apelach o solidarność Zachodu, o tyle Zełenski spróbował podjąć dyplomatyczną grę z Władimirem Putinem, w nadziei na znalezienie jakiegoś minimalnego modus vivendi co do przyszłości Doniecka i Ługańska. W sytuacji Zełenskiego próba taka zresztą była polityczną koniecznością, skoro w kampanii wyborczej obiecał, iż wie, jak przekonać rosyjskiego przywódcę co najmniej do przerwania działań wojennych na ukraińsko-rosyjskim pograniczu, tak by w końcu przestali tam ginąć młodzi Ukraińcy. Trwanie obecnego impasu jest dla Ukrainy prawdziwym utrapieniem. Wedle zbiorczych danych, jakie ostatnio przedstawił ukraiński portal Unian, w ciągu pięciu lat przewlekłego konfliktu Ukraina utraciła 1/3 terytoriów obwodów donieckiego i ługańskiego, 4 tys. ukraińskich żołnierzy i 13 tys. cywilów, 100 tys. opuściło domy i stało się uchodźcami.

Zełenskiego pomysł na choćby przejściowy kompromis wiązał się z wyborami, jakie na oderwanych terytoriach republik ługańskiej i donieckiej miałyby być przeprowadzone pod nadzorem OBWE. Pomysł był taki, że jeśli Zachód by uznał, iż wybory były uczciwe, to w zamian Ukraina nadałaby tym terenom głęboką autonomię. Owa ukraińska zgoda na autonomiczny status terenów dzisiaj de facto od Ukrainy oderwanych jest od dawna najważniejszym żądaniem Moskwy i zarazem rosyjskim zarzutem wobec Kijowa, iż ten nie wywiązuje się ze zobowiązań, jakie podjął w umowie mińskiej z 5 września 2014 r. Najwyraźniej Kreml zakłada, że tego rodzaju ustępstwo, wpisane na dodatek (jak chce Putin) do ukraińskiej konstytucji, byłoby czymś w rodzaju legitymizacji samodzielności tych republik. Czyli przynajmniej w miękkim sensie uznaniem skutków rosyjskiej inwazji i skoordynowanej z nią zbrojnej rebelii, wywołanej na zlecenie Moskwy w 2014 r.

Zełenski zgodził się na takie warunki, a jego przedstawiciel w tzw. normandzkiej grupie kontaktowej (czyli wysłanników Niemiec, Francji, Rosji i Ukrainy) – były prezydent Leonid Kuczma – potwierdził to 1 października swoim podpisem. W politycznym żargonie akt ów został nazwany formułą Steinmeiera, gdyż swego czasu podobne rozwiązanie proponował obecny prezydent Niemiec. Tego samego dnia Zełenski przedstawił tę koncepcję podczas wystąpienia w Kijowie. Ukraiński prezydent liczył, iż to ustępstwo wobec Moskwy, połączone jeszcze ze zgodą na cofnięcie się sił ukraińskich w dwóch punktach obecnej linii frontu (Zołotoje i Pietrowskoje), pozwoli mu w końcu

eprasa.pl f6df03f8b5

doprowadzić do odkładanego paryskiego spotkania z Putinem, Merkel i Macronem, z którego wynikiem Zełenski wydawał się wiązać jakieś całkiem nadzwyczajne nadzieje. Ale Kreml w ogóle nie planował tego rodzaju szczytu, nie chcąc zapewne takiej sytuacji, w której Putin – wchodząc w bezpośredni spór z Merkel i Macronem – miałby znów popsuć sobie odbudowywane z takim trudem dobre relacje z Europą. Wykonano więc kilka drobnych ruchów mających zaostrzyć sytuację. Rebelianci wywołali strzelaninę w obu punktach, gdzie Ukraińcy mieli się cofnąć, zmuszając Kijów do odłożenia decyzji o wycofaniu. W Cieśninie Kerczeńskiej, gdzie trwa cały czas hybrydowa wojna krymska, rosyjska marynarka wojenna jeszcze bardziej utrudniła przepływ ukraińskich statków na Morze Azowskie.

Jednak znacznie większe kłody rzucili Zełenskiemu pod nogi jego polityczni przeciwnicy na Ukrainie. Jeszcze tego samego dnia, gdy prezydent ogłaszał swoje inicjatywy, w Kijowie rozpoczęły się protestacyjne manifestacje. Ich kumulacja przypadła na 14 października, czyli wielkie bizantyjskie święto Pokrow Preswiatoj Bogorodicy, w którym Poroszenko ustanowił Dzień Obrońcy Ukrainy. Na kijowskim Majdanie i przed kancelarią prezydenta demonstrowało mniej więcej 20 tys. ludzi, a wśród nich były prezydent, zawzięty dziś wróg Zełenskiego. Na zdjęciach z Majdanu widać kobiety i młodych ludzi niosących w pierwszym rzędzie manifestacji wielkie czerwone litery składające się na hasło „Nie kapitulacji". Wznoszono okrzyki: „Precz z Zełenskim". Na mniejszą skalę demonstrowano we Lwowie, w Charkowie, Dniepropietrowsku (czyli obecnym Dnieprze, po odczepieniu z nazwy carskiego imienia).

Zełenski, który dopiero co wygrał przez nokaut podwójne wybory, wyraźnie przestraszył się wewnętrznego oporu. Już po pierwszych niepokojach szef parlamentarnej komisji spraw zagranicznych Bohdan Jaremienko nieudolnie tłumaczył, że Kuczma w istocie niczego nie podpisał, a Ukraina tylko złożyła „pisemne powiadomienie, iż jest zadowolona ze sformułowań uzgodnionych przez doradców przywódców państw formatu normandzkiego". Nikt z Ukraińców zapewne nie zrozumiał, z czego Ukraina wyraziła zadowolenie. Ale następnego dnia po wydarzeniach w święto Pokrowy władze całkiem zmieniły front. Ten sam Kuczma, który jeszcze 1 października zgadzał się na wybory, teraz przedłożył Rosjanom, Niemcom i Francuzom listę ukraińskich warunków, na której na pierwszym miejscu znalazło się żądanie likwidacji republik donieckiej i ługańskiej, na drugim – przywrócenie Ukrainie kontroli nad jej granicą państwową, a na trzecim – wycofanie się Rosjan. Nieco zabawna była reakcja zaskoczonego rzecznika Kremla Pieskowa: „Czy to aby nie oznacza, że Kijów wypowiada układ miński?" – pytał retorycznie. I dodawał w imieniu Berlina i Paryża (!), że cała trójka normandzkich partnerów Ukrainy jest zaskoczona. Aby zaś nie było żadnych wątpliwości, tego samego dnia w ukraińskiej stolicy szef dyplomacji Wadim Prisztajko wykluczał jakąkolwiek możliwość „federalizacji Ukrainy". „Najpierw musi nastąpić wycofanie Rosjan i przywrócenie ukraińskiej granicy" – oświadczał stanowczo. Wspomniany zaś już poseł Jaremienko odrzucił także ideę amnestii dla donieckich i ługańskich rebeliantów, notabene także przewidzianej umową mińską.

I tak wymarzony przez Zełenskiego listopadowy szczyt normandzki spalił na panewce, a polityczne realia Donbasu cofnęły się do poroszenkowskiego status quo ante. To oczywiście nie jest dobry wariant zdarzeń dla Ukrainy. Wizja pełnego odzyskania Doniecka i Ługańska jest przecież tak samo nierealna, jak marzenia o odzyskaniu Krymu. Do tlącej się tam cały czas przewlekłej wojny pozycyjnej świat zdążył się już w ciągu pięciu lat przyzwyczaić, traktując ją mniej więcej tak, jak traktuje się od lat nierozwiązywalny konflikt wokół Strefy Gazy. Z kolei Rosja co prawda płaci cały czas pewną cenę za wywołaną przez Putina donbaską i krymską awanturę, jednak na Kremlu dobrze wiedzą, iż aby szybko uzyskać uchylenie sankcji, trzeba by przede wszystkim wycofać się z Krymu. A to jest i będzie zawsze dla każdego rosyjskiego rządu absolutną niemożliwością. Przewlekła i pełzająca wojna na pograniczu ma natomiast wywoływać antagonizmy na Ukrainie, zmuszać zrujnowane państwo do wydatków na ciągły stan wojskowej mobilizacji, przynosić frustrację politykom ukraińskim i ciągłe nowe ofiary. Im dłużej trwa taki stan, tym głębiej postępuje naturalna integracja Doniecka i Ługańska z Rosją, a trwająca wojna usprawiedliwia także brak wysiłku odbudowy zniszczonego regionu, na co nie stać dziś nie tylko Kijowa, ale nawet Moskwy. Zełenski mówił podczas forum gospodarczego w Mariupolu, że na początek trzeba do tego 10 mld euro. Eksperci twierdzą, że to suma znacznie zaniżona.

Pułapka, w jakiej tkwi Zełenski, polega na tym, że wojny nie pozwolą mu zakończyć ani Putin, ani sami Ukraińcy. Dla rosyjskiego przywódcy ceną końca wojny, jaką musiałby zapłacić Kijów, jest jakaś forma uznania politycznej kontroli Rosji nad autonomicznym terytorium republik donieckiej i ługańskiej. Tylko wtedy Moskwie mogłaby się ewentualnie opłacać rezygnacja ze świetnego instrumentu wewnętrznego destruowania Ukrainy, jakim jest trwająca wojna. Z kolei Zełenskiemu nie będzie nawet dana szansa na sprawdzenie granic ustępstw ze strony Putina, gdyż każda jego inicjatywa pokojowa narażona będzie na zarzut zdrady Ukrainy. A w konsekwencji na protesty nie tylko ze strony silnych ukraińskich nacjonalistów, lecz także partii Poroszenki, dążącej za wszelką cenę do odwetu za przegrane wybory i kompromitację prezydenta.

Tak naprawdę ogromnemu terytorialnie, ale skrajnie biednemu i pogrążonemu w nieustannym kryzysie młodemu państwu ukraińskiemu, najbardziej opłaciłoby się machnąć ręką na Krym, Donieck i Ługańsk, których przecież i tak nie odzyska. I miast przelewać tam krew, przystąpić na serio do wewnętrznej ustrojowej i gospodarczej konsolidacji. To jednak jest i będzie zapewne w przyszłości niemożliwe ze względu na dumę narodową Ukraińców oraz ostrość wewnętrznego konfliktu politycznego. Zełenski, tak samo jak jego poprzednik Poroszenko, musi się więc nauczyć żyć z tą wojną. I tego samego musi się nauczyć cała Ukraina.

Fot. East News/ALBIN MARCINIAK

eprasa.pl f6df03f8b5

W Polsce rośnie sprzedaż now

Co miesiąc publikowane są dane dotyczące sprzedaży nowych aut w Polsce i Unii Europejskiej. We wrześniu br. popyt na samochody z salonu był większy niż rok temu zarówno na rodzimym rynku, jak i w całej wspólnocie. Jednak bilans pierwszych dziewięciu miesięcy 2019 r. w porównaniu z poprzednim rokiem jest w UE ujemny. Natomiast branża motoryzacyjna w Polsce również w tym rankingu jest na plusie

KRZYSZTOF BAŁĘKOWSKI

Patrząc na statystyki dotyczące sprzedaży nowych aut, warto pamiętać, że branża motoryzacyjna w Unii Europejskiej to 13,8 mln bezpośrednio lub pośrednio tworzonych miejsc pracy, co stanowi ponad 6 proc. całkowitego zatrudnienia w UE. Produkcja samochodów osobowych w Unii stanowi 21 proc. światowej produkcji. Co więcej, w 2018 r. z 16,5 mln wyprodukowanych osobówek i 2,6 mln samochodów użytkowych ponad 6 mln zostało wyeksportowanych, co przyniosło UE nadwyżkę handlową w wysokości 84,4 mld euro. Pojazdy mechaniczne to również poważne źródło dochodów podatkowych dla państw Unii. Tylko w krajach należących do tzw. starej piętnastki wynoszą one rocznie aż 428 mld euro.

SPADEK SPRZEDAŻY NOWYCH AUT W 2019 r. W UE. WYNIKI Z WRZEŚNIA DOBRYM PROGNOSTYKIEM?

Z danych publikowanych przez Europejskie Stowarzyszenie Producentów Samochodów (ACEA) wynika, że ten rok nie jest najlepszy dla przemysłu samochodowego na terenie UE. W ciągu pierwszych dziewięciu miesięcy liczba rejestracji nowych samochodów spadła o 1,6 proc. w porównaniu z tym samym okresem 2018 r. Z pięciu głównych rynków Unii (Niemcy, Wielka Brytania, Francja, Włochy, Hiszpania) tylko nasi zachodni sąsiedzi zanotowali wzrost sprzedaży na poziomie 2,5 proc. Pierwsze miejsce pod względem wzrostu popytu na nowe auta w pierwszych trzech kwartałach tego roku zajęła Litwa z wynikiem +42,8 proc. Warto odnotować, że na łączny wynik w UE składa się: 2 proc. w UE15 i +2,6 proc. w 12 krajach tzw. nowej Unii – przyjętych do wspólnoty w 2004 r. i później. Nie zmienia to jednak tego, że konsumenci na rynku UE15 kupili od stycznia do końca września br. blisko 9,5 razy więcej nowych samochodów niż w państwach UE12.

Pewną nadzieję na odbicie się sprzedaży nowych pojazdów osobowych dają dane, które spłynęły za wrzesień 2019 r. W całej Unii popyt w tym okresie wzrósł o 14,5 proc. w stosunku do września 2018 r., a liczba zarejestrowanych samochodów sięgnęła łącznie 1,2 mln. Nie można jednak zapominać, że ten skokowy wzrost rok do roku spowodowany jest w dużej mierze bardzo słabymi wynikami sprzed roku. Zeszłoroczny spadek sprzedaży o 23,5 proc. wynikał z wprowadzenia bardziej restrykcyjnego systemu testowania spalania według normy WLTP. Z państw członkowskich UE jedynie Bułgaria zanotowała spadek sprzedaży względem września 2018 r. wynoszący -8,6 proc. Cztery z pięciu głównych rynków Unii odnotowały we wrześniu dwucyfrowe wzrosty: Niemcy (+22,2 proc.), Hiszpania (+18,3 proc.), Francja (+16,6 proc.) i Włochy (+13,4 proc.). Z wielkiej piątki jedynie wzrost sprzedaży w Wielkiej Brytanii nie zachwyca i zatrzymał się na poziomie +1,3 proc. ACEA tłumaczy to niepewnością związaną z przedłużającymi się negocjacjami w sprawie brexitu, co przekłada się na umiarkowane zaufanie konsumentów. Wyniki największych rynków Unii bledną jednak, gdy spojrzymy na wrześniowych rekordzistów – w Rumunii sprzedaż wzrosła aż o 118,2 proc., na Litwie o 75,8 proc., a w Szwecji o 40 proc.

POLSKA NA PLUSIE

Popyt na nowe samochody osobowe zwiększył się w Polsce zarówno w porównaniu z pierwszymi trzema kwartałami

eprasa.pl f6df03f8b5

ych samochodów osobowych

poprzedniego roku, jak i w stosunku do września 2018 r. W pierwszym przypadku wzrost wyniósł +1,9 proc., a w drugim +29,3 proc. rok do roku. Od stycznia do września 2019 r. zarejestrowano w Polsce 410 829 nowych aut (+7486), z czego 35 325 (+8011) w ostatnim miesiącu. Wyraźny spadek widać jednak w zestawieniu z sierpniem br. – sprzedaż we wrześniu spadła względem poprzedniego miesiąca o ponad 26 proc. Podobnie było w zeszłym roku.

Blisko 30 proc. wzrostu sprzedaży z września daje Polsce wysokie siódme miejsce w zestawieniu państw członkowskich UE. Znacznie gorzej sytuacja wygląda przy uwzględnieniu tzw. wskaźnika chłonności rynku (liczba zarejestrowanych samochodów na 1 tys. mieszkańców). Wartość tego wskaźnika na poziomie 9,8 daje Polsce dopiero 25. miejsce z 30 notowanych krajów (UE + EFTA). Na polskim rynku prym zdecydowanie wiodą klienci instytucjonalni. Zarejestrowali oni we wrześniu 2019 r. aż 74,13 proc. wszystkich nowych aut, a w całym 2019 r. ich udział wynosi jak na razie 70,08 proc. Rzeczywiste wyniki mogą być jeszcze wyższe, ponieważ prowadzone przez Centralną Ewidencję Pojazdów i Kierowców statystyki zaliczają do grupy klientów indywidualnych zarówno osoby fizyczne prowadzące działalność gospodarczą, jak i spółki cywilne. Warto odnotować, że blisko 49 proc. wszystkich nowych aut zarejestrowały we wrześniu w Polsce firmy leasingowe lub zajmujące się wynajmem samochodów.

Wszystkie powyższe statystyki są nieznacznie zawyżone względem aut rzeczywiście pozostających w naszym kraju, ponieważ nie uwzględniają tzw. reeksportu – samochodów zarejestrowanych w Polsce i krótko potem wywiezionych za granicę. Ich liczbę szacuje się na ok. 2,7 tys. w sierpniu br.

NAJPOPULARNIEJSZE MARKI W UE I W POLSCE

We wrześniu 2019 r. na unijnym rynku pozycję lidera pod względem sprzedaży utrzymała Grupa Volkswagena (oprócz VW produkuje m.in. auta marki Audi, Seat, Škoda) z wynikiem ponad 250 tys. sprzedanych samochodów. Drugie miejsce zajmuje koncern PSA (m.in. Citroën, Peugeot, Opel), który sprzedał ponad 205 tys. pojazdów. Podium uzupełnia grupa Renault (m.in. Dacia), która osiągnęła sprzedaż na poziomie ponad 121 tys. aut. Dalsze miejsca to: grupa Hyundai, BMW, Daimler, FCA, Ford, Toyota, a pierwszą dziesiątkę zamyka Nissan.

> W rankingu marek nowych samochodów osobowych zarejestrowanych we wrześniu w Polsce wygrywa Škoda z liczbą 4406 sztuk. Na kolejnych miejscach znalazły się: Toyota (4375), Volkswagen (2874), Opel (2872) oraz Dacia (1650)

W tym samym okresie na polskim rynku, biorąc pod uwagę konkretne marki pojazdów, zarejestrowano najwięcej nowych samochodów osobowych Škody (4406), Toyoty (4375), Volkswagena (2874), Opla (2872) oraz Dacii (1650). Ciekawie kształtuje się zestawienie poszczególnych modeli. Tutaj prowadzi Toyota Corolla (1745) przed Škodą Octavią (1425), Oplem Corsą (1018), Oplem Astrą (996) i Dacią Duster (991). Jeśli jednak wziąć pod uwagę jedynie klientów indywidualnych, to wśród marek prowadzi Toyota (1308), a wśród modeli Dacia Duster (498). Klienci instytucjonalni najchętniej kupują Škody (3245), choć w rankingu modeli prowadzi Toyota Corolla (1391).

BENZYNA, DIESEL CZY ELEKTRYK?

W ubiegłym miesiącu wśród wszystkich nowych samochodów osobowych zarejestrowanych w Polsce było 68,3 proc. z silnikiem benzynowym i 20,3 proc. z silnikiem Diesla. We wrześniu 2018 r. było to odpowiednio 67,9 i 25 proc. Rośnie udział w rynku aut hybrydowych – we wrześniu zanotowano w tym segmencie wzrost sprzedaży o 117 proc. rok do roku, z kolei o 56,3 proc. zwiększyła się sprzedaż samochodów elektrycznych.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl f6df03f8b5

Jak minister z PO bronił prezesa, gdy ten wydawał miliardy w Chile

Obrońcy decyzji o zakupie chilijskiej kopalni Sierra Gorda przez KGHM za rządów koalicji PO-PSL w 2011 r. na przekór faktom i raportowi NIK jak mantrę powtarzają, że była ona korzystna dla spółki. Ostatnio w sukurs przyszedł im były wiceminister skarbu Zdzisław Gawlik (PO), za którego kadencji był realizowany ten zakup. Czego tak bardzo boi się były prezes miedziowego koncernu Herbert Wirth? Co łączy go z byłym wiceszefem skarbu? Kto naprawdę zarobił na jednej z największych inwestycji zagranicznych w historii III RP?

Dziś były polityk Platformy Zdzisław Gawlik posługuje się w swoich opiniach sprytnym zabiegiem, próbując sprowadzić dyskusję do tego, że amerykańskie inwestycje KGHM – zakup Quadra FNX – są warunkiem rozwoju koncernu, budowania jego międzynarodowej pozycji. I twierdzi, że chilijskie złoża miedzi są łatwiej dostępne niż polskie – kopalnia Sierra Gorda jest bowiem odkrywkowa. Ponadto opłacalność takich zagranicznych inwestycji – mówi Gawlik – trzeba oceniać długofalowo, w perspektywie kilkudziesięciu lat, czyli całego okresu życia kopalni miedzi.

Były minister przekonuje jednocześnie, że inwestycja była poddana szczegółowej analizie przez polskich i zagranicznych analityków z renomowanych firm. Zdaniem Gawlika w ogóle nie ma co się zastanawiać nad tym zakupem, bo bez Sierra Gorda... KGHM nie ma przyszłości. Czy te argumenty można uznać za rozsądne? Choć Gawlik próbuje nadać im pozory racjonalizmu, pojawiają się też spore wątpliwości. Dość wspomnieć, że ani żaden z ekspertów oceniających inwestycje KGHM, ani kontrolerzy Najwyższej Izby Kontroli nie kwestionowali samego faktu zakupu akcji kanadyjskiej spółki Quadra FNX. Nikt nie twierdzi, że nie warto było sięgać po te aktywa, nikt rozsądny nie protestuje przecież przeciwko ekspansji polskiej firmy na rynkach zagranicznych, tym bardziej gdy dotyczy to KGHM – przedsiębiorstwa o globalnym zasięgu działalności, jednego z najmocniejszych graczy na rynku miedzi.

Trzeba jednak pamiętać o okolicznościach tej transakcji oraz kosztach, jakie poniosła Polska Miedź w związku z zamorską inwestycją. Kosztach, które były zbyt wysokie w porównaniu z osiągniętymi i spodziewanymi efektami.

ZAKUPY W „AFRYKAŃSKIM" STYLU

Okoliczności zakupu Quadry są bowiem kuriozalne i naprawdę niegodne tak ważnej inwestycji dla narodowej

eprasa.pl f6df03f8b5

gospodarki. Bardziej pasowałyby do transakcji zakupu opuszczonej rafinerii, gdzieś w republice bananowej w Trzecim Świecie, a nie potężnej akwizycji całkowicie zmieniającej układ na światowych rynkach surowcowych.

Zdzisław Gawlik najpewniej wyciągnął z raportu NIK to, co pasowało do jego tez, a pominął najpoważniejsze zarzuty. Warto je w tym miejscu przypomnieć. Otóż NIK zarzuciła zarządowi i radzie nadzorczej KGHM, że decyzja o wydaniu ponad 9 mld zł na zakup spółki Quadra była podejmowana tak, jakby kupowano niewielką nieruchomość albo dobijano transakcji na targu, podczas gdy tak gigantyczna inwestycja powinna być poprzedzona dokładnymi analizami. O tym najwyraźniej nikt nie pamiętał! Bo i po co, skoro chodziło po prostu o szybkie dobicie targu. Ważne, żeby udał się deal i wszyscy byli zadowoleni. Tylko, czy z tej „transakcji" mogą być zadowoleni polscy podatnicy?

NIK ustaliła, że w trakcie posiedzenia rady nadzorczej KGHM (14 listopada 2011 r.) jej członkowie zgłosili wiele uwag, które powinny skutkować odłożeniem decyzji o zgodzie na zakup kanadyjskiej spółki na kilka tygodni. Stwierdzono m.in., że przedstawione przez prezesa Wirtha materiały były niedopracowane, a ponadto było za mało czasu na ich analizę. Brakowało w dokumentacji choćby prognozy finansowej na lata 2012–2018 dla kupowanej spółki, a więc nie można było ocenić opłacalności amerykańskiego biznesu KGHM. Co znamienne, prezes Wirth przyznał, że warunki zakupu Quadry były niezgodne ze strategią KGHM, ale jednocześnie skutecznie naciskał na radę, która w tajnym głosowaniu poparła zakup kanadyjskiej spółki. Okazało się, że kupujący nie przeprowadził nawet badania due diligence i analizy kosztów wydobycia rudy miedzi, a to są w takiej sytuacji podstawowe dane i badania, które wykonuje się nawet przy zakupie o wiele mniejszych podmiotów niż Quadra.

JAK NIE WYDAWAĆ 20 MLD ZŁ

Tym należy tłumaczyć to, że w latach 2012–2018 na zakup spółki i jej dokapitalizowanie KGHM musiał wydać prawie 20 mld zł. Ma rację Zdzisław Gawlik, twierdząc, że koszty wydobycia w Chile są niższe niż w Polsce, ale jakoś zapomina o tym, iż rada nadzorcza KGHM nie była świadoma w 2011 r., że złoża sąsiadujące z Sierra Gorda charakteryzują się wysokim kosztem wydobycia surowca – nie było zatem szans na to, aby zrealizować optymistyczny scenariusz dotyczący kosztów pozyskiwania rudy na polach KGHM. Okazało się też, że kopalnia Sierra Gorda będzie działać przez 25 lat, a nie 40, jak deklarował w 2011 r. szef Polskiej Miedzi. W dodatku znacznie opóźniło się uruchomienie wydobycia rudy miedzi w Chile, gdyż prezes Wirth nie doszacował wydatków na niezbędne inwestycje (np. doprowadzenie do kopalni leżącej na pustyni rurociągu z wodą).

Te fakty Zdzisław Gawlik pomija, tak jak bagatelizuje to, że dopiero obecnemu zarządowi KGHM udało się wdrożyć program naprawczy w Sierra Gorda, który skutkuje wzrostem wydobycia i przerobu rudy miedzi i daje nadzieję, że za kilka lat ta inwestycja zacznie się wreszcie zwracać. Co ciekawe, obecne wskaźniki produkcji miały być osiągnięte już kilka lat temu, jak deklarowano to w momencie zakupu Quadry.

W czasie gdy kupowano Quadrę, na rynkach miedzi panowała hossa, a ceny surowca szybowały niemal do nieba. Znaczną część zysków miedziowego giganta pochłonęła jednak chilijska awantura...

Kilka lat opóźnienia to bardzo dużo, bo w ten sposób wydłuża się czas zwrotu inwestycji. Trzeba też pamiętać o tym, że jeszcze w czasach rządów PO-PSL pojawiły się głosy, żeby ze względu na nieopłacalność amerykańskich inwestycji KGHM pozbył się tego balastu i skoncentrował się na wydobyciu krajowym, w tym na eksploatacji nowych złóż.

Działacz PO Zdzisław Gawlik jako wiceminister skarbu mocno wspierał działania ówczesnego prezesa KGHM Herberta Wirtha, w tym zakup akcji kanadyjskiej spółki Quadra FNX. Tymczasem jako organ właścicielski powinien bardzo uważnie się przyglądać działalności koncernu i być jego wyjątkowo wymagającym recenzentem.

„KOSZULĘ Z PIERSI ZDARŁ…"

Co znamienne, wiceminister Gawlik przeciwstawił się swojemu ówczesnemu szefowi ministrowi skarbu Mikołajowi Budzanowskiemu, który chciał w 2012 r. odwołać ze stanowiska prezesa Wirtha, a ściślej nie powoływać go na drugą kadencję, m.in. właśnie za amerykańską inwestycję. Zdzisław Gawlik dwukrotnie otwarcie mówił wówczas, że Wirth powinien pozostać na swoim stanowisku, czym – jako donosiły wtedy media – miał rozzłościć ministra Budzanowskiego.

– O prezesie i zarządzie KGHM mogę mówić tylko dobrze. Zarząd odniósł wiele sukcesów, zwłaszcza w ostatnich trzech latach, czego najlepszym dowodem są wyniki KGHM. Nie widzę żadnych powodów, żeby rada miała podejmować decyzję w sprawie zmian w zarządzie KGHM – mówił wtedy dziennikarzom Zdzisław Gawlik.

Nawet ówczesna rzecznik resortu Magdalena Kobos twierdziła, że słowa Gawlika to jego prywatne opinie, a nie stanowisko ministerstwa skarbu. Reakcji Budzanowskiego nie można się co prawda dziwić, skoro jego podwładny publicznie podważał działania ministra wobec szefa KGHM, był to jawny bunt.

W efekcie Gawlik musiał złożyć dymisję, ale prezes Wirth stanowisko zachował. Rok później Gawlik wrócił do resortu skarbu, gdy Mikołaja Budzanowskiego zastąpił na stanowisku szefa MSP Włodzimierz Karpiński.

Trudno się nie zgodzić z byłym wiceministrem skarbu, że „nie ma sprzeczności między krajową i zagraniczną działalnością KGHM", jest to twierdzenie, którego nawet nie trzeba udowadniać. Z tym że tak jak przy każdej inwestycji trzeba pytać o jej koszty, o bilans zysków i strat dla Polskiej Miedzi. Trudno jednak na podstawie historii z Quadra FNX i Sierra Gorda oprzeć się wrażeniu, iż mocarstwowe plany zarządu KGHM w 2011 r. były mocno niedopracowane, zbyt optymistyczne, transakcji dokonywano w pośpiechu i te miliardy można było zwyczajnie mądrzej zainwestować.

Kajetan Kutnowski

Fot. KGHM

eprasa.pl f6df03f8b5

Polski bank podbija zagraniczne rynki

Ponad 100 gości z 30 krajów, reprezentujących 60 największych światowych banków, uczestniczyło w organizowanym w Warszawie 3rd PKO International Banking Seminar. Spotkanie organizowane przez Departament Bankowości Zagranicznej i Instytucjonalnej PKO Banku Polskiego jest największym tego typu wydarzeniem w Europie Środkowo-Wschodniej

Celem spotkania było pogłębienie relacji i nawiązanie nowych kontaktów biznesowych w zakresie bankowości zagranicznej i korespondenckiej. Nawiązanie przez PKO Bank Polski bezpośrednich relacji z zagranicznymi instytucjami finansowymi powoduje bowiem, że transakcje są realizowane szybciej, a koszty przelewów zagranicznych ponoszone przez klientów są niższe. Z takich rozliczeń mogą korzystać zarówno klienci indywidualni, jak i korporacyjni.

– Sam fakt, że przyjechali do Warszawy bankierzy z całego świata, a mamy tutaj gości z Unii, Japonii, Stanów Zjednoczonych, Zatoki Perskiej – jest dla PKO potwierdzeniem tego, co osiągnęliśmy w bankowości zagranicznej przez ostatnich kilka lat – mówi Maks Kraczkowski, wiceprezes PKO Banku Polskiego nadzorujący Obszar Bankowości Międzynarodowej i Transakcyjnej.

MIĘDZYNARODOWA OFERTA

PKO Bank Polski współpracuje obecnie z bankami działającymi we wszystkich istotnych dla polskich klientów krajach,

eprasa.pl f6df03f8b5

Fot. PKO BP | 52/0719/F

oferując rozliczenia międzynarodowe w 23 walutach. Rozwój kompetencji bankowości zagranicznej pozwala klientom PKO Banku Polskiego nie tylko na osiąganie realnych oszczędności, lecz przede wszystkim wzmacnia poczucie posiadania kompetentnego partnera, który podąża za swoimi klientami, udzielając im wsparcia wszędzie tam, gdzie prowadzą swoją działalność.

– PKO Bank Polski stawia na rozwój bankowości międzynarodowej i aktywną współpracę z bankami zagranicznymi. Jesteśmy liderem pod względem liczby i jakości transakcji międzynarodowych, a grupa banków, z którymi rozliczamy transakcje, przekracza już 1,3 tys. instytucji z całego świata. Jesteśmy także bezapelacyjnym liderem polskiego rynku w zakresie liczby zagranicznych banków, dla których prowadzimy rachunki – zaznacza Radosław Ptaszek, dyrektor Departamentu Bankowości Zagranicznej i Instytucjonalnej.

Jakość usług oferowanych przez PKO Bank Polski doceniają także globalne i największe regionalne banki, które wybierają PKO jako wyłącznego partnera do współpracy na terenie Polski. Ostatnio PKO Bank Polski we współpracy z jednym z największych banków z Singapuru – OCBC – wprowadził złotego do wzajemnych rozliczeń. Tym samym klienci banku uzyskali możliwość płacenia bezpośrednio w polskiej walucie w transakcjach dwustronnych, z pominięciem banków pośredniczących i różnic kursowych.

EKSPANSJA ZAGRANICZNA PKO BANKU POLSKIEGO

Ambicje PKO Banku Polskiego sięgają poza Polskę. Tuż za naszą granicą bank planuje do końca tego roku uruchomienie oddziału korporacyjnego na Słowacji i analizuje kolejne rynki pod kątem otwarcia takiej placówki. W ofercie oddziału korporacyjnego w Bratysławie będzie się znajdować pełna paleta usług i produktów dla klientów korporacyjnych, obejmująca m.in.: bankowość transakcyjną (w tym międzynarodowy cash pooling), bankowość elektroniczną, produkty skarbowe, trade finance czy kredyty korporacyjne.

– Kierujemy się logiką biznesową: jesteśmy tam, gdzie potrzebują nas nasi klienci. Pomagamy firmom w budowaniu odpowiedniej masy i pozycji najpierw w Polsce, a następnie towarzyszymy im w globalnej ekspansji, dostarczając nie tylko finansowanie, lecz także wiedzę ekspercką i wsparcie analityczne – uzasadnia aktywność banku wiceprezes Maks Kraczkowski.

PKO Bank Polski od kilku lat jest już obecny w Czechach i w Niemczech, a należący do Grupy PKO BP ukraiński Kredobank także wpisuje się w oczekiwania biznesu działającego na tym rynku. Ponadto z oferty oddziałów zagranicznych PKO BP korzystają także duże europejskie firmy.

eprasa.pl f6df03f8b5

Bezlusterkowiec Nikon Z 50

Nikon zaprezentował model Nikon Z 50, pierwszy aparat bezlusterkowy formatu DX (matryca APS-C) w serii Z, oraz dwa pierwsze obiektywy zmiennoogniskowe NIKKOR Z do aparatów formatu DX: NIKKOR Z DX 16–50 mm f/3,5–6,3 VR i NIKKOR Z DX 50–250 mm f/4,5-6,3 VR, oba posiadają stabilizację, co jest istotne, gdyż matryca w korpusie jej nie ma. Aparat ma nieco ponad 20-megapikselową matrycę (nie wiadomo, czy jest to ta sama matryca co w modelu D500, czy inna), czułość ISO: 100–51200 (rozszerzalne do 204800), tryb seryjny to 11 kl/s (w trybie AE/AF) i 5 w trybie live view. Z 50 nagrywa filmy 4K przy 30 kl/s. Aparat ma oczywiście odchylany dotykowy ekran i – jak to w bezlusterkowcach – elektroniczny wizjer (2,36 Mpix). Na jednej baterii może zrobić do 320 zdjęć. Aparat jest pozycjonowany na tej samej półce, co klasyczne lustrzanki z serii D7, czyli jako zaawansowany aparat dla entuzjastów fotografii. **premiera**

Plusy i minusy

+ pierwszy „poważny" bezlusterkowiec Nikona z matrycą mniejszą niż pełna klatka
– brak stabilizacji matrycy, niezbyt imponujący czas działania na jednej baterii

Smartfon Sony Xperia 5

Firma Sony zaprezentowała smartfona Xperia 5. „Smartfon Xperia 5, oparty na najnowszych technologiach Sony, powstał poprzez przeniesienie do mniejszej obudowy wszystkiego tego, co najbardziej cenią sobie użytkownicy modelu Xperia 1" – mówi Mitsuya Kishida, prezes Sony Mobile Communications. Telefon ma wyświetlacz 21:9 CinemaWide. Ochronę efektownej, metalowej ramki zapewnia trwałe szkło Corning Gorilla Glass 6 z przodu i z tyłu obudowy. Urządzenie spełnia też wymogi wodoodporności na poziomie IP65/IP68. Aparat składa się z trzech 12-megapikselowych obiektywów. Dzięki połączeniu superszerokokątnego obiektywu 16 mm (ogniskowa w przeliczeniu na format 35 mm) z obiektywem 26 mm oraz 52 mm do portretowania i zdjęć w zbliżeniu, użytkownik jest przygotowany do fotografowania w każdej sytuacji. **premiera**

Drukarka OKI Pro9541WT

OKI Europe poinformowała o wprowadzeniu na rynek nowej, innowacyjnej, 5-kolorowej suchotonerowej drukarki termotransferowej LED Pro9541WT, przeznaczonej specjalnie dla firm poligraficznych i agencji kreatywnych. Urządzenie umożliwia drukowanie w przystępnej cenie w idealnych kolorach oraz w nieprzezroczystej bieli i prawdziwej czerni zarówno na ubraniach, jak i twardych powierzchniach, umożliwia także produkcję wysokiej jakości wzorów na twardych powierzchniach, w tym ceramice, akrylu, szkle, metalu, emalii i drewnie. Drukarka zapewnia ostrość w rozdzielczości 1200 × 1200 dpi, umożliwiając tworzenie dokładnych i szczegółowych grafik nawet na ciemnych powierzchniach. **premiera**

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

Autopromocja

eprasa.pl f6df03f8b5

Gol, gol, gol

CEZARY KOWALSKI

Legia Warszawa wygrywa z Wisłą Kraków 7:0 w polskiej Ekstraklasie, Leicester 9:0 z Southampton w angielskiej Premier League, Atalanta z Udinese we włoskiej Serie A, Bayern Monachium 7:2 z Tottenhamem Londyn w Lidze Mistrzów, Belgia 9:0 z San Marino w eliminacjach mistrzostw Europy... Wysyp piłkarskich meczów, w których jedna z drużyn bije rywali aż tak wysoko, działa na wyobraźnię kibiców. O co chodzi? Czy mamy do czynienia z jakimś stałym trendem.

Przecież piłka nożna, zwłaszcza ta na najwyższym poziomie, wydawała się już w jakiś sposób zdefiniowana i przewidywalna. Nie mam tu na myśli dokładnego wyniku ani kto danego dnia wygra, ale założenia, że skoro na danym pułapie rozgrywkowym poziom jest bardzo wyrównany, to tego typu sytuacje, jak w meczu finalisty Ligi Mistrzów z poprzedniej edycji w starciu z drużyną Roberta Lewandowskiego, po prostu nie mają prawa się zdarzać. Że poszczególne ekipy przy użyciu gigantycznych pieniędzy, całych sztabów pracujących nad przygotowaniem taktycznym i fizycznym oraz zaangażowaniu najlepszych piłkarzy na świecie, mające też doskonałą wiedzę o przeciwniku, nie mogą tak wysoko przegrywać. Albo nawet biorąc polską ligę pod uwagę. Owszem, Legia była wyżej w tabeli niż Wisła, ale przecież w tym sezonie jest co najwyżej średniakiem. Jak to możliwe, żeby ni z tego, ni z owego uzyskać najwyższy wynik w polskiej Ekstraklasie od 15 lat?

Nestor wśród polskich trenerów, były asystent Leo Beenhakkera w reprezentacji Polski, Bogusław Kaczmarek, który ma nieco filozoficzne podejście do futbolu, twierdzi, że nie ma mądrego, który pozna całą prawdę o piłce. – Owszem, ta dyscyplina też, jak wiele innych, wykorzystuje schematy, mnóstwo jest rzeczy powtarzalnych i przewidywalnych, ale ten pierwiastek mistycznej materii jednak wciąż jest ogromny. Podczas gdy wszystkie wypracowywane detale w rywalizujących ekipach są na zbliżonym poziomie, decyduje głowa. A co się dzieje w głowach sportowców, którzy – powiedzmy – przegrywają już 0:3 i zupełnie przestają funkcjonować, choć wciąż są świetnymi graczami, doskonale przygotowanymi i opłaconymi, to jest zadanie dla specjalistów od działania sieci neuronowych w ludzkim mózgu. To jest cały wdzięk i tajemnica piłki nożnej – mówi tygodnikowi „Sieci" wychowawca wielu późniejszych gwiazd polskiej piłki.

To, że piłka nożna, pomimo takiego rozwoju oraz wyrównania poziomu gry, potrafi aż tak zaskakiwać, a zespoły, które teoretycznie wiedzą o obronie wszystko, wciąż potrafią dać sobie wbić siedem, a nawet dziewięć goli w jednym meczu, sprawia, że futbol wciąż tak bardzo przyciąga i opiera się nudzie, rutynie. Mimo ogromnej komercjalizacji wciąż zachowuje świeżość.

Tak jak gole Roberta Lewandowskiego. Jeden z internautów zauważył, że na „włóknach mięśniowych Roberta Lewandowskiego wisi posada trenera Bayernu Monachium Niko Kovača". Celna uwaga. Nie tylko jego posada zresztą.

To, co wyprawia nasz 31-letni napastnik, nie ma precedensu. Nie było wcześniej polskiego zawodnika, który czułby się aż tak swobodnie w najbardziej prestiżowych i najtrudniejszych rozgrywkach świata. Dwa gole wbite w meczu z Olympiakosem Pireus sprawiły, że ma ich już w sumie 58 i w klasyfikacji najlepszych strzelców LM przesunął się na piątą pozycję. Do czwartego Karima Benzemy traci dwa gole, do trzeciego Raula Gonzaleza Blanco - 13. Czyli przebicie się do grona trzech najlepszych strzelców w historii (Cristiano Ronaldo 127 i Leo Messi 112 są poza zasięgiem), jest w niedługim czasie zupełnie realne.

Lewandowski jest w tym sezonie jak maszyna. W 15 meczach różnych rozgrywek strzelił 19 goli. Podobnie jak Ronaldo czy Messi, Lewandowski jest artystą w swojej dziedzinie i jedynym Polakiem, który ma znaczący udział w całym tym bramkowym show. Aż smutno się robi, kiedy pomyślimy, że RL9 kiedyś będzie musiał zejść ze sceny.

Autor jest komentatorem Polsatu Sport

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl f6df03f8b5

BARBARA GĄSIENICA GIEWONT WOKALISTKA, AKTORKA TEATRALNA I MUSICALOWA

Góralka i piramidy

Można by to opowiedzieć tak: dziewczyna z gór trafia do starożytnego Egiptu. Dzieje się to za sprawą musicalu „Aida" (który powstał dzięki Eltonowi Johnowi i Timowi Rice'owi). Gra w nim tytułową rolę i od kilkunastu tygodni przeżywa wspaniałą przygodę - muzyczną podróż w czasie i przestrzeni na deskach warszawskiego Teatru Roma.

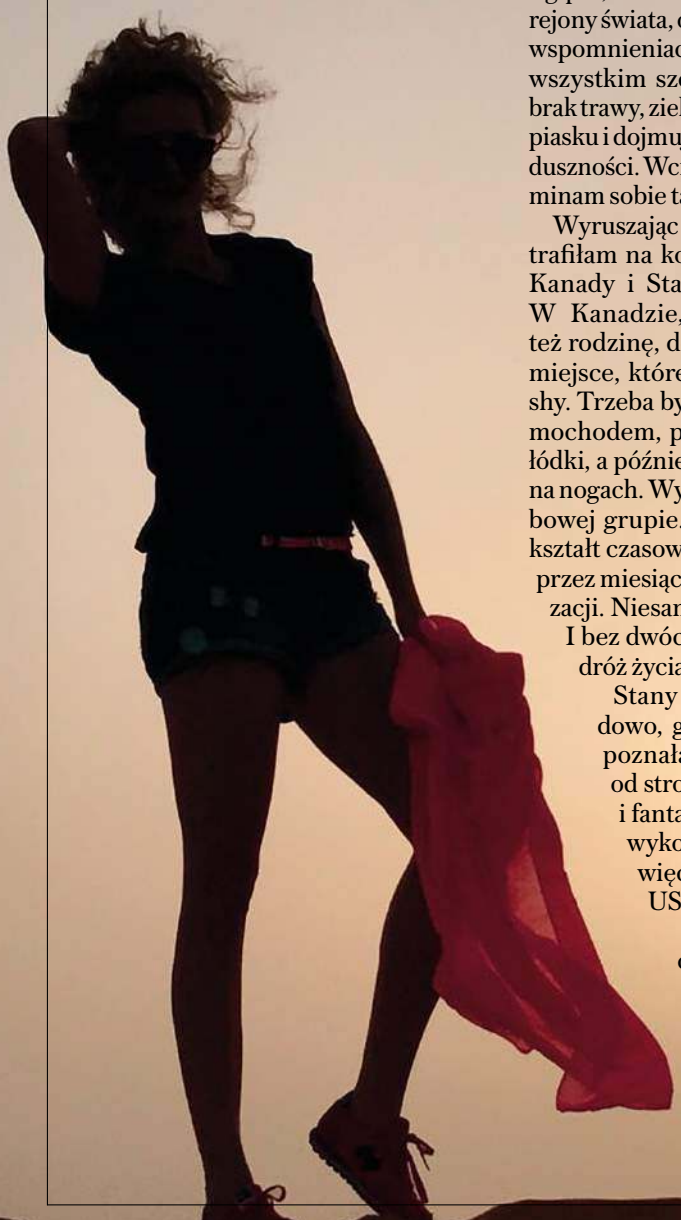

W niemusicalowym świecie nie miałam jeszcze okazji pojechać do Egiptu, natomiast kierując się w tamte rejony świata, odwiedziłam Izrael. We wspomnieniach pozostały mi przede wszystkim szerokie, puste pejzaże, brak trawy, zieleni, za to ogromna ilość piasku i dojmujące wrażenie spiekoty, duszności. Wciąż je czuję, gdy przypominam sobie tamtą podróż.

Wyruszając w zupełnie inną stronę, trafiłam na kolejny kontynent – do Kanady i Stanów Zjednoczonych. W Kanadzie, gdzie odwiedzałam też rodzinę, dotarłam w przepiękne miejsce, które nazywa się Wabanashy. Trzeba było jechać najpierw samochodem, potem przesiąść się do łódki, a później jeszcze sporo przejść na nogach. Wybraliśmy się w 20-osobowej grupie. Stworzyliśmy coś na kształt czasowej osady, funkcjonując przez miesiąc bez dostępu do cywilizacji. Niesamowite doświadczenie. I bez dwóch zdań wakacyjna podróż życia.

Stany odwiedziłam zawodowo, grałam koncerty, więc poznałam Amerykę głównie od strony sal widowiskowych i fantastycznych emocji oraz wykonań. Liczę, że zobaczę więcej, gdy wybiorę się do USA kolejny raz.

Niezwykłe doświadczenie przywiozłam ze Sri Lanki. We wspomnieniach przebija to, co zapamiętałam z podróży na Malediwy czy do Dubaju. Sri Lanka okazała się dla mnie najciekawsza, bliska tej etniczności, która wypełnia musical. Wędrowaliśmy w towarzystwie lokalnego przewodnika. Jadał osobno, więc któregoś dnia zaprosiliśmy go na obiad. Trochę się zdziwił, ale powiedział, że jeżeli bardzo chcemy, to zje z nami. Pytany, dlaczego wcześniej do nas nie dołączył, odpowiedział, że takie mają tutaj zwyczaje, bo my zupełnie inaczej spożywamy posiłek.

Usiedliśmy przy stoliku. Było nas troje. I kiedy zaczęliśmy jeść, rzeczywiście poczułam się niezręcznie. Nie będę ukrywać. Było to dla mnie coś zupełnie nowego, bo człowiek jadł rękami. Wszystko. Łącznie z curry, które z powodu konsystencji lało się po dłoniach. Mył te ręce w miseczce z wodą i dalej jadł. Szanuję tradycję miejsca, ale przestaliśmy się dziwić, że mieszkańcy Sri Lanki unikają wspólnych posiłków z turystami.

Zaczęłyśmy rozmowę od dziewczyny z gór. Tak, to ja. Nie tylko z nazwiska jestem góralką. Z Zakopanego. I Bogu dziękuję za to, gdzie się urodziłam. To fantastyczne miejsce, cudowna kultura, charyzmatyczni ludzie. To płynąca w żyłach muzyka i sztuka w sercu. A że też hardość, zawziętość... nad takimi cechami można zapanować. Dają wtedy siłę.

Na życie wybrałam Warszawę. Tego wymaga mój zawód, ale gdy mocno zatęsknię za Zakopanem, mogę wsiąść w pendolino i migiem będę w domu. Teraz jednak spotkać mnie można w starożytnym Egipcie, gorącym także za sprawą rozpalającego się, zakazanego uczucia wziętej do niewoli nubijskiej księżniczki Aidy i dowódcy egipskich wojsk.

Jolanta Gajda-Zadworna

egrasa.pl f6d103fab5

SŁODKO-SŁONY

Chilli na rozgrzewkę

ANNA MONICKA

Moja ciotka mawia, że na mróz zawsze chce jej się pić dużo herbaty. Mnie i moim zwierzętom też się chce więcej, ale niestety nie herbaty. Koty robią się głodne wcześniej niż latem. Budzą mnie o 5, a jeśli nie wstaję dostatecznie żwawo, wskakują na mnie i ugniatają albo wąchają w okolicach nosa. Długo tego nie zniosę, więc wstaję i idę do lodówki, bo gdybym ruszyła w inną stronę, potykałabym się nieustannie o kocury. A tak siedzą przynajmniej w jednym miejscu, wpatrzone w podajnik karmy. Oba w ciągu miesiąca przybrały co najmniej kilogram i wyglądają jak ciężarne kocice.

Gigantyczną spiżarnię w swoim trzypiętrowym pałacu zbudowały też moje białe myszy – wszystkie trzy spasły się tak, że ledwo wchodzą do tekturowej rury, przez którą niedawno przebiegały w podskokach.

A ja? Hm... Organizm uznał, że samymi warzywami się nie ogrzeje, więc coraz częściej ma zachciewajki. A to marzy mu się zapiekanka ziemniaczana z kiełbasą i ogórkiem, a to pyszna włoska frittata, a to meksykańska zapiekanka z fasolą, kukurydzą i chilli, w gęstym pomidorowym sosie, mięsnym lub wegetariańskim – co kto lubi.

Ta ostatnia nie dość, że pyszna, rozgrzewająca dzięki chilli, to jeszcze zawsze fantastycznie wygląda, niezależnie od tego, czy sosem poprzekładamy placki tortilli i całość ułożymy piętrowo w tortownicy, czy nadziejemy je jak rolsy, zwiniemy i zapieczemy polane pomidorami i posypane ostrym serem.

Zrobić ją łatwo, jak wszystkie dania kuchni wiejskiej. Mieszamy w misce dwie puszki ładnych mięsistych pomidorów (bez sosu), z dwiema puszkami odsączonej czarnej fasoli i jedną puszką kukurydzy. Dodajemy 10 pokrojonych pieczarek, po jednej słodkiej papryce zielonej, czerwonej i żółtej, doprawiamy trzema ząbkami czosnku, które podsmażamy z pokrojoną w piórka cebulą i papryczką chilli. Teraz możemy dodać mielone mięso indycze lub chude wieprzowe, na przykład z szynki. Doprawiamy solą, pieprzem i wędzoną papryką. Wsypujemy szklankę sera żółtego i układamy warstwami raz placek, raz sos w naczyniu do zapiekania lub zawijamy. Danie nabierze wspaniałego zapachu, gdy każdą warstwę oprószymy skórką startą z limonki. Wkładamy do piekarnika nagrzanego na 180 stopni na godzinę (na początku zapiekankę okrywamy folią), kolejne pół godziny pieczemy w 150 stopniach, a potem zdejmujemy sreberko i dopiekamy, żeby na wierzchu zrobiła się chrupiąca skórka. Podajemy z miksem sałat, wystarczy je polać lekko posolonym sokiem z cytryny z odrobiną oleju rzepakowego lub oliwy. I zapominamy o chłodnej jesieni.

Fot. archiwum prywatne

Fot. Shutterstock x2

WILCZYM OKIEM

Żuraw i żurawina

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Obecny sezon łączą słowa mające wspólny mianownik w pięciu literach tworzących słowo „żuraw". Trwa bowiem sezon zbiorów owoców żurawiny i okres wędrówek żurawi *Grus grus*, zdążających o tej późnej porze roku na zimowiska. Nostalgia kluczy ciągnących żurawi, romantyzm ich klangoru, baletowe ruchy godowego tańca, pozostawiły ślad w kulturze, języku i kuchni wielu rejonów świata.

Żurawie od zawsze, nie tylko w Polsce, musiały być odbierane jako ptaki fascynujące – jednym z dowodów jest prawdziwa plątanina łodyg, dziobów, konstrukcji i wyrażeń – jaką tworzą słowa różnych języków, które łączy nieodzowny żuraw. W języku polskim żuraw to ptak i dźwig. Podobnie w języku angielskim to samo słowo crane oznacza długonogiego, długoszyjego, szaropiórego ptaka oraz urządzenie do przenoszenia i załadunku rzeczy. Tę grę ornitologiczno-lingwistyczną można by ciągnąć, chociażby sięgając do niemieckiego „Kran", czyli dźwig, i „Kranich", czyli żuraw, migrujący zresztą z niemieckiego do języka polskiego jako przypominający żurawią szyję „kran".

Związek żurawi z bagnami, ulubionymi miejscami postoju i żerowania żurawich stad, zaowocował nadaniem nazwy żurawinie błotnej, nie dlatego że jest przez żurawie zjadana, ale dlatego że preferuje podobne, podmokłe siedliska. I znowu identyczny związek widać nie tylko w języku polskim, lecz także np. w angielskim: „crane" żuraw i „cranberry" żurawina.

Z żurawiny powstaje listopadowy przysmak – gęsty owocowy sos. Lubiany w Polsce, w USA obowiązkowy do indyka (wyjątkowo nie do żurawia) w Święto Dziękczynienia, w Wielkiej Brytanii nieodzowny na bożonarodzeniowym stole. Miałem ostatnio okazję brać udział w degustacji takiego sosu w dwóch wariantach: przyrządzonego z hodowlanej żurawiny wielkoowocowej, gatunku północnoamerykańskiego, oraz naszej rodzimej żurawiny błotnej o mniejszych, ciemniejszych owocach. Drugi wariant, choć kwaśniejszy, zdecydowanie bardziej odznaczał się leśnym pazurem.

Istnienie w różnych językach identycznych rodzin wyrazów z rdzeniem „żuraw", „crane", „Kran" itd. jest zagadką do rozwiązania dla językoznawców, równie ciekawą, jak tropienie żurawi i żurawiny dla osób lubiących błotno-bagienne, leśne ostępy.

eprasa.pl f6df03f8b5

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Małgorzata i Klaudia

www.wojciechreszczynski.pl

Kidawa-Błońska, choćby nie wiem jak szczyciła się swoimi wspaniałymi pradziadkami, to już zawsze będzie dla mnie koleżanką bezwzględnej Jachiry

Najważniejszym, a z pewnością najciekawszym w Polsce okręgiem wyborczym do Sejmu jest okręg nr 19 w Warszawie. Został utworzony w 2001 r. i obejmuje miasto Warszawę na prawach powiatu. Z tego okręgu, w którym głosują także Polacy mieszkający czy przebywający w czasie wyborów za granicą, wybieranych jest aż 20 posłów. To z tego okręgu startowali w ramach KKW Koalicja Obywatelska (PO, Nowoczesna, Zieloni) tacy kandydaci, a dziś już posłowie, jak Małgorzata Kidawa-Błońska, Katarzyna Lubnauer, Dariusz Rosati, Michał Szczerba, Aleksandra Gajewska, Katarzyna Piekarska, Urszula Zielińska, Klaudia Jachira, Joanna Fabisiak. Z Prawa i Sprawiedliwości: Jarosław Kaczyński, Mariusz Kamiński, Sebastian Kaleta, Jarosław Krajewski, Paweł Lisiecki, Małgorzata Gosiewska. Z Sojuszu Lewicy Demokratycznej dostali się do Sejmu Adrian Zandberg, Magdalena Biejat i Anna Maria Żukowska.

Z Konfederacji Wolność i Niepodległość – Janusz Korwin-Mikke. Z Polskiego Stronnictwa Ludowego – Władysław Teofil Bartoszewski.

Wspomniany okręg wyborczy jest ciekawy również z tego powodu, że walka o głosy przekłada się na wysoką frekwencję, która wynosiła w ostatnich wyborach aż 79,75 proc. To z kolei przełożyło się na liczne mandaty, których najwięcej – dziewięć – zdobyła KKW KO, sześć – PiS, trzy – SLD, po jednym Konfederacja i PSL. Najwięcej głosów otrzymała Małgorzata Kidawa-Błońska – ponad 416 tys. (najlepszy indywidualny wynik w kraju), a Jarosław Kaczyński ponad 244 tys. głosów. Z kolei specjalnie zaproszona przez przewodniczącego Platformy Obywatelskiej Grzegorza Schetynę do kandydowania z tej partii Klaudia Jachira – zaledwie 6434 głosy. Tyle wystarczyło, aby zostać posłem na Sejm RP. Niech teraz odpowiedzą sobie szczerze ci wszyscy, którzy bez chwili refleksji, wręcz nachalnie, pisali, mówili, pokazywali Klaudię Jachirę jako kuriozum, ostrzeżenie dla wyborców. Czy zaszkodziło to w jej karierze, czy raczej pomogło? Uważam, że to drugie. Jest bowiem faktem, że ta szerzej nieznana pseudoaktoreczka, żałosna satyryczka, koszmar społecznościowych mediów, zwróciła jednak uwagę kierownictwa Platformy właśnie ze względu na szansę wygranej w tym specyficznym, konfrontacyjnym okręgu wyborczym nr 19 w Warszawie. I udało się.

31-letnia młoda osoba, pozbawiona skrupułów kontrowersyjna skandalistka internetowa, bynajmniej nie głupia, nie czekając nawet na inaugurację prac parlamentu, zabrała się do ośmieszania wniosków Prawa i Sprawiedliwości składanych do Sądu Najwyższego w sprawie wątpliwości przy liczeniu głosów do Senatu. Swój najnowszy filmik nagrała przed domem prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego na warszawskim Żoliborzu. Była to też okazja do obrzydliwych żartów z katastrofy smoleńskiej.

Zadanie zostało wykonane. Platforma Obywatelska jest najwyraźniej zadowolona. Zadowolenia nie kryje – skoro milczy – widząca siebie jako kandydatkę na urząd prezydenta RP poseł Małgorzata Kidawa-Błońska. Już wcześniej, po skandalu jaki Jachira wywołała przed pomnikiem Armii Krajowej i Polskiego Państwa Podziemnego przed Sejmem w Warszawie, afiszując się z transparentem „Bób, Humus, Włoszczyna", pod słowami wyrytymi na pomniku „Bóg, Honor, Ojczyna", panią wicemarszałek Sejmu Kidawę-Błońską było stać tylko na banalne słowa: „Ja jestem za tym, żebyśmy rozmawiali, a nie doprowadzali do nerwowych czy nieprzyjemnych rozmów". A więc żadnego potępienia, żadnej krytyki, tak jak teraz po skandalicznym występie Jachiry przed domem Jarosława Kaczyńskiego.

To oznacza, że Kidawa-Błońska nic nie ma przeciwko swojej młodszej koleżance sejmowej, z tego samego okręgu wyborczego, z tej samej partii politycznej. Dlatego od tego momentu wszystko, co będzie robić, mówić, pokazywać, wyznaczona przez Platformę Obywatelską do bezwzględnych zadań specjalnych, ataków politycznych na Prawo i Sprawiedliwość poseł Klaudia Jachira, będę uważał za aprobujące dzieło jej starszej 31 lat sejmowej koleżanki, Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Bo tak się właśnie arytmetycznie i symbolicznie składa, że kiedy pani Małgorzata miała już 31 lat, na świat przyszła pani Klaudia, jej przyszła parlamentarna koleżanka. Pani Kidawa-Błońska, choćby nie wiem jak szczyciła się swoimi wspaniałymi pradziadkami, to już zawsze będzie dla mnie koleżanką bezwzględnej Jachiry, z którą najwyraźniej chce wspólnie podążać do swojej przyszłej prezydentury.

eprasa.pl f6df03f8b5

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Liber Chamorum 2019

Chamowi wulgarnemu a powszechnemu

Witold Gadowski

Walerian Nekanda Trepka z Krakowa pewnego dnia doszedł do wniosku, że musi opisać bęcwałów, matołów, nuworyszy i parszywe podróbki herbów, którzy psowali stan szlachecki i przywiedli go do stanu, jaki Trepka ujrzał w 1626 r., a więc długo przed ostateczną mizeryją całego państwa i tworzącej je wspólnoty. Trepka zaczął od Abramowicza, byłego furmana z Biecza, a skończył na Żyznańskim – szewcu z Chęcin. Szkoda, że dziś nie ma kogoś na podobieństwo Nekandy. Kogoś, kto potrafiłby równie udanie strzelić w pysk dzisiejszego chama pospolitego, szuje pluralis, które rozpełzły się powszechnie i narzucają swoje kloaczne obyczaje wspólnocie.

Społeczeństwo, w którym cham dyktuje warunki, musi się powszechnie schamieć. Współczesny cham nie jest już tym samym choćby z czasów Dołęgi-Mostowicza. Nikodem Dyzma miał bowiem świadomość swojej podłej konduity i starał się nadrobić braki w ogładzie i wiedzy. Dzisiejszy Nikodem Nafajda wstydu już nie posiada, on jest upojony swoim bęcwalnym blaskiem. Tańczy w TVN, aż sieczka mu z butów pryska, peroruje kalecznym wolapikiem nowopolskiej nadymy w rozgłośniach radiowych i na uczelniach. Ba, poważa się nawet na publikacje własnych „książek". Ten gamoń nazywany jest dziś makaroniarskim terminem „celebryta". Taki cham rozzuchwalony przemawia z pewnością siebie knura, poucza pewnym tonem, przyszpila i pragnie poklasku. Wychodzi taki szmondas i miast wstydliwie milczeć o refluksach swojego intelektu, wylewa je potoczyście na otoczenie.

Piszę do ciebie, rozpanoszony chamie, który psujesz powietrze naszych umysłów. Niech twój tyłek przyrasta do stołków, niech ci się darzy w żłopaniu i rechocie durnia, gdy ujrzysz coś bardziej subtelnego niż skarpetki z twojego udanego wieczoru. Instynktownie uciekam przed twoją wonią i widokiem. Nie z powodu poczucia wyższości, jeno z lęku, że upapram się w twoim gnoju, którym obficie znaczysz swoje tereny.

Przyjmij do wiadomości, że istniejemy poza twoim zasięgiem. Być może mamy mniejsze potencje i intelekt niezbyt wyrasowany, ale odróżnia nas od ciebie poczucie wstydu, gdy pchamy się na salony z kocią żałobą w ustach. Chcemy szukać wzorców poza tobą i nie musieć z tobą obcować. Co? Nie ma ucieczki?

Tej chamskiej zaczepki nie przyjmujemy do wiadomości.

Formatowanie mózgu

Lech Makowiecki

Moje dzieciństwo przypadło na siermiężne lata 60. Bez telewizora, internetu, komórki, bez Facebooka! Oknem na świat było mi kino Bałtyk – z cotygodniową, wyczekiwaną premierą (najczęściej z tzw. demoludów). Władze dbały o właściwy dobór repertuaru „po linii i na bazie". Wiadomości bieżących i muzyki dostarczało nam obficie lampowe radio Serenada (z adapterem!). Przy odpowiednim ustawieniu spiralnych anten można było (mimo trzasków i zakłóceń) posłuchać wieści z wolnego świata. Skarbnicą wiedzy wszelakiej i zarazem moją Wikipedią była szkolna biblioteka. Czasami udawało mi się upolować jakąś „nieprawomyślną" lekturę. Pochłaniałem książki półkami, średnio po 400 stron dziennie, kończąc często nad ranem, z latarką pod kołdrą.

Mimo cenzury i jednostronnego, medialnego przekazu – włączając myślenie i kierując się Dekalogiem – można było nawet wtedy zachować zdrowy osąd rzeczywistości. Wraz z wejściem telewizji i atrakcyjnych (jak na tamte czasy) seriali typu „Czterej pancerni i pies" czy „Stawka większa niż życie" ogłupianie małolatów stawało się coraz skuteczniejsze. Władza ludowa wyczuła swą szansę, wzrosła rola Radiokomitetu. Wzorce były sprawdzone: Stalin miał swojego Siergieja Eisensteina – geniusza montażu emocjonalnego i intelektualnego, twórcy socrealizmu w filmie („Pancernik Potiomkin", „Październik"). Hitler posiłkował się talentem „Leni" Riefenstahl; jej nowatorskie filmy i kroniki (słynna „Olimpiada") skutecznie wspierały narodowy socjalizm w Niemczech. Władze PRL też doceniały potęgę filmowego obrazu i nie żałowały pieniędzy na propagandowe przekazy.

Wydawać by się mogło, że po 1989 r. – w ramach odreagowania – pojawią się liczne produkcje filmowe przybliżające zakłamywaną dotąd historię Polski. Cóż, mentalna dekomunizacja nie objęła środowiska filmowego. Pokłosiem tego były różne „Pokłosia". Nie powstanie film o zagrożeniach niesionych przez LGBT czy politykę imigracyjną UE. Bo nie.

eprasa.pl f6df03f8b5

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Na rogu Widaja i Gajewskiwego

Aleksander Nalaskowski

Radni Białegostoku zmienili nazwę jednej z ulic i zamiast Łupaszki będzie się ona nazywać Podlaska. Decyzja zapadła większością jednego głosu. Brawo radni! Wasza głupota i lewactwo nie mają sobie równych. Jesteście jak Joński, który nie wiedział, kiedy było powstanie warszawskie.

Radnym na jakimś portalu społecznościowym pogratulował uroczo mastodont lewicy i Trocki naszych czasów towarzysz Adrian. Ale czy do końca owa jaczejka nowej historii i jeszcze nowszego komunizmu zdaje sobie sprawę z konsekwencji tej decyzji? Nie sądzę. Dlatego owe konsekwencje spróbuję lekko zarysować.

Major Zygmunt Szendzielarz był przedwojennym kawalerzystą. Za udział w kampanii 1939 r. otrzymał Virtuti Militari. A jakie zasługi dla Polski mają głosujący przeciwko niemu radni z Białegostoku i ich mentor z Partii Razem? Od razu zaznaczę, że głupota nie jest zasługą, lecz ułomnością. Szendzielarz, przybrawszy pseudonim Łupaszka, nie złożył broni i całą wojnę walczył z okupantami. Czy to wystarczy, aby odebrać mu nazwę ulicy?

Po wojnie też nie złożył broni i nadal walczył przeciwko komunistycznej władzy zaimportowanej dzięki takim ówczesnym Zandbergom, Czarzastym i innym Dyduchom ze Związku Sowieckiego. Władza ludowa wykonała naprawdę gigantyczną robotę, aby go obrzydzić, uczynić zeń bandytę i mordercę. Z takim samym zapałem, jak z Dzierżyńskiego bohatera. Schwytany przez UB major został poddany niewyobrażalnym torturom. Testowano na nim nowe metody przesłuchań za pomocą gigantycznego bólu. Skazany w ubeckim procesie na 18-krotną karę śmierci został zamordowany na Rakowieckiej. Ani na chwilę nie szukał usprawiedliwienia, łaski, nie kajał się. Jego wyrok uzyskał, tak jak w wielu innych przypadkach, miano mordu sądowego. Ale mnie w podstawówce uczono, że był bandytą.

Lecz skoro był taki niedobry, to należy odebrać wszelkie honory, nazwy ulic i szkół, pomniki i tablice pamiątkowe jego sanitariuszce i łączniczce Danucie Siedzikównej – Ince. Wszak wpisała się w owe „zbrodnie", za które radni Białegostoku ulicznie zdegradowali jej dowódcę. Należy zakazać publikowania i upowszechniania książek Pawła Jasienicy, jego żołnierza. No i trzeba koniecznie zmienić nazwy ulic w innych miastach. Precz z Inką, Jasienicą i Łupaszką! Niech żyje Stalin!

Trzeba zmienić nazwy ulic w innych miastach – nie tylko w Białymstoku. Precz z Inką, Jasienicą i Łupaszką! Niech żyje Stalin!

Odbierając nazwę ulicy Łupaszce, radni z Białegostoku uruchomili dość ciekawy tok myślenia. Bo skoro Szendzielarz był bandytą, to sędzia Mieczysław Widaj miał rację, skazując go na śmierć, a zatem miał i tę rację skazując na śmierć innych 100 (!) żołnierzy niepodległościowego podziemia. Może zatem mastodont lewicy zaproponuje z właściwym sobie wdziękiem, aby ulicę w Białymstoku nazwać ulicą Widaja? Radni na pewno poprą, bo rozum mają między kartkami Manifestu komunistycznego. Notabene ów sędzia morderca, koleś radnych z Białegostoku, dożył w spokoju 2008 r., pracując jako... radca prawny.

Idąc tym śladem, powinniśmy uczcić nazwami ulic Adama Gajewskiego, który skazał na śmierć Inkę właśnie za współpracę z bandytą Szendzielarzem. Zamordowaną po uczciwych torturach oczywiście. Gajewski skazał na śmierć także 11 innych żołnierzy podziemia. Zmarł w latach 70. w Gdańsku, w mieście, w którym 17-latkę osądził i kazał zamordować. Oczywiście włos mu z głowy nie spadł.

Proponuję, aby radni z Białegostoku kazali zbudować muzeum utrwalaczy władzy ludowej u zbiegu ulic Widaja i Gajewskiego. Poświęcić je może arcybiskup Sawa, w latach 1966–1989 TW „Jurek". Pasuje wam?

Z pewną nieśmiałością, jednak proponuję przyjrzeć się rozrabiactwu prof. Krzysztofa Szwagrzyka. Wydobywając szczątki Łupaszki, Inki i setek innych bandytów podziemia (czy to już obowiązująca nazwa w radzie miejskiej Białegostoku?), wzbudza niepożądane emocje społeczne, na wskroś szkodliwe i niebezpieczne dla naszych relacji zewnętrznych i wewnętrznych. Co to za hołd dla pospolitych przestępców?! Szwagrzyka trzeba wysłać na wykopki pod Waterloo, niech tam szuka sobie bohaterów. Dość wykopywania niesłusznych!

No i ten nieszczęsny pomysł, aby na Rakowieckiej urządzić muzeum. Kto to wymyślił?! Przecież tyle jest innych więzień w Polsce, w których można by pokazać bohaterską walkę UB ze sprzedawczykami, bandytami i zdrajcami narodu... radzieckiego.

Radnym z Białegostoku, ale pewnie i innych miast, zapewne nie zabraknie pomysłów. To prawdziwe zuchy i mózgowi giganci.

Autopromocja

eprasa.pl f6df03f8b5

PRZEZ ŚWIETLIK

Kradzież to własność

Nie wyobrażaliście sobie nigdy, jak to byłoby być przestępcą? Sporo osób musi to robić, a nawet niekiedy o tym marzyć, biorąc pod uwagę popularność gier komputerowych, w których możemy się wcielić w mafioza albo złodzieja samochodów. Bycie skorumpowanym burmistrzem jest już mniej pociągające, choć wpisuje się w podejście do własności części aparatu PO. Twórczo przekształca on znane sformułowanie francuskiego socjalisty utopijnego Proudhona twierdzącego, że „własność to kradzież". Maksyma towarzystwa, któremu nie straszne zaprzyjaźnione sądy i które postuluje od lat likwidację CBA, brzmi raczej: „Kradzież to własność".

Wiktor Świetlik

Nie znam się na tym za bardzo. Mówiąc krótko, jestem ignorantem. Ale kilka rzeczy wydaje mi się oczywistych. Bo, jeśli wyobrażę sobie, że byłbym takim burmistrzem i jak to burmistrz zarabiał ze dwie i pół średniej krajowej, a równocześnie brał setki tysięcy łapówek, to kilku rzeczy bym nie robił. Przede wszystkim nie jeździłbym włoskim samochodem maserati (ceny nowych zaczynają się od 400 tys. zł, ale ta wersja kosztuje najmniej pół miliona), bo z mojej oficjalnej pensji na ubezpieczenie ledwo by starczało.

Nie chcę niczego panom z CBA ujmować. Dzielnie się spisali, ale obiekt ich zainteresowania mógł jednak wzbudzać pewne podejrzenia. Znam sporo samorządowców. Raczej niewielu z nich jeździ takimi samochodami. A do tego nic mi nie wiadomo, by któryś miał się bać policji.

Gdybym więc był takim burmistrzem, to kupiłbym styraną skodę fabię albo jakąś dacię, by nie rzucać się w oczy. Nie oszukujmy się, burmistrz rozbijający się sportowym, krzykliwym autem za pół miliona lub więcej, ma na masce wypisane: „Biorę łapówki". A mimo to facet to robił. Czemu?

Może był niemądry. Bez dwóch zdań był nieostrożny. Może uległ manifestowi futurystów sprzed ponad wieku, którzy pisali, że „ryczący samochód jest piękniejszy niż Nike z Samotraki", i postanowił dla tych samochodów zrobić wszystko. Ale przede wszystkim myślę, że czuł się totalnie bezkarny w organizacji, której przedstawiciele swoim lojalnym żołnierzom bezkarność zapewniają. A może po prostu jego środowisku nie wypadało byle czym jeździć i nie brać.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

eprasa.pl f03f8b5

Kruchość życia

Alina Czerniakowska

Znowu początek listopada, święto tych, którzy odeszli, nie ma ich wśród nas, ale jaśnieją twarze, słychać głosy, dławi nas żal i brak zgody na przemijanie. „Ludzka niemoc i bezsilność boli najbardziej wtedy, gdy stawiamy siebie w miejsce Boga" – napisał Jan Paweł II w książce „Pamięć i tożsamość". Sam doświadczył wielkich cierpień, wcześnie utracił najbliższych, przeżył zamach na własne życie, był krok od śmierci, ciężkie choroby, operacje, ale wszystko znosił bohatersko do końca, nigdy nie zdezerterował, nie poddał się, walczył jak żołnierz, bronił swojego Westerplatte, o czym tak pięknie mówił do młodzieży.

W rozmowach, w naszym życiu codziennym, bezwiednie oddzielamy świat ludzi chorych, nie dopuszczamy myśli, że nas też może spotkać nieoczekiwana straszna diagnoza – wyrok, nieuleczalna choroba. Gdy ktoś usłyszy: „Masz raka", świat wywraca się do góry nogami. I nie tylko tej osoby, której choroba dotyczy, ale wszystkich najbliższych. Przychodzi pierwsze pytanie – jak pomóc? Każdy inaczej przeżywa chorobę i leczenie, wszystko zależy od charakteru człowieka, jego życia, wyznawanych zasad, a przede wszystkim – wiary w Boga.

Ksiądz Mariusz Bernyś, kapelan w największym szpitalu w Polsce, przy ulicy Banacha w Warszawie, napisał w jednej ze swoich niezwykłych książek: „Kiedy zostałem skierowany do pracy duszpasterskiej do szpitala na Banacha, nie miałem żadnego przygotowania... Poszedłem ogołocony z moich wcześniejszych, zgoła innych planów, z pustymi rękami. Musiałem odłożyć na bok ambicje naukowe, znajomość języków obcych, plany pracy na uczelni i inne rzeczy, o których wie tylko Bóg. Tego wszystkiego Jezus nie potrzebował wtedy ode mnie. Rzeczywistość szpitala wydawała mi się gąszczem nie do przebycia. Musiałem się zwrócić całą siłą do Jezusa Miłosiernego, aby w ciszy serca uczył mnie Bożego Miłosierdzia, którego w szpitalu najbardziej potrzeba". Tak napisał młody wykształcony ksiądz, z tytułem doktorskim, absolwent filologii polskiej i teologii, studiujący w Warszawie i w Paryżu. Prawdziwy erudyta, chciałoby się powiedzieć, wszystko wie, a jednak praca w szpitalu w roli kapelana okazała się największym wyzwaniem.

W tym kontekście nasuwa się pytanie, co ma zrobić zwykły człowiek, który przy okazji standardowych badań dowiaduje się nagle o strasznej chorobie nowotworowej, koniecznej natychmiastowej operacji, chemii i kolejnych etapach leczenia przy braku realnych szans. W zasadzie zostaje natychmiast postawiony do walki z chorobą i ze swoją słabością, musi wytrwać, nie załamać się, nie poddać. Nagle trzeba wszystko rzucić, odłożyć na bok – pracę, plany zawodowe, osobiste, rodzinne. Najtrudniej, gdy choroba chwyta w biegu matkę, która dla dzieci jest wszystkim, niezastąpiona każdego dnia i nocy, i to nie tylko dla tych najmniejszych, ale może jeszcze bardziej dla tych dorastających, wchodzących w życie.

W walce z chorobą każdy tak naprawdę jest sam, mimo licznych osób wokoło. Zostaje tylko siła woli i ufność, że z Bożą pomocą uda się wszystko pokonać. Gdyby jeszcze nasza służba zdrowia była naprawdę służbą choremu, a nie machiną, fabryką, i to często jeszcze źle zarządzaną, w której człowiek, pacjent jest kolejną liczbą, numerkiem czekającym w długich kolejkach na coraz to innych korytarzach szpitalnych. Z przerażeniem wysłuchuje zaleceń lekarskich, często wypowiadanych machinalnie, bez serca, przez zmęczonego rutyną lekarza. Ile trzeba mieć w sobie siły, żeby się nie przestraszyć, nie załamać i nie wycofać, ale mieć energię i siłę do walki przez wszystkie kolejne dni i bezsenne noce.

Tu znowu wracam do słów kapelana ks. Mariusza Bernysia zapisanych w książce pt. „Szpital na Banacha. Dzienniczek o cierpieniu człowieka i Miłosierdziu Boga": „Od osób cierpiących, które z pokorą znoszą swój los i ofiarowują cierpienie Bogu, otrzymałem w życiu kapłańskim najwięcej. Takie osoby to cisi, ukryci święci naszych czasów. Spotkania z nimi nauczyły mnie weryfikacji wszystkiego, co w życiu człowiekowi wydaje się ważne. Pokazały mi sens ofiary, nauczyły, czym są naprawdę wiara, nadzieja i miłość jako treści życia konkretnego człowieka". My, zwykli ludzie, którym przychodzi stanąć wobec ciężkiej choroby kogoś bliskiego, dając coś z siebie, możemy o wiele więcej skorzystać. Nauczyć się, jak pokonywać własne problemy, lęk, jak przywrócić miłość tam, gdzie została zniszczona, wiarę w Boga tam, gdzie jej nie ma – po prostu nadać prawdziwy sens życiu.

Miliony palących się świateł na grobach całego świata mówią nam o tym samym – kruchości naszego życia. Nieodparcie wraca znany fragment Ewangelii: „Lecz Bóg rzekł do niego – Głupcze jeszcze tej nocy zażądają twojej duszy od ciebie; komu więc przypadnie to, coś przygotował? Tak dzieje się z każdym, kto skarby gromadzi dla siebie, a nie jest bogaty przed Bogiem" (Łk 13-21).

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Włącz kanał W POLSCE PL
CYFROWY POLSAT NA POZYCJI 196

eprasa.pl f6df03f8b5

Nadchodzi ratunek

Jerzy Jachowicz

Koalicja Obywatelska po niekończących się dyskusjach nad wyłonieniem nowego lidera partii na miejsce „człowieka klęsk" Grzegorza Schetyny wychodzi na prostą. Mężem opatrznościowym partii okazał się były lider Solidarności Lech Wałęsa. Dziś mogę ujawnić już – za jego zgodą – że po zwycięstwie PiS w wyborach do Sejmu przez ponad dwa tygodnie nie był w stanie zmrużyć oka. Z rozpaczy przechodzącej w udrękę. Którejś kolejnej bezsennej nocy uświadomił sobie, że tylko on jest w stanie rozgryźć Kaczyńskiego i odsunąć go od rządzenia. Czyli jeszcze raz, po 30 kilku latach, uratować Polskę. Tego historycznego zadania nie chciał brać znowu tylko na własne barki, jak w latach 80., kiedy był młody i krzepki.

Dlatego jako swoje zaplecze doradcze – na wzór europejski – powołał Polityczną Radę Mędrców. W jej skład wchodzą byli prezydenci i premierzy oraz kwiat intelektualnego świata Polski. Wybitni pisarze, aktorzy i twórcy potęgi polskiej nauki z wielu dziedzin ludzkiej wiedzy. Świat literatury reprezentuje m.in. laureatka Nobla za 2018 r. Olga Tokarczuk, środowisko aktorów – Maja Ostaszewska, Krystyna Janda, Wojciech Pszoniak, Jerzy Stuhr, profesorowie prawa – Wojciech Sadurski i Marcin Matczak, ekonomii – Leszek Balcerowicz i Waldemar Kuczyński, biologii – prof. Andrzej Tretyn, rektor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, oraz strateg polityczny, znany adwokat Roman Giertych.

Na przewodniczącego tego szlachetnego gremium jego członkowie spontanicznie wybrali laureata Pokojowej Nagrody Nobla Lecha Wałęsę. Bezpośrednio po ceremonii wyboru szefa Rady wygłosił on krótkie oświadczenie programowe:

„Przyjaciele, słynne powiedzenie »Zniszczę cię«, które jeszcze kilka lat temu wypowiadane przez dzisiejszego lidera Koalicji Obywatelskiej wprawiało w paraliż jego adresata i powodowało nagłe obumarcie komórek aspiracji politycznych, dziś w jego ustach stało się pustą atrapą. W partii przywództwo muszą objąć ci, którzy potrafią skutecznie zniszczyć największego szkodnika. W tym zbożnym zadaniu my im pomożemy. Jesteście gotowi?".

Okrzykowi „Tak!" wtórowały huraganowe brawa.

CO MNIE ZDUMIEWA

Mowo polska, Wisło rodzinna...

Katarzyna Łaniewska

Te słowa porównujące naszą mowę do królowej rzek Wisły rozpoczynają wiersz Władysława Broniewskiego.

Cóż nam zostało z tych pięknych strof Broniewskiego? Ostatnio królowa polskich rzek została zbrukana i jej nurtem płynęły do Bałtyku brudy stolicy. A mowa? Już dawno została zbrukana, zakłamana i przeinaczona. Stacza się do poziomu tego, co płynęło w Wiśle.

Język polski używany na co dzień przez wszystkie warstwy naszego społeczeństwa zmienił się nieprawdopodobnie. Kiedyś się mówiło „język jak spod budki z piwem". Budki zginęły, piwa jest wszędzie dużo, a te rozmowy miały charakterny wdzięk. Nie był to ten język, w którym stosujemy przekleństwa zamiast przecinka w poważnych rozmowach politycznych. Nastała moda na pieszczenie się. Tak jakby małe dzieci sepleniły. Tak robią pseudogwiazdy i celebryci. Nie mówiąc o języku reklam telewizyjnych.

Ostatnio z naszego alfabetu zginęła litera „z". Nie sama, ale w połączeniu z „s" albo z „c" zanika. Słyszę: „syba", „sybko" i „serek spraw", tylko nie wiem jaki: biały, żółty czy topiony. Dużo słucham książek nagranych. Niektórzy moi koledzy aktorzy wspaniale czytają, ale są i tacy, którzy mówią „skoła". Ubożeje nasz język. Wystarczy nastawić uszu w teatrach warszawskich, nie wiem, czego wymagają teraz od ludzi, którzy wychodzą na scenę.

Jedni mogą pięknie mówić z głowy i wiedzą co, jak i do kogo mówią. A inni lekceważą i nie rozumieją, po co mają usta „seroko" otwierać. Czasem nie umieją nawet czytać z promptera. Mówią ciągle to samo nowomową. I przed kamerami ludzie bełkoczą.

Co się stanie z tym pięknym wierszem:

„Mowo polska groźniejsza niż burza
I od słowików miększa,
Oba skrzydła w tobie zanurzam,
Powracam do twego wnętrza
Ze mną słowo sława,
Ze mną słowo Warszawa"

Nie „Warsafka". Mówiąc i myśląc o mieście, które kocham, chcę, żeby Wisła miała czysty nurt, a słowo polskie miało wszystkie litery alfabetu, nawet „ś", „ź", „ć". Żeby nastała oczywistość oczywistości i prawda prawdy polskiego języka. Tego nam wszystkim życzę.

Autopromocja

eprasa.pl f6df03f8b5

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

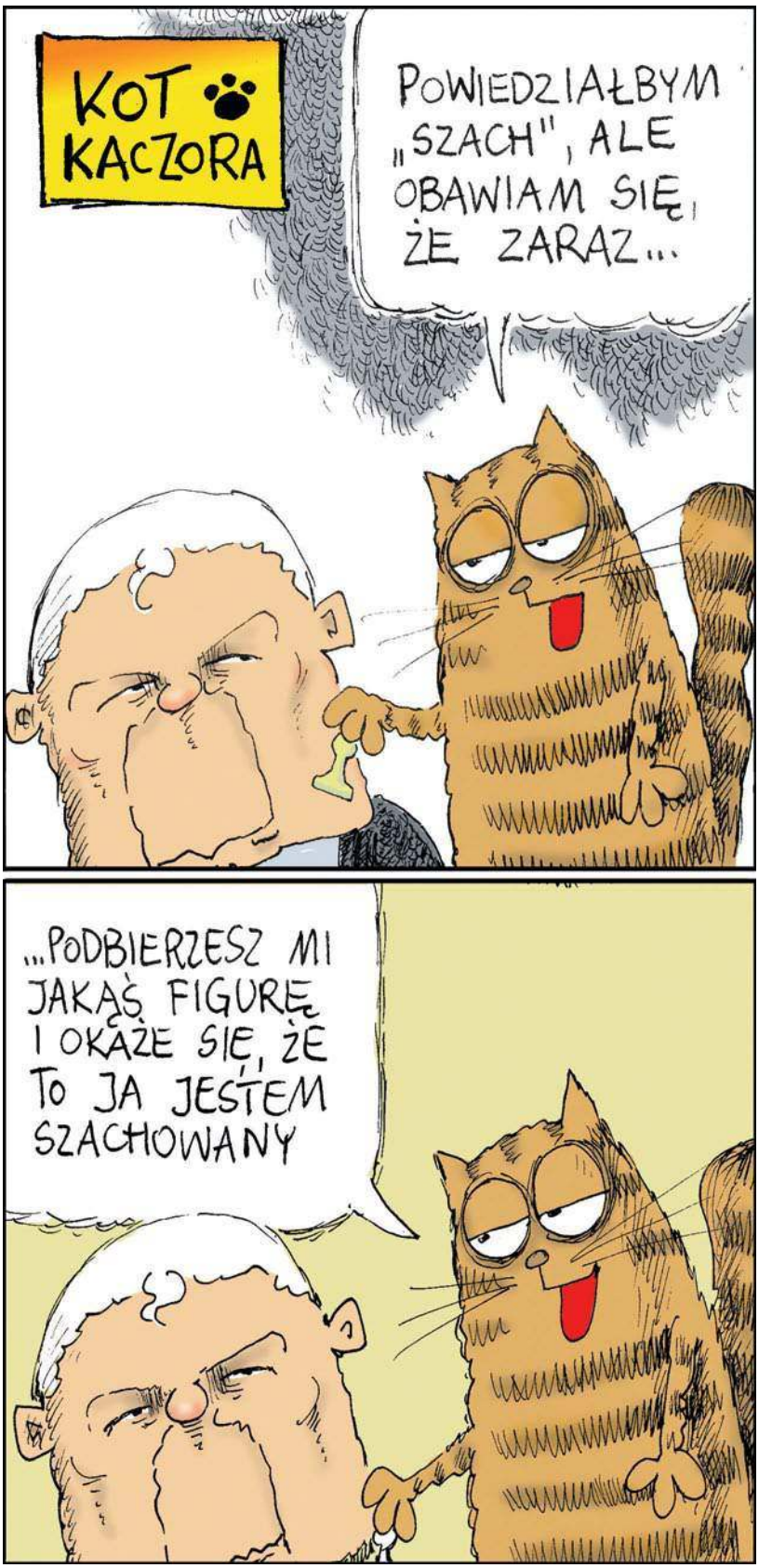

TRENDY I OWĘDY

Szczerzy się

Bycie bonzem w Unii Europejskiej prowadzi do wielu dziwacznych odchyłek.

Ryszard Makowski

Gdy człowiek myśli, że ten zwariowany świat nie jest go w stanie niczym zaskoczyć, przychodzi informacja, że Donald Tusk wydaje książkę. Niby nic takiego, prawie każdy wydaje, ale w tym przypadku na orbitę wirówki nonsensu wysyła nas tytuł „Szczerze". Może powtórzę dla pobieżnie czytających – tytuł tego bestsellera brzmi „Szczerze".

Zestawiając słowo „szczerze" z osobą, która jest pasowana na autora (wątpliwe, żeby je osobiście kleciła), coś zgrzyta jak zdarte klocki hamulcowe. Przez lata przylgnęła do tego polityka sentencja z „Misia": „Ten człowiek w życiu słowa prawdy nie powiedział". Zresztą Donald Tusk miał szanse na zwierzenia przed komisją Amber Gold i przed sądami, ale wtedy nie chciał przed nami się otworzyć na oścież jak wrota od stodoły.

Jego kariera wskazuje na to, że gdyby rzeczywiście podzielił się autentycznymi wydarzeniami, to nakład paru milionów murowany. Znając go jednak jako cynicznie przyśmiechniętego lawiranta, trudno oczekiwać na stronach tej książki ziarna prawdy. Przecież nie dowiemy się, o czym rozmawiał z Władimirem Putinem na molo w Sopocie przed zamachem w Smoleńsku. Szczerze tam może być jedynie o tym, co autor sądzi o prezesie Kaczyńskim, o dobrej zmianie, o 500+. To wydawnictwo może być jednak zalążkiem nowego trendu na salonach europejskich, gdzie i tak kpina nie zna granic. Niewykluczone, że w przygotowaniu są pozycje: Jean-Claude Juncker „Trzeźwo" czy Janusz Lewandowski „Uczciwie".

eprasa.pl f6df03f8b5

Zawistowski prezentuje: Sądy

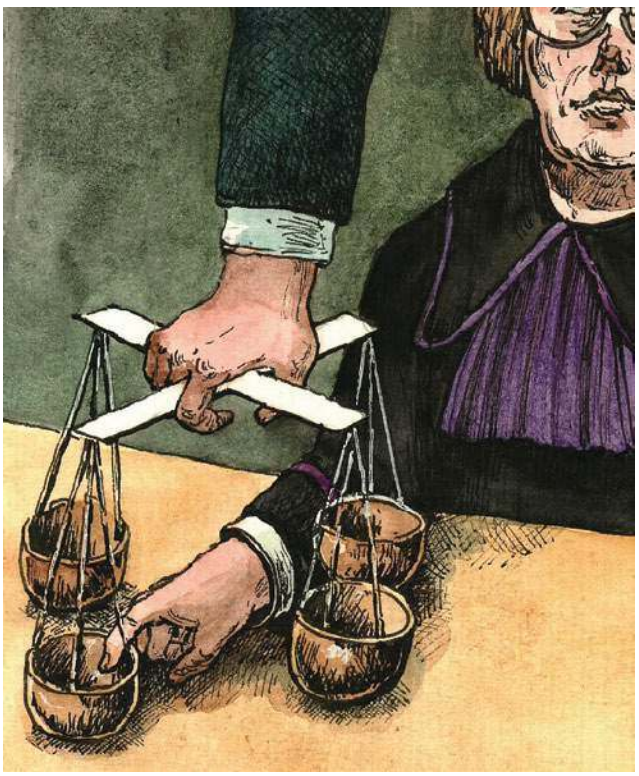

Wycinki z przeszłości

U progu odzyskania niepodległości, w końcu 1917 r., autor artykułu w „Ilustracji Polskiej" zauważał:

„Są dwie przyszłe Polski. Jedna, to taka mała, wygodna, byle jaka Polska, w której będzie się budowało drogi bite i żelazne, zakładało różne instytucje, przynoszące użytek publiczności, akcjonariuszom zaś piękną dywidendę. Gdzie będzie wszystkim sprytnym dobrze, gdzie ludzie ospali wypoczywać będą na wygodnych posadach, a ludzie ruchliwi w parę lat zrobią majątek, bez obawy zapoznania się z kryminałem. Taka sobie Polska, nie myśląca o jutrze – jak za króla Sasa; naturalnie, odpowiednio zmodernizowana, wyfornirowana frazesami patrjotycznymi.

Ale jest i druga przyszła Polska – godna i mocarna, nie kraj umiejących się urządzić piecuchów i spekulantów, lecz państwo, w którym każdy pragnąłby przede wszystkim większej chwały Ojczyzny. Państwo nie wygodnego bytowania i pasożytowania, ale nieustannych wysiłków i chętnej ofiary dla wspólnej dostojniejszej przyszłości. Jednocześnie zaś Polska, na którą by w Europie nie patrzono z lekceważeniem, której by nie klepano dobrotliwie po ramieniu, lecz która budziłaby uszanowanie. Polska nie z łaski obcej, nie z kompromisów kongresowych, ale z własnej mocy i szczerego pragnienia niepodległości".

Trudno nie odnieść wrażenia, że to wybór nadal przed nami stojący.

(mk)

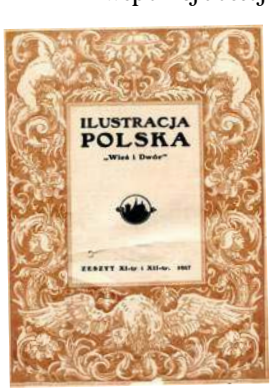

Z tamtej strony...

Arcydzieło na każdym poziomie – od ziemskości po samiutkie niebo. I jednak ta „bezradna pointa". To Bóg się zjawia, a nie z ziemskiego żywota przywołani rodzice.

Leszek Długosz

Bolesław Leśmian (1877–1937)

„Urszula Kochanowska"

Gdy po śmierci w niebiosów przybyłam pustkowie,
Bóg długo patrzał na mnie i głaskał po głowie.
– „Zbliż się do mnie, Urszulo! Poglądasz, jak żywa...
Zrobię dla cię, co zechcesz, byś była szczęśliwa".
– „Zrób tak, Boże – szepnęłam – by w nieb Twoich krasie
Wszystko było tak samo, jak tam – w Czarnolasie!" –
I umilkłam zlękniona i oczy unoszę,
By zbadać, czy się gniewa, że Go o to proszę?
Uśmiechnął się i skinął – i wnet z Bożej łaski
Powstał dom kubek w kubek, jak nasz – Czarnolaski.
Dom i sprzęty i donice rozkwitłego ziela
Tak podobne, aż oczom straszno od wesela!
I rzekł: „Oto są – sprzęty, a oto – donice.
Tylko patrzeć, jak przyjdą stęsknieni rodzice!
I ja, gdy gwiazdy do snu poukładam w niebie,
Nieraz do drzwi zapukam, by odwiedzić ciebie!"
I odszedł, a ja zaraz krzątam się, jak mogę,
– Więc nakrywam do stołu, omiatam podłogę
– I w suknię najróżowszą ciało przyoblekam
I sen wieczny odpędzam – i czuwam – i czekam...
Już świt pierwszą roznietą złoci się po ścianie,
Gdy właśnie słychać kroki i do drzwi pukanie...
Więc zrywam się i biegnę! Wiatr po niebie dzwoni!
Serce w piersi zamiera... Nie!... To – Bóg, nie oni!...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl f6df03f8b5

OD A DO ZYBERTOWICZA

Osaczona przez krzywe zwierciadło

Najpierw zobaczyłem wahanie na twarzy pani, która – przełamawszy swe wątpliwości – zdecydowała się do mnie podejść i zagadać. Wahanie było zrozumiałe, gdyż pani chciała mi powiedzieć kilka przykrych rzeczy.

To było około południa w sobotę, 19 października br. w kuluarach kolejnego już Kongresu Obywatelskiego zorganizowanego przez Jana Szomburga. Uczestniczyłem tam w panelu, gdzie przedstawiłem swoje trzy grosze na temat „Jakie RAZEM Polaków w XXI wieku – wokół zasad, celów czy zagrożeń".

Znane jest powiedzenie, że dzięki internetowi dowiedzieliśmy się, jak wielu na Ziemi jest idiotów

NAUCZYCIELKA

Podeszła do mnie pani, która powiedziała, że choć ma już uprawnienia emerytalne, nadal pracuje jako nauczycielka. Potraktowała mnie jako przedstawiciela środowiska rządzącego (nie wypieram się) i przedstawiła swoje pretensje. Starała się to zrobić kulturalnie, w duchu obywatelskim, który zaleca rozmawianie także z osobami o mocno odmiennych poglądach politycznych. Podkreślała, że sytuacja w Polsce jest dla niej nie do zniesienia, a ja dopytywałem, na czym to polega.

Jako że rozmowa była dość emocjonująca, nie jestem pewien, czy całą dobrze zapamiętałem. Chyba szło to tak: politycy Prawa i Sprawiedliwości rządzą naszym krajem w taki sposób, jakby uważali, że tylko oni mają we wszystkim i zawsze rację. Nie liczą się ani z prawem, ani z ludźmi, którzy myślą inaczej od nich. Są skupieni tylko na posiadaniu władzy. Nikogo nie szanują.

Nie potrafię teraz przypomnieć sobie (szkoda...) konkretnych zdań wypowiedzianych przez moją rozmówczynię, którymi wsparła swoje opinie. W emocjach nauczycielki usłyszałem echo rzeczywistych wypowiedzi polityków dobrej zmiany – ale powyrywane z kontekstów, odebrane jednostronnie, a nawet złośliwie zmanipulowane. Moim zdaniem wypowiedzi polityków dobrej zmiany pani rozumiała jako o wiele bardziej radykalne, niż to by wynikało z samej treści tych wypowiedzi i intencji ich autorów.

Ponieważ odniosłem wrażenie, że moja rozmówczyni czuje się w dzisiejszej Polsce głęboko skrzywdzona, urażona i osaczona, spytałem, czy może jakiś zwolennik PiS wyrządził jej przykrość.

FACEBOOK

W odpowiedzi usłyszałem, że nie, ale że jest stale brutalnie atakowana przez zwolenników PiS na Facebooku. Tu w mej głowie zapaliły się lampki. Moja badawcza dociekliwość już szykowała kolejne pytania, ale niestety podeszła do nas inna pani. Nie dostrzegając emocjonalnego zwarcia naszej dwójki, przekazała wyrazy sympatii w związku z moją aktywnością publiczną. Nauczycielka wydała się tym nieco zniesmaczona i nasza rozmowa się zakończyła.

Nie była to sytuacja dla mnie komfortowa. Była jednak ważna i pouczająca. Dziękuję obu paniom za to, że do mnie podeszły. Gdzież byłaby lepsza sposobność do rozmowy ponad podziałami, jak nie przy okazji Kongresu Obywatelskiego.

TROLLE

Znane jest powiedzenie, że dzięki internetowi dowiedzieliśmy się, jak wielu na Ziemi jest idiotów. Anonimowość w sieci nie jest pełna, ale brak naturalnych, bezpośrednich mechanizmów kontroli społecznej zachęca do wylewania z ludzkich głów paskudztw, które dawniej wydobywały się na świat z oporem i rzadziej. Ale to tylko drobna część problemu. Faktycznie, może być tak, że moją rozmówczynię niegodnie atakują agresywni sympatycy PiS. Ale może być też inaczej.

Mogą to być zwykli „bezpartyjni" trolle, którzy nie potrafią w życiu społecznym zaznaczyć swojej podmiotowości inaczej niż przez agresję – bez względu na to, z kim politycznie sympatyzują i czasem bez związku z zainteresowaniem polityką...

Jednak nie zapominajmy, że żyjemy w czasach wojny hybrydowej, w tym informacyjnej. Spora – trudna do bliższego określenia – część wpisów w mediach społecznościowych pochodzi od rosyjskiej maszyny dezinformacji. Jej celem jest jątrzenie, nasilanie naturalnie istniejących sporów społecznych tak bardzo, by polaryzacja społeczna uniemożliwiała jakiekolwiek racjonalne dialogowanie. Kto zatem osacza moją rozmówczynię z Kongresu?

Wniosek: chodźmy na inicjatywy obywatelskie, nawet te politycznych konkurentów. Rozmowa twarzą w twarz to być może jedyna szansa na odbudowę wspólnoty.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | 13/0419/F

eprasa.pl f6df03f8b5

PLEBISCYT DLA CZYTELNIKÓW

Człowiek Wolności tygodnika SIECI

VII EDYCJA PLEBISCYTU

Już po raz siódmy wybieramy **Człowieka Wolności**, czyli osobę, dla której wolność jest wartością najważniejszą, a jej obrona i szerzenie codzienną powinnością

2018
Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego
prof. Piotr Gliński

2017
Prezes Trybunału Konstytucyjnego
Julia Przyłębska

2016
Prezes PiS
Jarosław Kaczyński

2015
Prezydent RP
Andrzej Duda

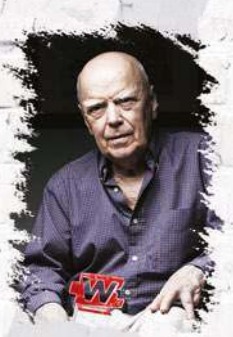

2014
Poeta i pisarz
Jarosław Marek Rymkiewicz

2013
Historyk z IPN
prof. Krzysztof Szwagrzyk

Zapraszamy Czytelników, by razem z nami wybierali **Człowieka Wolności 2019**.
Prosimy wypełnić kupon i **przesłać go do 29 listopada 2019 r.** na adres: Fratria Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa, z dopiskiem „Plebiscyt".
Regulamin plebiscytu dostępny na www.wsieciprawdy.pl.

KUPON ZGŁOSZENIOWY – Plebiscyt Człowiek Wolności 2019 tygodnika SIECI

imię i nazwisko kandydata . . . . . .

uzasadnienie . . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

imię i nazwisko czytelnika . . . . . .

e-mail . . . . . telefon . . . . . .

Akceptuję regulamin plebiscytu dostępny na stronie www.wsieciprawdy.pl oraz w siedzibie redakcji tygodnika Sieci w Warszawie przy ul. Finlandzkiej 10.

☐ *Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych zawartych w kuponie zgłoszeniowym do przeprowadzenia Plebiscytu pod nazwą „Człowiek Wolności 2019 tygodnika Sieci" przez Administratora - Fratria sp. z o.o. z siedzibą w Gdyni w celu przeprowadzenia Plebiscytu.
Potwierdzam, że zgodnie z art. 13 ogólnego rozporządzenia o ochronie danych osobowych z dnia 27 kwietnia 2016 r. (Dz. Urz. UE L 119 z 04.05.2016) zapoznałam/em się z klauzulą informacyjną dot. przetwarzania danych osobowych zawartą w regulaminie Plebiscytu „Człowiek Wolności 2019 tygodnika Sieci".

* pole do akceptacji

data . . . . . podpis . . . . . .

Partnerzy plebiscytu

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A. · ORLEN · PKO Bank Polski · 100 1919/2019 · LOTOS · Bank Pekao · PGNiG · PPL Porty Lotnicze · TAURON

eprasa.pl f6df03f8b5

GRUPA CEDROB®

Największy polski producent mięsa

Lider w produkcji drobiu i trzody chlewnej oraz uznany producent wędlin.

www.grupacedrob.pl

eprasa.pl f6df03f8b5